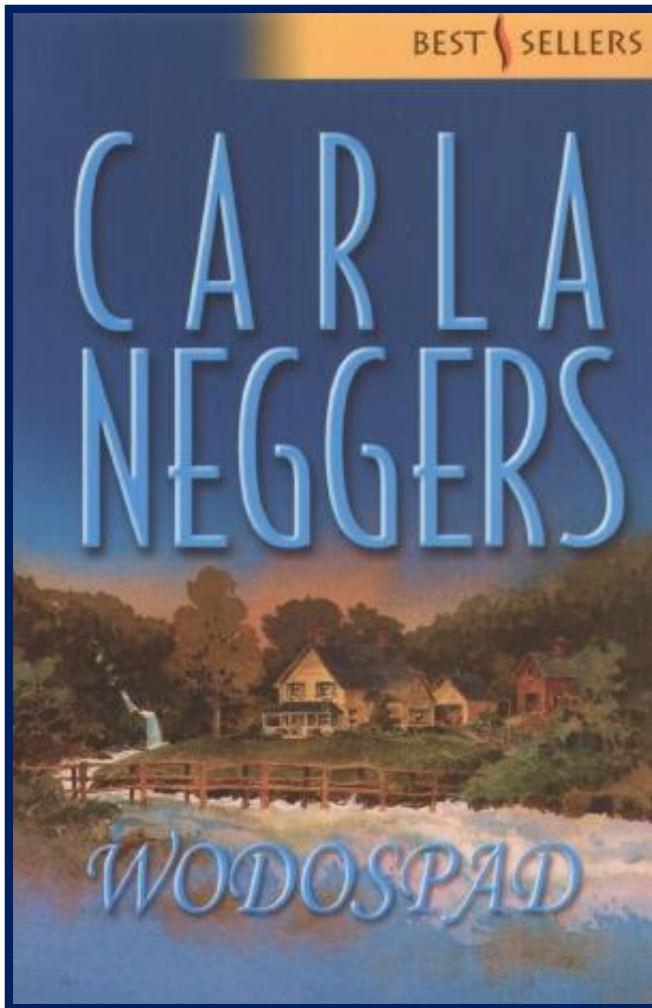


*Neggers Carla*

*Wodospad*



## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

– Wdowa Swift? – skrzywiła się Lucy, gdy córka powtórzyła jej najświeższą plotkę. – Kto mnie tak nazywa?

– Wszyscy – wzruszyła ramionami piętnastoletnia Madison, która właśnie uczyła się prowadzić samochód.

Była to kolejna rzecz, do której Lucy jeszcze nie zdążyła się przyzwyczać.

– Kto to są wszyscy?

– Wszystkie sześć osób, które mieszkają w tym miasteczku.

Lucy zignorowała nutę ironii w głosie córki.

Wdowa Swift. Rany boskie! Może to jakiś przedziwny sygnał akceptacji? Nie miała złudzeń: nie stała się „prawdziwą” mieszkanką stanu Vermont, po trzech latach wciąż była tu obca.

Wiele osób spodziewało się, że lada moment spakuje walizki i wróci do Waszyngtonu. Lucy wiedziała, że nic bardziej nie uszczęśliwiłoby Madison. Dla dwunastolatki życie w małym miasteczku było przygodą, dla piętnastoletniej dziewczyny stało się nieznośnym przymusem.

W końcu miała już pozwolenie na naukę jazdy, więc dlaczego nie mogłaby mieć również domu w Georgetown?

– W takim razie – stwierdziła – powiedz tym wszystkim, że wolę, gdy się mnie nazywa Lucy albo panią Swift.

– W porządku, mamó.

– Takie określenie jak „wdowa Swift”’’ lubi się do człowieka przyklejać.

Madison tak bardzo rozbawiła ta rozmowa, że zapomniała o swoich problemach z parkowaniem, podczas którego to manewru zwykle popadała w zdenerwowanie bliskie paniki, i po prostu wjechała na puste miejsce przed budynkiem poczty w samym środku miasteczka na południu stanu Vermont.

– Całkiem nieźle mi poszło – ucieszyła się.

– Dobra. Teraz na luz. Ręczny hamulec. Zgasić silnik, wyjąć kluczyki. – Rzuciła matce promienny uśmiech. Na wycieczkę do centrum miasteczka ubrała się w lekką sukienkę i sandały, które Lucy obrzuciła teraz nieprzychylnym spojrzeniem, bowiem sama miała ochotę je włożyć.

– Widzisz? Nie przejechałam żadnego łosia!

– Dobra robota – mruknęła Lucy, puszczając uwagę córki mimo uszu.

Przez te trzy lata, które spędziły w Vermoncie, widziały dwa łosie, ale żaden z nich nie spacerował po drodze prowadzącej do miasta.

Madison oświadczyła, że idzie obejrzeć kalosze, i znikła w drzwiach sklepiku z mydłem i powidłem, a Lucy poszła na pocztę. Miała do wysłania plik folderów reklamowych swojego

biura podróży. Na jej stronę internetową wpływało coraz więcej zamówień. Interesy szły świetnie.

Lucy wyraźnie stawiała na nogi i widać było, że wreszcie odnajdywała na tym świecie miejsce dla siebie i swoich dzieci.

Potrzebowała po prostu trochę czasu i to wszystko.

– Wdowa Swift – mruknęła pod nosem.

– A niech to!

Niestety, nie była w stanie beztrudno się roześmiać i lekceważąco machnąć ręką. Miała trzydzieści osiem lat i już trzy lata minęły od śmierci Colina. Była wdową, ale nie chciała, by to słowo przylgnęło do niej jako dyżurna etykieta.

W miasteczku panował martwy spokój. Ciszy upalnego lipcowego popołudnia nie mącił żaden wietrzyk. Centrum składało się ze sklepiku, poczty, sklepu żelaznego i dwóch barów szybkiej obsługi. Budynki ocienione były starymi klonami. Kilka kilometrów dalej na północny wschód znajdowało się miasteczko Manchester, większe i oferujące znacznie więcej atrakcji,

Lucy jednak nie zgadzała się, by jej córka, która zaledwie od dwóch tygodni miała pozwolenie na prowadzenie samochodu w towarzystwie bardziej doświadczonego kierowcy, jechała tak daleko.

Nie chodziło przy tym o to, by Madison nie była gotowa włączyć się w większy ruch. To Lucy nie była na to gotowa.

Wrzuciła listy do skrzynki, odruchowo podeszła do samochodu od strony kierowcy i dopiero wtedy, jęknąwszy w duchu, przypomniała sobie, że to jej córka prowadzi. Piętnaście lat to naprawdę bardzo niewiele, pomyślała, obchodząc furgonetkę z

napędem na cztery koła, którą Madison z lekką pogardą nazywała „vermonckim wehikułem?”. Dziewczyna marzyła o sportowym kabrioletcie i o życiu w wielkim mieście.

Tylko nauka jazdy uchroniła ją od zanudzenia się na śmierć w czasie wakacji. Nawet perspektywa podróży do Wyomingu nie zdołała jej ożywić. Jediną rzeczą, jaka mogła wzbudzić entuzjazm piętnastolatki, był pomysł spędzenia następnego semestru u dziadka w Waszyngtonie. Lucy opadła na rozgrzany fotel pasażera i zaczęła się zastanawiać, czy nie odwołać jutrzejszego wyjazdu. Madison i tak nie miała ochoty jechać, a jej dwunastoletni syn J.T. również wolałby zostać w domu i wykopywać robaki.

Celem wyprawy do Jackson Hole miało być spotkanie z kilkoma przewodnikami po zachodnich terenach, ale tak naprawdę nie miało to żadnego sensu. Biuro podróży Lucy specjalizowało się w wyjazdach do północnej Nowej Anglii i na kanadyjskie wybrzeże, a oprócz tego organizowało zimowe wyprawy do Kostaryki, gdzie po przejściu na emeryturę osiedli jej rodzice i zajęli się prowadzeniem schroniska dla turystów. Miała więc pełne ręce roboty. W tej chwili nie było sensu rozszerzać działalności na Montanę i Wyoming.

W głębi duszy Lucy wiedziała, że prawdziwym powodem jej wyjazdu jest Sebastian Redwing i obietnica złożona Colinowi. Niedługo przed śmiercią mąż kazał jej przyrzec, że gdyby kiedykolwiek potrzebowała pomocy, zwróci się do Sebastiana, jego przyjaciela o dziwnym charakterze i równie nietypowym życiorysie. Sebastian był fachowcem do spraw bezpieczeństwa, założycielem i współwłaścicielem jednej z najlepszych w kraju fir-

my ochroniarsko-detektywistycznej, Redwing Associates. Colin, który podobnie jak jego ojciec obracał się w świecie wielkiej polityki, zapewne przeczuwał, że może nadejść dzień, gdy jego żona będzie potrzebowała pomocy takiego człowieka. Lucy zastanawiała się, czy ten dzień właśnie nadszedł. W ciągu ostatnich tygodni przydarzyła się jej seria dziwnych incydentów.

Właściwie nie było to nic poważnego i nie miała pewności, czy nie padła ofiarą własnej wyobraźni, ale nie potrafiła się pozbyć dziwnego niepokoju i napięcia. Oprócz tego musiała myśleć o bezpieczeństwie dzieci.

Opadła na fotel i poczuła, że coś ją uwiera. Zapewne szminka lub długopis, albo jakaś zabawka J.T., pomyślała. Przesunęła ręką po siedzeniu i zamarła, czując w dłoni rozgrzany kawałek metalu. To była pistoletowa kula. W pierwszej chwili chciała po prostu wyrzucić znalezisko przez okno, ale powstrzymała się, bo w zetknięciu z asfaltem mogłoby wystrzelić. Nie była to bowiem zużyta łuska, ale prawdziwy nabój z gotową do odpalenia splotką, ładunkiem wybuchowym i pociskiem. Ktoś zostawił taki prezent na siedzeniu jej samochodu.

Okna były przez cały czas otwarte. Drzwi również. Każdy mógł podejść do auta i niespostrzeżenie wrzucić kulę do środka. Lucy poczuła drżenie rąk. Nie, tylko nie to. Oddychała powoli, starając się uspokoić nerwy. Umiała pływać łódką i kajakiem, wspinać się po górach, znała zasady pierwszej pomocy medycznej. Potrafiła również zaplanować w najdrobniejszych szczegółach niebanalne, pełne przygód wyprawy, wymagające sporej sprawności fizycznej. Ale zupełnie nie znała się na broni. Nie chciała

się na niej znać. Do kieszeni szortów szybko wsunęła kulę, by ukryć ją przed córką.

Madison wyszła ze sklepiku w towarzystwie kilku innych nastolatek. Nonszalancko obracała kluczyki na palcu, jakby prowadziła samochód już od lat. Dziewczyny z wyraźnym rozbraniem o czymś rozmawiały. Dzięki Bogu, jej córka jednak ma tu przyjaciółki, choć od początku wakacji bezustannie okazywała, jaka jest samotna i nieszczęśliwa. Oczywiście chodziło jej o to, by wytargować wyjazd do Waszyngtonu. Teraz zręcznie wskoczyła na miejsce kierowcy.

– Siodłaj konie, mamó. Ruszamy.

Lucy ani słowem nie wspomniała o kuli. To był jej problem, nie dzieci. Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że stała się obiektem czyichś prześladowań. Zdarzenia, jakie miały miejsce w ostatnich tygodniach, sprawiały wrażenie zupełnie przypadkowych i wręcz niewinnych, nic nieznaczących i niepowiązanych ze sobą. W żadnym razie nie mogła to być kampania obliczona na wzbudzenie w niej paniki.

Pierwszy z tych incydentów miał miejsce pewnego niedzielnego wieczoru. Okno w jadalni było otwarte i wietrzyk wydymał firanki. Lucy na pewno nie otwierała tego okna. Madison i J.T. również nie zawracaliby sobie tym głowy. Wzruszyła ramionami i postanowiła puścić to wydarzenie w niepamięć, ale następnej nocy tuż przed świtem zadzwonił telefon. Ktoś wydyszał chrapliwe „halo”, po czym odłożył słuchawkę.

Dziwne, pomyślała wtedy Lucy.

A potem, we wtorek, gdy wyjmowała pocztę ze skrzynki stojącej na końcu drogi dojazdowej do domu, odniosła wrażenie, że ktoś ją obserwuje.

Coś przyciągnęło jej uwagę. Może to był trzask łamanej gałązki, może chrzęst żwiru. W każdym razie była pewna, że nie wyobraziła sobie tego dźwięku.

Następnego ranka uczucie to powróciło, gdy zamiatała schodki z tyłu domu. W dziesięć minut później znalazła na frontowym ganku wyrwany z korzeniami krzak pomidora.

A dzisiaj kula w samochodzie.

Mimo wszystko była przekonana, że to za mało, by zawiadomić policję. Z osobna każde z tych zdarzeń można było złożyć na karb dzieci, przyjaciół, pracowników, stresu. Jak miała udowodnić, że ktoś ją obserwuje? Obawiała się, że policja potraktuje ją jak wariatkę. Poza tym dobrze wiedziała, jakie mogłyby być konsekwencje wizyty na posterunku. Policja natychmiast zawiadomiłaby Waszyngton. Waszyngton z kolei czułby się zobowiązany do tego, by przysłać do Vermontu swoją ekipę dochodzeniową.

I to byłby koniec jej spokojnego życia na uboczu.

Chociaż Lucy nigdy tego nie wykorzystywała, wszyscy w miasteczku wiedzieli, że jej teściem jest Jack Swift, wpływowy senator Stanów Zjednoczonych. Była wdową po jego jedynym synu, a Madison i J.T. jego jedynymi wnukami.

Jack natychmiast wziąłby sprawę w swoje ręce.

Nalegałby na przeprowadzenie gruntownego śledztwa przez policję Kapitolu. Musiałby sprawdzić, czy z jego powodu rodzina nie jest narażona na niebezpieczeństwo.



Lucy nie miała pojęcia, po co jakiś wróg Jacka miałby wrzucać kulę na siedzenie samochodu jego synowej. Przez trzy lata udawało jej się żyć spokojnie, z dala od świata wielkiej polityki, i zdecydowana była utrzymać ten stan rzeczy.

Ktoś jednak próbował zakłócić jej spokój. W tej sytuacji kontakt z Sebastianem wydawał się najrozsądniejszym wyjściem. Ale czy to miało jakikolwiek sens? W przeddzień wyjazdu do Wyoming wciąż nie była pewna, czy powinna tam jechać. Nie widziała tego człowieka od lat.

– Mamo? – odezwała się jej córka z niepokojem w głosie.

Lucy nawet nie zauważyła, kiedy Madison wycofała samochód i wyjechała na główną drogę.

– Świetnie ci idzie – powiedziała machinalnie.

– Po prostu myślałam o czymś.

– O czym? Chodzi o moją jazdę?

– Nie, skąd!

– Bo jeśli denerwujesz się, jeżdżąc ze mną, to mogę znaleźć kogoś innego, kto będzie mnie uczył.

– Wcale się nie denerwuję. Tylko nie spuszczaaj oczu z drogi.

– Przecież patrzę – zdenerwowała się Madison, ściskając kurczowo kierownicę. Lucy uświadomiła sobie, że przestraszyła córkę.

– Madison, to ty prowadzisz. Nie możesz sobie pozwolić na to, żeby się rozpraszać.

– Wiem. To przez ciebie.

Lucy wstrzymała oddech. Przez cienki materiał szortów na swoim udzie czuła ciężar kuli. Co by było, gdyby znalazł ją jej syn?

– Nie zwracaj na mnie uwagi. Po prostu jedź. Coraz bardziej zirytowana Madison prychnęła.

Jej niebieskie oczy, rude włosy, introwertyczne usposobienie i niepohamowana ambicja, wszystko to w prostej linii pochodziło od ojca.

Przez dwa tygodnie prowadzenia samochodu zdołała nawet wypracować manierę, która do złudzenia przypominała styl jazdy Colina.

Jej mąż zmarł nagle w wieku trzydziestu sześciu lat podczas meczu tenisowego, który rozgrywał ze swym ojcem. Śmierć spowodowana arytmia serca przerwała błyskotliwą karierę w Departamencie Stanu. Madison miała wtedy dwanaście lat, a J.T. dziewięć. Nie jest dobrze stracić ojca w tak młodym wieku. W sześć miesięcy później Lucy wyrwała dzieci ze środowiska, które dotąd było ich całym światem.

Szkoła, przyjaciele, rodzina, wreszcie, jak to nazywała Madison, „cywilizacja”, wszystko to zostało daleko stąd. Ale gdyby nie ta przeprowadzka, gdyby Lucy nie wykonała wówczas jakiegoś dramatycznego kroku, to mogłoby się zdarzyć, że dzieci straciłyby również matkę, a do tego nie mogła dopuścić.

Sebastian Redwing nie odezwał się po śmierci Colina, nie przysłał nawet kartki ani kwiatów, za to dwa miesiące później w domu Lucy pojawił się jego prawnik i zaproponował jej darowiznę w postaci wiejskiej rezydencji po babci Redwinga w stanie Vermont. Daisy Wheaton zmarła rok wcześniej i dom nie był Sebastianowi do niczego potrzebny.

Lucy wyrzuciła prawnika za drzwi. Skoro Redwing nie potrafił się zdobyć choćby na przysłanie kondolencji, to nie chciała jego cholernego domu.

Prawnik wrócił po miesiącu i tym razem zaproponował jej kupno domu za cenę grubo poniżej wartości rynkowej. Stwierdził też, że wyświadczyłaby tym wielką przysługę Sebastianowi, bowiem życzeniem jego babci było, by w jej domu zamieszkał ktoś z rodziny. Ponieważ jednak Sebastian nie miał rodzeństwa, a jego rodzice już nie żyli, Lucy była najlepszą kandydatką.

Tym razem przyjęła ofertę, choć nadal nie wiedziała dlaczego. Sebastian ocalił kiedyś jej mężowi życie, czemu więc nie chciała, by zrobił to samo dla niej? Prawdę mówiąc, nie potrafiła podać żadnego konkretnego powodu.

Ale była jeszcze obietnica, jaką złożyła Colinowi na krótko przed jego śmiercią. Aż do owego tragicznego dnia na korcie tenisowym żadne z nich nie miało pojęcia, że coś jest nie w porządku z jego sercem. Obietnica wydawała się zupełnie abstrakcyjna, jak rozważania z gatunku: „co byś zrobił, gdybyś znalazł się na bezludnej wyspie”, i Lucy nie przyszło wówczas do głowy, że kiedykolwiek będzie się nad nią poważnie zastanawiać.

Jednak Colin mówił bardzo poważnie.

– Gdyby coś mi się stało, to możesz zaufać Sebastianowi. On jest najlepszy. Uratował mi życie. Mojemu ojcu też. Obiecuję, że gdybyś kiedyś potrzebowała pomocy, pójdziesz do niego.

Obiecała i tym sposobem znalazła się w Vermoncie.

Nie widziała Redwinga ani nie miała od niego żadnych wiadomości od czasu, gdy kupiła dom jego babci. Transakcja zosta-

ła przeprowadzona za pośrednictwem prawnika. Lucy miała nadzieję, że nigdy w życiu nie będzie musiała przypominać sobie o tej obietnicy. Była inteligentna, kompetentna i przywykła do tego, że musi sobie radzić sama.

Dlaczego więc zamierzała spakować rzeczy i nazajutrz rano wyruszyć z dziećmi do Wyomingu, gdzie obecnie mieszkał Sebastian Redwing?

– Mamo!

– Świetnie sobie radzisz. Jedź.

Lekko dotknęła kuli spoczywającej w kieszeni.

Na pewno istniało jakieś proste wyjaśnienie tego incydentu, podobnie jak i wszystkich pozostałych.

Wyjazd do Wyomingu to po prostu zwykła wakacyjna wycieczka. Miejscowi nadal mówili o babci Sebastiana Redwinga „wdowa Daisy”, a pozostałości farmy nazywali „starym domem Wheatonów”. Lucy poznawała jej historię stopniowo, po kawałku.

Daisy Wheaton spędziła w żółtym domu nad Strumieniem Joshui sześćdziesiąt lat wdowieństwa. Miała dwadzieścia osiem lat, gdy jej mąż utonął, ratując chłopca, który wpadł do pobliskiego wodospadu. Było to wczesną wiosną.

W porze roztopów strumień był rwący i wezbrany.

Chłopiec wskoczył do wody, by ratować swego psa, a Joshua Wheaton – by ratować chłopca. Później strumień i wodospad nazwano jego imieniem. Strumień Joshui i Wodospad Joshui.

Jedyna córka Daisy i Joshui marzyła tylko o jednym: żeby wyrwać się z Vermontu. Wyjechała do Bostonu i wyszła tam za mąż, a potem razem z mężem zginęła w wypadku samochodowym.

wym, osierocając czternastoletniego syna. Sebastian zamieszkał z Daisy, ale on również nie osiedlił się w Vermoncie na stałe.

Kilka akrów lasów, pól i ogrodów, oraz stary żółty dom z drewnianymi okiennicami – tyle tylko pozostało z farmy Wheatonów. Daisy po kawałku wyprzedawała ziemię miejscowym farmerom i letnikom na budowę domów. Mówiono, że po śmierci męża nigdy więcej nie poszła nad

Strumień Joshui.

Wdowa Daisy, a teraz wdowa Swift, pomyślała Lucy z krzywym uśmiechem, zbliżając się ścieżką do niewielkiej stodoły, w której urządziła biuro. Pomyślała o swojej przyszłości i wyobraziła sobie, jak to jest spędzić w tym miejscu sześćdziesiąt samotnych lat.

Zatrzymała się, nasłuchując szumu strumienia, który toczył się po kamieniach za stodołą.

Brzegi obudowane były stromym, drewnianym obramowaniem. Wodospad znajdował się dalej, na wzgórzach. Tutaj strumień był szeroki i powolny. Dalej przepływał pod drewnianym mostkiem i w końcu wpadał do rzeki. Słyszała pszczoły brzęczące w krzewach przed garażem.

Popatrzyła na rozległy trawnik, świeży i wilgotny po niedawnym deszczu, na ładny, dziewiętnastowieczny dom z białymi petuniami, zwieszającymi się w girlandach na werandzie. Na podwórzu rosły stare klony, za domem znajdował się ogród warzywny i sad jabłoniowy.

Kamienny mur odgradzał ogród od łąki i wzgórz. Było tu pięknie i cicho.

– Mogło być gorzej – szepnęła Lucy i weszła do biura.

Prawie wszystko, co wiedziała o rodzinie Wheatonów-Redwingów, pochodziło nie od milczącego Sebastiana, lecz od Roba Kileya, jej jedyne go pełnoetatowego pracownika, który teraz siedział przed komputerem pośrodku stodoły, służącej za siedzibę firmy. Ojciec Roba był owym chłopcem, którego Joshua Wheaton ocalił przed sześćdziesięciu laty. Żyjąc w małej społeczności,

Lucy nauczyła się już nie dziwić takim zbieżnościom, wręcz uznała je za nieuniknione.

– Nienawidzę komputerów – mruknął Rob, nie podnosząc głowy.

– Powtarzasz to za każdym razem, gdy tu wchodzę – uśmiechnęła się Lucy.

– Bo chcę wreszcie wbić do tej twojej zakutej pały, że potrzebujemy kogoś, kto siedziałby tu i przez cały dzień bębnił w klawisze.

– Co robisz? – zapytała Lucy.

Nie zaglądała mu przez ramię, bo wiedziała, że to go doprowadza do szału. Był chudym vermontczykiem o swobodnym sposobie bycia.

Jego znajomość wzgórz, dolin, rzek i wybrzeża północnej Nowej Anglii była dla Lucy nieoceniona, podobnie jak entuzjazm, uczciwość i przyjaźń, którą ją darzył.

– Właśnie układam ostateczny, wryty w kamieniu, nieodwołalny oraz szczegółowy plan wędrowki z plecakami dla ojców i synów – oświadczył. To miała być premiera: pięciodniowa wyprawa dla początkujących po ścieżkach południowych Gór Zie-

lonych. Zgłoszenia napływały zdumiewająco szybko. Rob podniósł głowę. Lucy odgadła, o czym myślał.

– J.T. wciąż jeszcze może się do nas przyłączyć.

Mówiłem mu, że co prawda nie zastąpię mu ojca, ale i tak będziemy się dobrze bawić.

– Wiem – przyznała Lucy. – Ale nie mogę decydować za niego.

Rob pokiwał głową.

– Jest jeszcze trochę czasu. Aha, obaj z Georgiem wykopują teraz robaki w ogrodzie.

Ta wiadomość nie zaskoczyła Lucy.

– Madison będzie zachwycona. Wyślę ją, żeby do nich zajrzała.

Rob odchylił się do tyłu w fotelu i przeciągnął.

Spędzanie przy komputerze dnia, który świetnie nadawał się na spływ kajakiem, było dla niego prawdziwą torturą.

– Jak jej idzie jazda? – zapytał.

– Lepiej niż kiedyś mnie. Wciąż próbuje wytargować ten semestr w Waszyngtonie.

– Dziadek Jack byłby zachwycony.

– Wyidealizowała sobie ten Waszyngton. Wydaje jej się, że tam jest wszystko, czego nie ma tutaj.

– Bo to prawda. – Rob wzruszył ramionami.

– Dzięki za pomoc! – zaśmiała się Lucy, ale gdy wsunęła rękę do kieszeni, natychmiast spowaźniała. – Chciałabym ci coś pokazać. Tylko nikomu o tym nie wspominaj.

– Czy mam zapytać, dlaczego?

– Nie. Po prostu mi to obiecaj.

– W porządku, nikomu nie powiem.

Lucy rozchyliła palce i pokazała kulę.

– Co o tym myślisz?

Rob zmarszczył czoło.

– To kula.

– Wiem, że to kula, ale jaka?

Wyjął nabój z jej dłoni i nonszalancko postawił go przed sobą na zagraconym biurku. Od dziecka był z bronią za pan brat.

– Magnum czterdzieści cztery.

Lucy skinęła głową.

– Wiem. Czy to może wypalić?

– Nie tutaj, na biurku. Ale gdybyś go upuściła albo przejechała po nim na przykład kosiarką do trawy, to owszem.

Lucy przebiegł zimny dreszcz.

– To niedobrze – powiedziała powoli.

– Gdyby wypalił w takiej sytuacji, to nie miałabyś żadnej kontroli nad torem jego lotu. Używając pistoletu, możesz przynajmniej w coś celować. Możesz również spudłować, ale gdybyś wjechała na to kosiarką, ten pocisk poleciałby tam, gdzie by mu się podobało. – Głos Roba był spokojny, ale ciemne oczy przybrały poważny wyraz. – Gdzie to znalazłaś?

Lucy nie chciała kłamać, ale nie miała również ochoty ujawniać prawdy.

– Co? Och. W mieście. To chyba nie jest takie ważne.

– Mam nadzieję, że Georgie albo J.T. nie mieli z tym nic wspólnego? Jeśli zabawiają się gdzieś bronią albo amunicją...

– Nie! – wykrzyknęła Lucy. – Pół godziny temu znalazłam ten pocisk w mieście. Nie chciałam, żeby komuś stała się



krzywda, więc zabrałam go ze sobą. Przyszło mi do głowy, że może niepotrzebnie panikuję.

Rob lekko dotknął szarego, metalowego czubka.

– Bardzo dobrze zrobiłaś. Ktoś zachował się wyjątkowo nieostrożnie. Lucy, chcesz, żebym się go pozbył?

– Proszę cię.

– Zrób coś dla mnie, dobrze? Sprawdź pokój J.T. Ja poszukam u Georgiego. Jeśli coś znajdę, dam ci znać, a ty mnie. Nie trzymam w domu broni i wiem, że ty też nie, ale to nie byłby pierwszy wypadek, gdy dwunastoletni chłopcy...

– To nie był J.T. ani Georgie.

Rob spojrzał jej prosto w oczy.

– Jeśli ty nie przeszukasz pokoju J.T., to ja to zrobię.

Lucy skinęła głową.

– Masz rację. Sprawdzę.

– W piwnicy też sprawdź. Ja w tym wieku omal nie wyleciałem w powietrze przy zabawach z prochem strzelniczym.

– Nie mam w domu prochu...

– Lucy!

– Dobrze już, dobrze – westchnęła. Rob patrzył na nią w milczeniu. Znała go od samego początku swojego pobytu w Vermoncie. On i jego sympatyczna żona, Patti, byli tutaj jej najbliższymi przyjaciółmi. Georgie i J.T. stali się nierozłączni. Nic jednak nie wspomniała o niedawnych wydarzeniach, tylko powiedziała:

– Po prostu pozbądź się tej kuli, dobrze?

– Jasne – odrzekł, krzyżując ręce na piersi.

Wiedziała, co myślał Rob. Każdy na jego miejscu uznałby, że Lucy po prostu znalazła się na skraju wyczerpania nerwowego, przytłoczona przez szybko rozwijającą się firmę, wdowieństwo, samotne macierzyństwo i zbliżający się wyjazd na zachód. Wiedziała jednak, że Rob nie lubi wtrącać się nieproszony w cudze sprawy i skorzystała z tej jego cechy.

– Przepraszam cię, ale chyba za bardzo się tym przejęłam. Jestem trochę zdenerwowana z powodu wyjazdu. Dasz sobie radę ze wszystkim?

– Przecież to było wyraźnie napisane w moim podaniu o pracę. „Kandydat umie dawać sobie radę ze wszystkim”.

Jego uśmiechniętym rozjaśnił oczu, Lucy jednak udała, że tego nie dostrzegła.

– Rob, co ja bym bez ciebie zrobiła? – zapytała z uśmiechem.

– Zbankrutowałabyś – odrzekł bez wahania.

Zaśmiała się z ulgą, zadowolona, że pocisk nie ciąży jej już w kieszeni. Te przypadki na pewno nie miały ze sobą żadnego związku.

Przecież nie było nikogo, kto mógłby mieć jakikolwiek powód, by knuć spisek przeciwko niej.

Zostawiła Roba nad komputerem i wyszła ze stodoły.

– Zrobiłam lemoniadę! – zawołała Madison z werandy.

Dziewczyna dopiero od kilku miesięcy pałała niechęcią do Vermontu. Wcześniej bardzo jej się tu podobało. Lucy weszła na werandę umeblowaną wiklinowymi sprzętami. Na stoliku stał dzbanek Daisy, a Madison miała na sobie jej fartuch kuchenny. Sebastian sprzedał im dom wraz ze wszystkim, co się w nim znajdowało.

- Może chłopcy mają ochotę na lemoniadę? Pytałaś ich?
- Szukają robaków za domem. To obrzydliwe! Są spoceni i śmierdzący.
- Kiedyś sama uwielbiałaś to robić – uśmiechnęła się Lucy.
- Błeee – wykrzywiła się dziewczyna.
- W takim razie ja ich zapytam. A skoro ty zrobiłaś lemoniadę, oni mogą posprzątać.

Chłopcy pracowicie ryli ziemię na skraju warzywniaka, tuż przy pomidorach Lucy. Właściwie nie miała nic przeciwko temu. W zamiłowaniu do ogrodnictwa nie mogła się równać z Daisy. Większość grządek zajmowały płozące się rośliny: dynie, kabaczki, ogórki. Lucy nie zamierzała zamrażać warzyw ani robić przetworów.

Wystarczała jej sama uprawa.

– Madison zrobiła lemoniadę – odezwała się, podchodząc do chłopców. – Macie ochotę?

– Później – odrzekł J.T., nawet nie podnosząc wzroku znad dziury w ziemi.

Podobnie jak Madison, odziedziczył po ojcu rude włosy i niebieskie oczy, ale jego krępa sylwetka bardziej przypominała rodzinę Blackerów.

Lucy pomyślała o swym krzepkim, łagodnym ojcu i uśmiechnęła się. Ona sama miała drobną figurę i jasne włosy matki, a po obojgu rodzicach odziedziczyła zamiłowanie do zajęć na świeżym powietrzu. Rodzice niedawno zakończyli kariery zawodowe w Smithsonian Institute i przenieśli się do Kostaryki, gdzie prowadzili schronisko turystyczne.

Lucy zamierzała pojechać tam razem z dziećmi na Święto Dziękczynienia. Przy okazji chciała dopracować szczegóły wycieczki do Kostaryki, którą zamierzała włączyć do zimowej oferty. Była to długa i zmudna praca, wymagająca wielu obliczeń i sprawdzenia wszystkich szczegółów dotyczących transportu, wyżywienia, zakwaterowania i planów awaryjnych. W niczym nie wolno było zdawać się na przypadek.

Podróż do Kostaryki na pewno miała więcej sensu niż wyprawa do Wyomingu na spotkanie z Sebastianem Redwingiem.

J.T. rękami nagarniał ziemię do puszki, którą wcześniej wyjął z kosza na śmieci.

– Chcemy iść na ryby i potrzeba nam mnóstwo robaków. Chcesz zobaczyć?

Lucy niepewnie zerknęła na wijącą się zawartość puszki.

– Fantastyczne. Ale nie odchodźcie za daleko od domu i nie zbliżajcie się do wodospadu.

– Wiem, mam – mruknął J.T.

No tak, jasne. Jej dzieci wiedziały wszystko.

Przedwczesna utrata ojca nie podkopała ich pewności siebie. Odziedziczyły optymizm i energię Colina, wraz z jego wiarą w lepsze jutro i entuzjastyczne angażowanie się w różne działania.

I, podobnie jak ich ojciec, uwielbiały robić milion rzeczy naraz.

Zostawiła chłopców przy robakach i wróciła na werandę. Madison przyniosła płócienne serwetki i talerz z herbatnikami.

– Czuję się jak Ania z Zielonego Wzgórza – oświadczyła, marszcząc nos. – Mam, ja naprawdę nie chcę jechać do tego Wyomingu! Dlaczego nie mogę zostać w domu? To tylko jeden

weekend! Rob i Patti mieliby na mnie oko. Mogę też zaprosić jakąś koleżankę na noc!

Lucy nalała sobie lemoniady i usiadła na wiklinowej kanapie.

– Zdawało mi się, że bardzo chcesz wyjechać z Vermontu – zauważyła.

– Ale nie do Wyomingu. Tam są tylko góry i drzewa, jak tutaj!

– Większe góry i inne drzewa. A w Jacksonie są dobre sklepy.

Na twarzy Madison pojawiła się nadzieja.

– Czy to znaczy, że dasz mi pieniądze?

– Dam ci trochę, ale miałam na myśli głównie oglądanie.

Tam jest bardzo drogo.

Madison nie zamierzała poddać się tak łatwo.

– Jeśli mam siedzieć w samolocie obok J.T., to muszę mu najpierw przejrzeć kieszenie.

– Spodziewam się, że będziesz traktować brata z szacunkiem i od niego oczekuję tego samego wobec ciebie.

Madison przewróciła oczami. Lucy napiła się słodko-cierpkiej lemoniady i pomyślała, że da córce jeszcze weekend, a potem będzie musiała przeprowadzić z nią poważną rozmowę. Ale w głębi duszy sama uważała, że podróż do Wyomingu nie ma sensu, a dzieci to wyczuwały.

Petunie domagały się wody. Popatrzyła na trawnik z wielkimi klonami i krzewami róż, które trzeba było przyciąć. Napiła się jeszcze lemoniady i poczuła, że wraca jej spokój. Od tak dawna radziła sobie sama. Była pewna, że i teraz obędzie się bez pomocy Sebastiana Redwinga.

Po kolacji J.T. zgodził się łaskawie, by matka pomogła mu się spakować. Lucy wypatrywała w jego pokoju śladów broni i amunicji, ale niczego podejrzanego nie zauważyła. Pokój odzwierciedlał zwykły dla dwunastolatków chaos zainteresowań. Były tu plakaty z wędrownymi sokołami, wypchane zwierzęta, modele z klocków lego, sprzęt sportowy, gry komputerowe, ohydne figurki wojowników i potworów oraz o wiele za dużo samochodzików na baterie.

W pokoju nie było telewizora ani komputera. Brudne ubrania leżały na podłodze razem z czystymi. Z na w pół otwartych szuflad zwieszały się skarpetki i bielizna. Pokój przesiąknięty był zapachem brudnych skarpet, potu i ziemi. Okno wychodziło na tyły domu.

– Mam nadzieję, że nie przyniosłeś tu robaków? – zapytała Lucy podejrzliwie.

– Nie, ja i Georgie wypuściliśmy je. – Spojrzał na matkę i poprawił się szybko: – Georgie i ja.

Uśmiechnęła się i zatrzymała wzrok na przypiętej do tablicy fotografii J.T. z Colinem. Zdjęcie było wytarte i miało rogi podziurawione od niezliczonych pinezek, którymi J.T. przypinał je w różnych miejscach. Ojciec i syn, zastygli w czasie, łowili ryby. Na widok twarzy człowieka, którego kochała, Lucy uśmiechnęła się smutno.

Poznali się w college’u i bardzo szybko wzięli ślub. Patrząc na fotografię, miała wrażenie, że ona sama posuwa się w czasie i starzeje, podczas gdy Colin pozostał na zawsze taki jak kiedyś,

nietknięty przez ból i lęk, jaki ogarnął ją w dniu, gdy Jack zastukał do jej drzwi z wiadomością, że jego syn nie żyje.

Ostrze bólu stępiło się przez lata. Lucy nauczyła się żyć bez Colina, jej dzieci też. Potrafili już wspominać go bez łez, czasem nawet ze śmiechem.

– Zapakuj do plecaka to, co jeszcze chcesz ze sobą zabrać – powiedziała w końcu, odrywając wzrok od fotografii. – Jaką książkę teraz czytasz?

– „Gwiezdne wojny”.

– Nie zapomnij jej zabrać.

Policzyła koszulki, skarpetki i bieliznę, zastanawiając się przy tym, czy powinna jeszcze przeszukać garaż i piwnicę. W końcu odłożyła stertę ubrań na łóżko.

– Cieszę się, że jedziesz. Chcesz, żebym ci pomogła ułożyć to wszystko w walizce, czy poradzisz sobie sam?

– Poradzę sobie – zapewnił ją.

Wstała i poszła do pokoju Madison. Drzwi były zamknięte. Ze środka dobiegała muzyka, tym razem nie nazbyt głośna. Gdyby Madison potrzebowała pomocy w pakowaniu, sama by o to poprosiła, pomyślała Lucy i zeszła na dół.

Zatrzymała się w kuchni i nastawiła wodę na herbatę. Kuchnia była jasna i przytulna: białe szafki na tle jasnożółtych ścian. Dobre schronienie podczas ciemnych wieczorów. Po przyjeździe do Vermontu Lucy z zaskoczeniem odkryła, jak czarne są tu noce.

Usiadła przy sosnowym stole i wyjrzała na podwórze, zastanawiając się, jak wiele samotnych wieczorów spędziła na tym krześle Daisy.

Filizanka herbaty, cichy dom. Wdowa Daisy.

Wdowa Swift. Zapadał już zmierzch. Lucy wręcz fizycznie odczuwała pogłębiającą się ciszę i wrażenie samotności. Czasami w takie wieczory nastawiała telewizor lub radio, czasami włączała laptop i pisała e-maile albo dzwoniła do kogoś ze znajomych. Ale dzisiaj musiała się spakować.

Zaparzyła rumiankową herbatę i z kubkiem w ręku poszła zamknąć drzwi wejściowe. Na starych drewnianych podłogach kładły się cienie.

Archaiczne zamki nie stanowiły żadnej przeszkody dla ewentualnego włamywacza.

Od strony jadalni rozległ się jakiś dźwięk. Lucy poszła w tę stronę.

Jadalnia wyglądała dokładnie tak samo jak za czasów Daisy. Lucy nie zmieniła tu żadnego szczegółu. Staroświecki pstryczek na ścianie zapalał lampę z mlecznego szkła, oświetlającą spłowiwały, ręcznie tkany dywanik, tapetę w róże i kredens z naczyniami stołowymi. Przy jednej ze ścian stało pianino z lat dwudziestych. Lucy marzyła, że kiedyś je nastroi, wypierze dywanik, wycyklinuje podłogę, zmieni tapety i zaprosi całą rodzinę na Święto Dziękczynienia. Może nawet jej teść zechciałby przyjechać. Niewiele pracy trzeba by włożyć, aby ten pokój stał się bardzo piękny.

Nagły powiew chłodnego powietrza wywołał gęsią skórkę na jej ramionach.

Ktoś otworzył okno. Znowu.



Stare, wysokie okna były wypaczone i otwierały się z trudem. Lucy w lecie prawie nie używała jadalni, toteż nie zawracała sobie głowy szarpaniem się z klamkami. Zamierzała je zakonserwować, ale jeszcze się do tego nie zabrała.

Przesunęła ręką po ścianie i zapaliła światło.

To musiała być sprawka kogoś z dzieci. Kto inny mógłby się zakraść do domu i otworzyć okno?

Na podłodze coś zabłysło. Lucy podeszła bliżej i zobaczyła odłamki szkła. Wyprostowała się szybko i rozejrzała dokoła. Okno nie było otwarte, tylko stłuczone. Od niewielkiego otworu pośrodku szyby rozchodziła się pajęczyna pęknięć.

Odstawiła na stół kubek z herbatą i ostrożnie dotknęła palcem krawędzi otworu. Tej szyby nie stłukł zabłąkany ptak ani piłka baseballowa.

Otwór był za mały.

Kamień?

Pocisk?

Serce zaczęło jej głośno dudnić. Nie, tylko nie to. Nie dwukrotnie w ciągu jednego dnia.

Na krześle stojącym przy pianinie, dokładnie naprzeciwko okna, zobaczyła okruchy tynku, a wyżej, w ścianie, była dziura. Lucy wstrzymała oddech, wspięła się na krzesło i przesunęła ręką po postrzępionej krawędzi tapety. Czubki jej palców pokrył gipsowy pył.

Dziura była pusta. Nie znalazła w niej kuli.

Zeszła z krzesła i na czworakach zaczęła przeszukiwać podłogę. Zajrzała pod pianino, podniosła brzegi dywanika. W końcu usiadła i zaczęła się zastanawiać. A więc jednak. Jakiś łajdak

strzelił jej w okno, zakradł się do domu, zabrał kulę i znów zniknął, przez nikogo niedostrzeżony.

Kiedy? Jak? Dlaczego? I jak to możliwe, by nikt niczego nie zauważył ani nie usłyszał?

Wczoraj wieczorem była z dziećmi w Manchesterze.

To mogło się zdarzyć wtedy. Dom był pusty.

Okno jadalni wychodziło na wschód. Dalej był garaż, stodoła, strumień. Może jakiś myśliwy, który polował w lesie nad strumieniem, przypadkiem trafił w jej okno, wpadł w panikę, zakradł się do domu i zabrał kulę? Ale dobrze wiedziała, że to nie był przypadek.

Zastanawiała się, co robić dalej. Wiedziała, że jeśli zadzwoni po policję, to tej nocy nie pójdzie już spać, a poza tym będzie musiała opowiedzieć wszystko dzieciom. A to byłby dopiero początek.

Policjanci skontaktowaliby się z Waszyngtonem, a policja z Kapitolu czułaby się w obowiązku sprawdzić, czy te wydarzenia miały coś wspólnego z Jackiem Swiftem, no i oczywiście powiadomiłaby o wszystkim jej teścia. Lucy podniosła się niepewnie. Czy teraz miała już wystarczający powód, by odwiedzić Sebastiana Redwinga?

Wróciła do kuchni, wylała herbatę do zlewu i zamknęła tylne drzwi, a potem poszła do swojej sypialni.

– Przydałby się pies – mruknęła do siebie.

Duży, zły, głośno szczekający pies. Mogłaby go wytresować tak, by chodził na ryby z J.T.

Madison na pewno też by go polubiła.

Podjęła decyzję. Do diabła z Redwingiem. Zaraz po powrocie z Wyomingu zacznie się rozglądać za psem.



## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Sebastian zsunął się z konia i opadł w cień.

Znajdował się na dalekich krańcach swej posiadłości i był pewien, że nikt go tu nie znajdzie.

A jednak dopadli go. W rozkołysanym dżipie, który zbliżał się w jego stronę, było ich dwóch. Mógł przejechać konno na drugi brzeg rzeki, ale był pewien, że ci idioci ruszyliby za nim.

Napił się wody z manierki, zdjął kapelusz i połał sobie głowę. Tęsknił do prysznica. Powietrze było nagrzane i pełne kurzu. Panowała susza. Miał nadzieję, że ci w dżipie mają ze sobą wodę, bo nie zamierzał się z nimi dzielić. W najgorszym wypadku mogli się napić z rzeki.

Dżip był coraz bliżej.

– Spokojnie – powiedział Sebastian do konia, który jednak nie wydawał się zaniepokojony ani nawet zgrzany.

Samochód zatrzymał się jakieś dwadzieścia metrów od niego i wyskoczył z niego mężczyzna.

– Pan Redwing?

Sebastian skrzywił się. Fakt, że mężczyzna zwrócił się do niego po nazwisku, nie wróżył niczego dobrego. Nasunął kapelusz na oczy i oparł się na łokciach.

– O co chodzi?

– Panie Redwing, nazywam się Jim Charger.

Pan Rabeledeira wysłał mnie, żebym pana jak najprędzej odnalazł.

– No i?

Charger przez chwilę nic nie mówił. Pracował w firmie od niedawna i chyba czekał, aż Sebastian wstanie i zacznie się zachowywać tak, jak przystało na współwłaściciela i twórcę Redwing Associates, międzynarodowej agencji ochroniarsko-detektywistycznej. Sebastian jednak czekał, nie odsuwając kapelusza z oczu. W końcu westchnął, zniecierpliwiony, domyślając się, że

Jim Charger nie odjedzie, dopóki nie przekaze mu tego, co miał do powiedzenia.

Sebastian lubił Platona Rabeledeira. Zaprzyjaźnili się, gdy mieli po dwadzieścia lat i tak było do dzisiaj. Bez wahania powierzyłby mu zarówno swoje życie, jak i życie przyjaciół.

Ale gdyby to Plato siedział w samochodzie, Sebastian gotów byłby przywiązać go do drzewa i zostawić tutaj na pastwę losu.

– No dobra, panie Charger – mruknął, odsuwając kapelusz z czoła i przypatrując się intruzowi. Wysoki, jasnowłosy, o wysportowanej sylwetce, w zakurzonym, drogim garniturze.

Import z Waszyngtonu, prawdopodobnie były pracownik FBI. – O co chodzi? – powtórzył.

Jeśli nawet Redwing nie spełniał jego oczekiwań, Jim Charger w niczym tego nie okazał.

– Pan Rabeledeira prosił, żeby przekazać panu wiadomość. Darren Mowery wrócił.

Sebastian z wysiłkiem zachował kamienną twarz, ale krew napłynęła mu do twarzy. Od roku żył w przekonaniu, że Mowery nie żyje.

– Dokąd wrócił?

– Do Waszyngtonu.

– I co ja mam z tym zrobić?

– Nie wiem. Miałem przekazać panu wiadomość i podkreślić, że to ważne.

Darren Mowery był największym wrogiem Sebastiana. Nikt nie nienawdził go równie mocno.

Kiedyś Sebastian powierzyłby mu swoje życie i życie przyjaciół, ale te czasy dawno minęły.

– Jeszcze jedno – dodał Charger. – Mowery skontaktował się z pewną kobietą w biurze senatora Swifta.

Jack Swift, senator stanu Rhode Island. Nieskazitelnym polityk, znany z uczciwości i oddania służbie publicznej, teść Lucy Blacker Swift.

Niech to diabli, pomyślał Sebastian. Na swoim weselu Colin Swift wymógł na nim obietnicę, że zaopiekuje się Lucy, jeśli cokolwiek złego mu się stanie. „Lucy nie potrzebuje opieki” – powiedział wtedy. „Ale wiesz, o co mi chodzi”.

Sebastian właściwie nie wiedział, o co chodziło Colinowi. On sam nie miał nikogo, kto wymagałby opieki. Jego rodzice nie żyli, nie miał też rodzeństwa, żony ani dzieci. Ale jego profesja polegała na opiekowaniu się innymi.

Chodziło przede wszystkim o to, żeby zachować podopiecznych przy życiu, a także uchronić ich portfele przed kradzieżą. To nie miało jednak nic wspólnego z przyjaźnią.

Colin chyba przeczuwał, że umrze młodo, a żona i dzieci będą musiały radzić sobie bez niego. Ale gdy Sebastian składał tę obietnicę, nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie musiał jej dotrzymać.

– Co mam powiedzieć panu Rabedeneirze? – zapytał Charger.

Darren Mowery... Sebastian znów nasunął kapelusz na oczy. Przed rokiem postrzelił Darrena.

Sądził, że śmiertelnie, ale nie sprawdził tego. W jego fachu to była niewybaczalna lekkomyślność. Nie miało znaczenia, że kiedyś Mowery był jego nauczycielem i przyjacielem, i że Sebastian niejednokrotnie go widział, jak bez wahania wkraczał prosto do piekła. Gdy się do kogoś strzelało, należało potem sprawdzić, czy ten ktoś na pewno nie żyje. Taka była zasada.

Tak, przyrzekał Colinowi, ale w tej sprawie nie chodziło o Lucy, lecz o Jacka Swifta. Plato będzie musiał zająć się tym sam. Osobiste zaangażowanie Sebastiana mogłoby tylko przysporzyć niepotrzebnych kłopotów.

– Powiedz Platonowi, że odszedłem na emeryturę.

– Na emeryturę?

– Tak. On o tym wie. Przypomnij mu.

Charger nie poruszył się.

Sebastian wyobraził sobie Lucy na werandzie domu, który kiedyś należał do jego babci. Poczł zapach letniego wiatru, strumienia i wilgotnego mchu. Lucy musiała wynieść się z Wa-



szyngeonu, a on jej to umożliwił. Dotrzymał słowa i nic już nie był winien Colinowi.

Postanowił przestać o niej myśleć. To nigdy nie prowadziło do niczego dobrego.

– Przekazałeś wiadomość – powiedział do Chagera. – Teraz jedź przekazać moją.

– Tak, proszę pana.

Dzisiaj oddalił się. Sebastian wiedział, że nie spełnił oczekiwań Platona. No cóż, własnych też nie spełniał. Odszedł na emeryturę i to był koniec tematu.

Klucze do waszyngtońskiego mieszkania drżały w ręku Barbary Allen. W gardle ją paliło, była spocona, a całe ciało miała pokasane przez komary. Chciało jej się jednocześnie płakać i krzyżeć z podniecenia. W końcu zaczęła działać! To było niewiarygodne.

Otworzyła drzwi i uderzył ją zaduch. Przed wyjazdem do Vermontu wyłączyła klimatyzację.

Vermont był znacznie chłodniejszy i przyjemniejszy od Waszyngtonu. Szybko zamknęła drzwi i wzięła głęboki oddech. A więc dotarła do domu.

Co było najbardziej zadziwiające, nie miała żadnych wyrzutów sumienia. Zdawała sobie sprawę, że dopuściła się czegoś złego. Jej obsesja na punkcie Lucy Swift przechodziła w patologię.

Normalni ludzie nie szpiegowali innych, nie zakradali się do ich mieszkań i nikogo nie terroryzowali. Ale Lucy Swift zasłużyła sobie na życie pod presją strachu. Była najgorszą matką

na świecie, impulsywną i lekkomyślną, bez żadnych wymagań wobec siebie. Colin potrafił zapobiec jej najbardziej drastycznym ekscesom, ale odkąd go zabrakło, nikt już nie temperował zachowań Lucy.

Od ponad roku Barbara potajemnie wymykała się do Vermontu w piątkowe popołudnia i z ukrycia śledziła Lucy. W niedzielę wracała do Waszyngtonu i znów przeistaczała się w prawą rękę Jacka Swifta, w zaufaną osobistą sekretarkę.

Oddała mu dwadzieścia lat swojego życia, była przy nim w dobrych i złych chwilach, podczas wzlotów i upadków jego kariery politycznej, próby terrorystycznego zamachu, długiego, bolesnego umierania jego żony i nagłej śmierci syna.

Decyzja Lucy o przeprowadzce do Vermontu była ostatnią kroplą przepelniającą czarę goryczy.

Barbara wiedziała, że Jack nie akceptuje metod wychowawczych swojej synowej. Madison tęskniła do prawdziwego życia, J.T. w towarzystwie swych brudnych wiejskich przyjaciół robił, co chciał. Ale Jack nigdy w życiu nie uczyniłby ani nie powiedział niczego, co mogłoby zbudzić Lucy z jej słodkiego snu.

W takim razie musiała to zrobić ona. I wreszcie się na to zdobyła.

Ludzie mogli jej nie doceniać, sądzić, że znają ją na wylot, ale ona i tak wiedziała swoje. Wiedziała, że ma wystarczająco wiele odwagi i samodyscypliny, by przeprowadzić to, co sobie zaplanowała.

Pchnęła nogą walizkę do kąta obok szafy, włączyła klimatyzację na pełną moc i weszła do salonu, który, podobnie jak całe mieszkanie, umeblowany był prosto i nowocześnie. Czyste linie

i wyraźne kolory odzwierciedlały jej siłę charakteru. Nie znosiła uroczych drobiazgów.

Mieszkanie znajdowało się w bezbarwnym budynku na brzegu Potomaku. Widok z okien nie odznaczał się niczym szczególnym, ale Barbara spędzała tu niewiele czasu. Codziennie rano stawiała się w biurze o ósmej i rzadko wychodziła przed siódmą.

Usiadła obok wentylatora i przymknęła oczy, rozkoszując się powiewem świeżego powietrza. Miała na sobie długie spodnie i bluzkę z długimi rękawami, by ukryć ślady ukąszeń komarów, dowody jej odwagi. To nie słabość motywowała ją do działania, lecz siła charakteru i przekonania. Nie zlekceważyła żadnego szczegółu. Pojechała do Vermontu samochodem wynajętym w Waszyngtonie i zatrzymała się w motelu w Manchesterze. Na wypadek, gdyby Lucy przypadkiem się na nią natknęła, przygotowała sobie wiarygodną historyjkę: „Och, Lucy, właśnie zamierzałam odwiedzić ciebie i dzieci!

Wzięłam sobie kilka dni wolnego, chciałam pochodzić po sklepach i wybrać się na małą wycieczkę. Słyszałaś ten strzał? Parę minut temu widziałam nad strumieniem jakiegoś człowieka ze strzelbą. Ktoś ćwiczy strzelanie bardzo blisko twojego domu!”

Wymówka okazała się niepotrzebna. Przed przystąpieniem do działania Barbara dokładnie sprawdziła cały teren. Lucy była zbyt skoncentrowana na sobie i za głupia, by ją podejrzewać.

Strzał w okno jadalni okazał się jej największym wyczynem. To było jeszcze lepsze niż kula na siedzeniu samochodu. Barbara poczekała, aż Lucy zabrała dzieci do Manchesteru. Zaparko-

wała samochód na poboczu drogi, jak uczyniłby ktoś wybierający się obejrzeć wodospad. Pokonała strumień, przeskakując z kamienia na kamień, a potem, nisko pochylona, wspinała się po stromej, zalesionej skarpie, aż dom Lucy znalazł się w polu widzenia. Pod osłoną krzewów padła na ziemię, nie zważając na chmary komarów, ani na chwilę nie tracąc przytomności umysłu i koncentracji.

Gdyby ktoś ją wtedy zobaczył, nie miałaby nic na swoje usprawiedliwienie. Ale ryzyko niezmiernie ją pociągało, dodawało specyficznego smaczku całej wyprawie. Barbara ze zdziwieniem odkryła w sobie zamiłowanie do niebezpiecznych sytuacji. Nigdy wcześniej nie miała okazji odkryć tej strony swojego charakteru.

Jej ojciec nauczył strzelać wszystkie cztery córki. Nigdy nie przyznał się do tego, że pragnął mieć syna, ale cała rodzina dobrze o tym wiedziała. Barbara była najmłodszą z sióstr, ostatnią zawiedzioną nadzieją ojca, dlatego szczególnie przykładała się do strzelania. Nikt w biurze Jacka Swifta nie wiedział, że dobrze włada bronią. Znana była wyłącznie ze swego profesjonalizmu, kompetencji i lojalności wobec szefa. Dopiero po oddaniu strzału, gdy spocona leżała wśród kolczastych krzewów, przyszło jej do głowy, że mogłaby wejść do domu po kulę.

Nie chodziło jej o zabranie dowodu, tylko o to, by jeszcze bardziej przestraszyć Lucy. Barbara wyobrażała sobie, jak Lucy wchodzi do jadalni, zauważa roztrzaskaną szybę i z przerażeniem zdaje sobie sprawę, że ten, kto strzelił, wyciągnął również kulę ze ściany.

Tylne drzwi domu nie były zamknięte. Może to ją czegoś nauczy, pomyślała Barbara z mściwą satysfakcją. Pragnienie, by zmaćć spokój Lucy i wpędzić ją w panikę, nie opuszczało jej od wielu dni. Teraz wreszcie napięcie zelzało i mogła myśleć spokojniej.

– A więc wróciłaś.

Drgnęła, powstrzymując okrzyk zaskoczenia.

– Darren, mój Boże, ależ mnie przestraszyłeś!

Co ty tu robisz?

– Czekałem na ciebie – odrzekł, siadając na kanapie.

Barbara pomyślała, że już sama znajomość z Darrenem Mowerym niosła ze sobą wielkie zagrożenie. Słyszała krążące po Waszyngtonie plotki. Darren skrecił na dziwne ścieżki, wyniku czego stracił firmę i miał zginąć w Ameryce Południowej.

– Mogłeś chociaż włączyć klimatyzację – powiedziała i uśmiechnęła się niepewnie.

– Nie jest mi gorąco.

– To znaczy, że zmieniłeś się w jaszczurkę.

Spotkali się przypadkiem przed kilkoma tygodniami w waszyngtońskiej restauracji, a potem kilka razy zjedli razem kolację. Darren nie interesował Barbary jako mężczyzna ani ona jego jako kobieta, przynajmniej nic na to nie wskazywało. Nie miała pojęcia, do czego może doprowadzić ta znajomość, jednak instynkt mówił jej, że okaże się ważna. Miała nadzieję, że Darren w jakiś sposób pomoże jej wydostać się z rutyny, w jaką popadła. To chyba dzięki niemu w końcu zdecydowała się podjąć jakieś kroki przeciwko Lucy.

– Znikłaś na cały tydzień – zauważył Darren.

– Nie znikłam, tylko wzięłam sobie wolne. Mówiłam ci przecież.

– Gdzie byłaś?

Nie odpowiedziała od razu. Darren lubił przewodzić, mieć nad wszystkim kontrolę. Musiała przyznać, że jest bardzo przystojny: tuż po pięćdziesiątce, z ładną siwizną. Mógłby się wyróżniać wyglądem, on jednak wolał nie rzucać się w oczy, dlatego najczęściej nosił konserwatywne ciemne garnitury i weekendowe stroje w stylu, jaki obowiązywał w wiejskich klubach, dostępnych tylko dla elity. Od innych mężczyzn odróżniała go przede wszystkim doskonała forma fizyczna i znakomity refleks. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie spędził ostatnich trzydziestu lat za biurkiem.

– Wybrałam się na zakupy – stwierdziła spokojnie.

– Dokąd?

– Do Nowej Anglii.

Darren lekko potarł kącik ust. Zawsze sprawiał wrażenie swobodnego i rozluźnionego, Barbara jednak wiedziała, że nie może sobie pozwolić na żaden fałszywy krok. Prawdopodobnie zdążył już przeszukać całe jej mieszkanie. Nie miała żadnych złudzeń. Dobrze wiedziała, w co grają, i domyślała się również, że Darren Mowery zabiłby ją bez wahania, gdyby stanęła na drodze jego planom. Musiała być ostrożna, silna i pewna siebie, a także bystrzejsza od niego.

– Już dość długo przyglądaliśmy się sobie – powiedział wreszcie. – Czas wyłożyć karty na stół. Chcę wiedzieć wszystko. Żadnych przemilczeń.

Co to miało znaczyć? Czyżby wiedział o niej i o Lucy? – zastanawiała się Barbara z odrobiną podniecenia, ale z demonstracyjną nonszalancją wzruszyła ramionami.

– Dobrze. Ty mówisz pierwszy.

Przyjrzał się jej uważnie zimnymi, niebieskimi oczami.

– Lucy Swift pojechała dzisiaj do Wyomingu.

Tego Barbara się nie spodziewała. Ktoś o słabszym charakterze wpadłby w tej chwili w panikę, ona jednak tylko przeciągnęła się w fotelu i ziewnęła. Jako osobista sekretarka senatora Stanów Zjednoczonych umiała radzić sobie z nieoczekiwanymi sytuacjami. Zresztą wiedziała już o wyprawie Lucy, bo usłyszała o tym w biurze Jacka. Zaskoczyło ją tylko to, że Darren w jakiś sposób również zdobył tę informację.

– Wiem – stwierdziła spokojnie. – Pojechała tam rozwijać działalność swojego biura podróży.

– Być może. Firma Redwing Associates ma bazę w Wyomingu.

– Ach, tak. Ale z tego, co mówił mi Jack, wynika, że Sebastian Redwing i Lucy nie są bliskimi przyjaciółmi. On chyba pracował kiedyś u ciebie? Zdaje się, że jego firma nieźle sobie radzi.

Mowery nie zmienił wyrazu twarzy, choć waszyngtońskie plotki głośniły, że Sebastian Redwing i jego były instruktor nie rozstali się w przyjaźni. Barbara słyszała nawet, że Mowery winił Sebastiana za upadek DM Consultants, prywatnej firmy Darrena.

Teoretycznie Lucy mogła pojechać do Wyomingu po to, by opowiedzieć Sebastianowi, co jej się zdarzyło w ciągu ostatnie-

go tygodnia, Barbara jednak sądziła, że wdowa Swift nade wszystko pragnie udowodnić, że jest samodzielna i potrafi sobie poradzić w każdej sytuacji. Już wcześniej nabrała przekonania, że Lucy nie będzie wzywać na pomoc ani Jacka, ani policji z Kapitolu.

– Zdaje mi się, że nie przepadasz za Lucy Swift – powiedział Darren.

– Nie rozumiem, jakie to może mieć dla ciebie znaczenie. Mowery pochylił się nad stołem.

– Karty na stół, Barbaro. Mam rachunki do wyrównania z twoim szefem. Chcę zobaczyć, jak się poci ze strachu, i potrzebuję twojej pomocy.

– Mojej? – wyjąkała.

– Myślę, że masz na niego jakiegoś haka – uśmiechnął się Mowery z jawną satysfakcją.

– Nie. Senator Swift jest człowiekiem o nieposzlakowanej uczciwości.

Mowery odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno. Barbara zacisnęła usta.

– Barbie, Barbie. Po biurze krążą plotki, że kilka tygodni temu rzuciłaś się na niego, a on omal nie zabił cię śmiechem.

Poczuła ucisk w żołądku.

– To nieprawda! – zaprotestowała.

– To znaczy co? Nie rzuciłaś się na niego, czy nie wygonił cię z gabinetu?

– Jesteś obrzydliwy. Wyjdź stąd!



– Wcale tego nie chcesz. Wolałabyś, żebym wyrównał także i twoje rachunki z Jackiem Swiftem. Ty też chcesz, żeby odcierpiał za to, że cię upokorzył.

– On nie... nie był przygotowany na tak daleko posuniętą intymność, i to wszystko. Po prostu się przestraszył.

– Aha, przestraszył się.

– Przecież dobrze wie, że jestem gotowa zrobić dla niego wszystko.

Wzrok Mowery'ego przewiercał ją na wylot.

– Co masz na niego?

– Nic!

– Barbie, zemsta bywa bardzo słodka.

Nie odpowiedziała.

– Ale ty nie chcesz zemsty, prawda? Rozumiem. Chciałabyś, żeby on cierpiał i żeby przyszedł do ciebie, jedynej kobiety, która naprawdę go kocha. Jakież to wzruszające.

– Moje motywy są zupełnie nieistotne – powiedziała cicho Barbara.

– Czy przez te dwadzieścia lat stary, dobry Jack choć raz spróbował dobrać się do ciebie?

– Nie zrobiłby czegoś takiego. Przez większość tych lat był żonaty.

Mowery znów wybuchnął śmiechem.

– Boże, to się robi coraz zabawniejsze. Barbara poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Zerwała się i pobiegła do łazienki. Za nic nie chciała tego zrobić, a jednak musiała. Ochłapała twarz zimną wodą i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Jej szare oczy były przekrwione od torsji, tusz na rzęsach po-

sklejany. Miała zaledwie czterdzieści jeden lat. Nie była jeszcze stara. Wciąż mogła mieć dzieci. Znała wiele matek, które po raz pierwszy rodziły, będąc po czterdziestce.

Ale nie mogła mieć dzieci Swiftów. Jack jej nie chciał. Dwadzieścia lat oddanej służby, i co? Gdy wyznała mu swe uczucia, nie zareagował złością ani wybuchem namiętności. Zachował się miło, pocieszał ją i, czego można się było spodziewać, mówił, jak bardzo jest jej wdzięczny za wszystko, co dla niego zrobiła. Wychwalał jej profesjonalne umiejętności, dziękował za długie lata, podczas których zrobili razem tak wiele dobrego dla obywateli ich wspianalego kraju.

Ale to Lucy urodziła dzieci Swiftowi, pomyślała Barbara, wycierając twarz. A przecież to ona mogła być ich matką, lecz straciła swoją szansę, bo czekała na Jacka.

Darren otworzył drzwi za jej plecami.

– Szantaż nie jest odpowiednim zajęciem dla osób o słabym żołądku.

A więc o to chodziło. Szantaż. Barbara z namysłem skinęła głową.

– Colin i ja – zaczęła. Przełknęła ślinę i znów napotkała zimny wzrok Mowery’ego. – Przed jego śmiercią mieliśmy romans. Jack o tym nie wie. Lucy też nie. Nikt nie wie.

– I?

– Mam zdjęcia.

Mowery z namysłem skinął głową.

– Perwersyjne?

– Jesteś obrzydliwy.

– No cóż, jeśli masz na myśli fotografie was dwojga na imprezie podczas kampanii wyborczej jego ojca...

– Według twoich standardów zapewne są perwersyjne. Według moich są dowodem naszej fizycznej i emocjonalnej więzi.

– Mhm.

– Chcesz je zobaczyć?

Mowery potarł podbródek.

– A więc sypiałaś z synem, a owdowiała synowa i niewinne wnuki Jacka o tym nie wiedzą.

– Czy musisz to przedstawiać w taki sposób?

– Posłuchaj, co mówisz, Barbie. To ty miałaś romans z mężem innej kobiety, a zarazem synem swojego szefa. I opowiadasz mi o tym w dwa tygodnie po tym, jak próbowałaś uwieść ojca swojego kochanka. Jak inaczej mam to przedstawić?

Milczała, ogłuszona treścią jego słów.

– Nie jest to szczególnie pociągające, ale powinno wystarczyć – mruknął Mowery.

– Wystarczy. Jack wiele zapłaci, by utrzymać taką informację w tajemnicy – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. – A jeśli nie jesteś o tym przekonany, to możesz stąd wyjść i zapomnimy o tej rozmowie.

Zaśmiał się krótko i ruszył do salonu, gestem nakazując jej iść za sobą. Poszła posłusznie.

Ramiona miała pokryte gęsią skórką. Było jej zimno, ale powtarzała sobie, że to nie z nerwów.

Robiła to, co musiała zrobić. Nie miała innego wyjścia.

– Jeśli się powiedziało A, to trzeba powiedzieć B, Barbie. Żadnego owijania w bawełnę. Usiadła sztywno na krześle, krzy-

zując nogi i ramiona. Miała paskudne uczucie, że Mowery wie o niej więcej, niż przypuszczała. Musiała zachować ostrożność. Dreszcze powoli ustępowały.

– Czy naprawdę pieprzyłaś się z jego synem, czy tylko wymyśliłaś to z zemsty?

Udało jej się zachować spokój. Dwadzieścia lat pracy dla Jacka Swifta nauczyło ją samokontroli.

– Mężczyźni tacy jak ty nie rozumieją, co to lojalność, służba i prawdziwe oddanie.

– Zgadza się – uśmiechnął się z ponurym rozbawieniem. – Ale to nie ma znaczenia. Możesz sobie dalej hołubić swoje małe fantazje.

– Nie mam zwyczaju fantazjować – odrzekła krótko. Rzeczywiście tak uważała. Nie próbowałaby sprowokować Jacka, gdyby wgłębi duszy nie była przekonana, że właśnie na to czeka. Po dwóch dziesiątkach lat spędzonych w Waszyngtonie nieomylnie rozpoznawała wszystkie sygnały. Jack po prostu nie był jeszcze gotów na wyzwolenie tego uczucia. Jego zachowanie było ucieczką.

Darren niespodziewanie poderwał się z miejsca i zmiażdżył jej dłonie w żelaznym uścisku. Oszołomiona Barbara wstrzymała dech. O co mu chodziło? Wiedziała, że jest od niego dużo słabsza. Mogła polegać tylko na swojej inteligencji i samokontroli. Ale w jego zachowaniu nie było ani śladu erotyzmu.

– Powiedz mi, Barbie, kiedy ostatni raz miałaś mężczyznę? – zapytał, ściskając ją tak mocno, że nie mogła złapać tchu. – Czy to był Colin

Swift?

– Nie twoja sprawa – odrzekła zimno. – Ciebie i mnie łączą tylko interesy. Obydwoje chcemy zaszantażować senatora Stanów Zjednoczonych i to wszystko.

Ścisnął ją jeszcze boleśniej. Nie mogła się poruszyć.

– Żadnych niespodzianek, Barbie, rozumiesz? Jeśli to ma się udać, muszę wiedzieć wszystko.

– Przecież ci powiedziałam...

– Odpowiedz mi: naprawdę miałaś romans z Colinem Swiftem?

– Tak.

To musiał być jakiś test, nie miała tylko pojęcia, co powinna zrobić, żeby go zaliczyć.

Uciec z krzykiem, błagać, by wziął ją do łóżka, a może uderzyć Darrena w twarz?

– Właczanie mnie w stereotyp do niczego cię nie doprowadzi – powiedziała spokojnie. – Nie jestem zasuszoną starą panną, śniącą o mężczyźnie, którego nie mogę mieć.

– Gdzie byłaś przez ten tydzień?

– Już ci mówiłam. Na urlopie. Zwiedzałam sklepy w Nowej Anglii.

Jeszcze mocniej ją ścisnął.

– Byłaś w Vermoncie?

– Nie mogę oddychać.

– Ale możesz powiedzieć: tak albo nie.

– Tak. – Skinęła głową.

– Widziałaś Lucy Swift?

Potrząsnęła głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

– Wybrała się do Wyomingu. Zdecydowała się na ten wyjazd w ostatniej chwili i zapłaciła kupę szmalu za bilety. Zabrała ze sobą dzieci.

Chcę wiedzieć, dlaczego.

– Nie mogę... oddychać... Ja...

Mowery odrobinę rozluźnił uścisk. Barbara gwałtownie zła-pała powietrze i zaczęła kaszleć.

– Opowiedz mi o Lucy.

– Nic o niej nie wiem. Sam musisz ją zapytać, co u niej sły-chać. Ja tylko spędziłam jeden dzień w Manchesterze na zaku-pach i to wszystko.

Wiedziała, że nie jest bezpiecznie klamać, ale prawda mogła-by się okazać dla niej jeszcze groźniejsza.

Darren przesunął kciuki pod jej piersiami.

Dobrze widziała, że nie jest nią zainteresowany seksualnie. Wtej chwili był bez reszty skupiony na swojej misji. Barbara uznała, że Mowery nie jest zbyt skomplikowanym mężczyzną, a ona sama nadal może się uważać za atrakcyjną kobietę. Najwy-rażniej jego obsesja na punkcie Jacka Swifta spowodowana była czymś, o czym nie miała zielo-nego pojęcia.

Cofnął ręce, nie spuszczając z niej zimnego wzroku.

– Arnika.

– Arnika? – zdziwiła się, rozcierając miejsca, gdzie przed chwilą znajdowały się jego dłonie.

– Posmaruj sobie sińce olejkem z arniki.

Znów poszła do łazienki, ale tym razem nie wymiotowała. Umyła ręce i usiadła na zamkniętej pokrywie sedesu. Ryzykowała wszystko.

Miała dobrą i ciekawą pracę, ładne mieszkanie, grono starannie dobranych przyjaciół. Byli wśród nich również mężczyźni, ludzie sukcesu, którzy jej pożąдали. Nie miała zamiaru pozwalać, by taki typ jak Darren Mowery pieścił ją w jej własnym salonie.

Po incydencie z Jackiem dowiedziała się, że jej pracodawca spotyka się z kobietą o nazwisku Sidney Greenburg, kustoszka ze Smithsonian Institute, bezdzietną pięćdziesięciolatką, która nigdy nie miała męża. Dlaczego właśnie z nią, a nie z Barbarą?

Sidney należała do waszyngtońskiego grona przyjaciół Lucy.

– Barbara? – zapytał Darren zza drzwi.

Nie odpowiedziała, nawet się nie poruszyła.

– Tak się czuje człowiek po upadku – poinformował ją uprzejmie. – Ja wykonam pierwszy ruch. Znajdę do jćie do Jacka i przycisnę go. Nie zechce narażać swojej reputacji, nie dopuści, by skalano pamięć jego zmarłego syna. Zapłaci. Ty dostaniesz dziesięć procent.

Zerwała się i otworzyła drzwi na oścież.

– Dziesięć procent! Zapomnij o tym. Zaraz zadzwonię na policję. Beze mnie nie znajdziesz nic na Jacka. To ja miałam romans z Colinem i to ja mam zdjęcia!

– Nie zadzwonisz na policję – stwierdził

Darren spokojnie.

– Owszem, zadzwonię. Chcesz zaszantażować senatora Stanów Zjednoczonych.

– Barbaro, proszę cię – powtórzył Mowery chłodno. – Jeśli wykonasz choć jeden fałszywy ruch, to wierz mi, nie puszcę ci tego płazem. Nie chciałbym wtedy znaleźć się w twojej skórze.

Poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

A jeśli jej wyczyny sprawiły, że Lucy pojechała szukać pomocy u Redwinga?

– Łajdak – syknęła.

– Brawo. Masz całkowitą rację.

Uniosła wyżej głowę, przypominając sobie wszystko, czego się nauczyła przez ostatnich dwadzieścia lat.

– Jack dobrze wie, że beze mnie nie przetrwałby w tym mieście nawet tygodnia. Jeśli poprosi mnie o pomoc, to lepiej, żebyś się wtedy trzymał z daleka. To moje pierwsze i ostatnie ostrzeżenie.

Mowery przysunął się bliżej.

– Och, doprawdy? Musisz zrozumieć jedno, Barbie – rzekł, wyraźnie akcentując każde słowo. – Nic mnie nie obchodzi, czy pieprzyłaś się z ojcem i synem. Nic by mnie to nie obchodziło, nawet gdybyś robiła to z nimi obydwoma jednocześnie. Dla mnie równie dobrze mogłaś sobie to wszystko wymyślić. Zaczynamy spektakl i od tej chwili to ja dyktuję warunki.

Poczuła kwaśny smak w ustach.

– Wprost nie mogę uwierzyć, że pozwoliłam ci się dotknąć.

– I zrobisz to jeszcze niejeden raz. – Roześmiał się. – Możesz mi wierzyć, Barbie.

Splunęła w jego stronę, ale chybiła. Roześmiał się jeszcze głośniejsze.

– Pięćdziesiąt procent! – wykrzyknęła.



Zatrzymał się i obejrzał przez ramię. Barbara omal się nie zakrztusiła, ale powtórzyła:

- Chcę pięćdziesiąt procent.
- W porządku. Dostaniesz dwadzieścia pięć.
- Pięćdziesiąt. Zaslługuję na to.

Mowery mrugnął do niej.

– Podobasz mi się, Barbie. Wdepnęłaś w gówno ze Swiftami, ale dzielnie walczysz. Naprawdę mi się podobasz.

– Mówię poważnie. Chcę pięćdziesiąt procent. Darren zakolywał się na piętach.

– Barbie, powinnaś to sobie jeszcze przemyśleć. Chyba już wiesz, że nie jestem miłym człowiekiem. Moja sympatia do ciebie nie sięga powyżej dwudziestu pięciu procent.

Zawahała się. Ogarniał ją coraz większy strach. W głowie jej się kręciło, ale to nie była odpowiednia chwila na okazywanie słabości.

- Niech będzie dwadzieścia pięć – zgodziła się.

Jack Swift ponownie napełnił swój kieliszek winem. Było to wytrawne wino gruszkowo-jabłkowe z nowej winnicy w jego rodzinnym stanie.

Uniósł kieliszek w stronę Sidney Greenburg.

– Za wina z Rhode Island.  
– Tak, ale nie za tę butelkę – zaśmiała się. – Lubię owocowe wina, Jack, ale to jest zwykły zacier.

On również wybuchnął śmiechem.

– Tak myślisz? No cóż, nigdy nie byłem koneserem win. Dobra szkocka to coś, co rozumiem. Był duszny wieczór. Siedzieli

na wyłożonym ceglami podwórku przy domu Jacka w Georgetown.

Rhode Island, stan, z którego pochodził i który reprezentował w senacie, wydawał mu się bardzo odległy. To właśnie tutaj wychował syna, tutaj jego żona toczyła długą, przegraną walkę z rakiem. Oboje już od niego odeszli. Przez jakiś czas rozważał możliwość sprzedaży tego domu.

Kupił go na samym początku waszyngtońskiej kariery i do dzisiaj bardzo zyskał na wartości. Zastanawiał się również nad zakończeniem kariery politycznej, jednak Barbara Allen wybiła mu z głowy jedno i drugie. W ciągu dwudziestu lat uchroniła go przed wieloma nierozważnymi krokami.

– Nie mam pojęcia, co zrobić, Sidney – powiedział, wpatrując się w bladożółte wino. Prawie przez cały wieczór rozmawiali o Barbarze. – Pracuje dla mnie, odkąd skończyła college.

– Po prostu nie zrobisz nic.

– Przecież nie mogę udawać...

– Owszem, możesz, i zrobisz jej tym wielką przysługę – powiedziała Sidney, odstawiając kieliszek na stół.

Jej uczucie do niego nie przestawało go zdumiewać.

Był wdowcem, siwowłosym, krępyim senatorem, któremu woda sodowa nigdy nie uderzyła do głowy, ona zaś była niezwykłą kobietą z bardzo ciemnymi oczami i czarnymi włosami, teraz obficie przyprószonymi siwizną. Prawie się nie malowała i skarżyła się na nadwagę, której Jack w ogóle nie zauważał. Była inteligentna, miła, doświadczona i pewna siebie. Widać było, że lubiła i akceptowała siebie.

Pracowała w Smithsonian Institute razem z rodzicami Lucy i znała jego synową od dziecka.

– Posłuchaj, Jack – mówiła dalej. – Barbara nie potrzebuje twojego współczucia. Nie ma powodu, abyś się nad nią użalał, bo ma czterdzieści lat i jest samotna. Skoro przedłożyła życie zawodowe nad osobiste, był to jej własny wybór. I nie zakładaj, że skoro nie ma męża i dzieci, to jej życie jest puste.

– Wcale tak nie myślę!

– Oczywiście, że tak myślisz. Wszyscy ludzie tak myślą. – Uśmiechnęła się. – Zachowuj się tak, jakby nigdy nic się nie stało. Daj jej szansę, żeby mogła się z tego otrząsnąć.

– Prawie się na mnie rzuciła – westchnął Jack.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że żadna mężatka nigdy nie próbowała cię sprowokować?

– No cóż...

– Daj spokój, Jack. Skoro Barbara szaleje za tobą, będąc panną, to zachowywałyby się tak samo jako mężatka.

Jack powściągnął uśmiech. Sidney była wykształcona i wyrafinowana, ale potrafiła mówić celnie i ostro.

– Nie powiedziałem, że ona za mną szaleje.

– Właśnie o tym mówię – stwierdziła Sidney z przekonaniem. – Jak na osobę, która przez całe życie występuje publicznie, bywasz bardzo tępy, gdy próbujesz zrozumieć ludzkie reakcje. Jack, ta kobieta próbowała cię poderwać. Od śmierci Colina minęły już trzy lata, od śmierci Eleanor pięć. Dopiero niedawno znów zacząłeś spotykać się z kobietami. Uważam, że jej działanie było... – wzruszyła ramionami – zupełnie normalne.

Jack powoli pił wino. Wszystkie wina smakowały mu tak samo, czy były zrobione z jabłek, gruszek lub z winogron.

– Może – powiedział.

– Ale?

– Sam nie wiem.

– Niezameżna czterdziestolatka w biurze sprawia, że ludzie czują się nieswojo. Zawsze przypuszczają, że trochę jej odbija i że mieszka z dwudziestoma pięcioma kotami.

– Sidney, to zupełnie archaiczny pogląd.

Ona jednak tylko pomachała ręką.

– Ale to prawda. Gdyby Barbara była mężatką, czułbyś się pochlebiony jej awansami. Nie siedziałbyś tu, zastanawiając się, co masz z tym zrobić. Uznałbyś ją za normalną, zdrową kobietę.

– Wzięła go za rękę. – Jack, ja to wszystko znam.

– O tobie nikt by nie pomyślał, że ci odbija.

– Mam dwa koty, Molly i Dolly. – Uśmiechnęła się. – Słyszę z tego, że karmię je z porcelanowych miseczek.

Na widok błysku w jej oczach roześmiał się na głos. Właśnie to podobało mu się w niej najbardziej. Była błyskotliwa, dowcipna i potrafiła kpić z własnej osoby. Nie traktowała zbyt poważnie ani siebie, ani pracy, ani naznaczonego purytyzmem amerykańskiego modelu życia.

Jednak Jack nie mógł się otrząsnąć z niepokoju.

– Ale jest coś takiego w Barbarze...

– W takim razie po prostu jest w niej coś takiego i kropka.

– Rozumiem cię, ale...

– Wreszcie! – zawołała Sidney i z demonstracyjną ulgą opadła na oparcie krzesła. – To może teraz zmienimy temat?

– Z przyjemnością – uśmiechnął się Jack.

W oczach Sidney zamigotał przewrotny błysk.

– W takim razie porozmawiajmy o moich kotach.

Sidney nie została na noc. Obydwoje mieli następnego dnia jakieś nadprogramowe spotkania, ale Jack wiedział, że nie to było przyczyną.

– Po prostu nie jestem jeszcze gotowa, żeby powiesić rajstopy w łazience senatora – powiedziała lekko i pocałowała go na dobranoc.

Jack przypomniał sobie jej rady następnego ranka, gdy o ósmej pojawił się w biurze i zastał w nim Barbarę. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, ona uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Dzień dobry, panie senatorze.

– Dzień dobry, Barbaro. Myślałem, że jeszcze jesteś na urlopie.

– Wzięłam tylko kilka wolnych dni, a nie prawdziwy urlop. – Machnęła ręką. – Tak zaplanowałam wyjazd, żeby wrócić na to spotkanie.

Wiem, że jest bardzo ważne.

– Jak ci minęło tych kilka dni? – zapytał Jack uprzejmie.

– Doskonale. Właśnie tego potrzebowałam.

Obróciła się dokoła na krześle i zaczęła stukać w klawisze komputera. Wyglądała świetnie. Była wypoczętą, zadbaną profesjonalistką. Dzika desperacja sprzed tygodnia znikła bez śladu.

Jack poczuł wielką ulgę. A więc wystarczyło, by Barbara wyrwała się gdzieś na krótki czas.

Sidney miała rację. Najlepiej będzie udawać, że nic między nimi nie zaszło. W ten sposób wyświadczy przysługę nie tylko Barbarze, ale również i sobie. Potrzebował jej kompetencji, wiedzy i doświadczenia.

Poszedł do swojego gabinetu. Bogu dzięki, Barbara znów była sobą.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

– Bastian Redwing uratował tacie życie?

Madison westchnęła ze znużeniem.

– Nie Bastian, tylko Sebastian. Ocalił tatę i dziadka. Prezydenta ocalił ktoś inny.

J.T. zmarszczył brwi.

– Dlaczego ja tego nie pamiętam?

– Bo nie było cię jeszcze na świecie – rzuciła siostra.

– Madison też tego nie pamięta – dodała Lucy. – To zdarzyło się jeszcze przed naszym ślubem.

– Ale ja czytałam artykuły z gazet – przypomniała jej córka.

J.T. kopał tył jej fotela. Poprzedniego dnia, zaraz po przylocie, wynajęli samochód do Jacksonu.

Rankiem tego dnia Lucy spotkała się z miejscowymi przewodnikami turystów. Tak jak przypuszczała, w bardzo miły sposób dali jej do zrozumienia, że nie ma tu czego szukać. Potem długo zastanawiała się, czy powinna pojechać zobaczyć się z Sebastianem Redwingiem.

Recepcjonistka w hotelu udzieliła jej szczegółowych wskazówek. W końcu wyruszyli, ale Lucy nadal nie była pewna, czy podjęła dobrą decyzję. Wciąż jeszcze mogła zawrócić do Jacksonu.

– Czy to była próba terrorystycznego zamachu? – zapytał J.T.

Madison była przerażona.

– Mamo, skąd ten smarkacz zna takie słowa? One nie powinny się znajdować w słowniku dwunastolatka!

J.T. prychnął lekceważąco.

– Dorosła się znalazła! To niby skąd wiem o Abrahamie Lincolnie albo o Martinie Luterze Kingu? O prezydencie Kennedym i Juliuszu Cezarze?

Madison obróciła się w jego stronę.

– Juliusz Cezar? A co ty o nim wiesz?

– Zadźgali go sztyletem.

– Chyba zwariowałeś.

– To ty zwariowałaś!

Lucy mocniej pochwyciła kierownicę. Przed sobą miała kawałek prostej, pustej drogi. Po obu stronach rozciągały się zapierające dech w piersiach krajobrazy Wyomingu. Długą, wąską dolinę otaczały góry. Pokazywała dzieciom różne rośliny i wyjaśniała wpływ wysokości terenu i niskiej wilgotności powietrza na rodzaj lokalnej flory. One jednak wołały rozmawiać o tym, jak Sebastian Redwing ocalił ich ojca.

W końcu Lucy poddała się i opowiedziała całą historię.

– Prezydent miał wygłosić mowę w Newport w Rhode Island. Ktoś zaczął do niego strzelać. Sebastian przewrócił ojca i dziadka na ziemię,

a w tym czasie Darren Mowery, dla którego Redwing wtedy pracował, obezwładnił napastnika.

– Czy ktoś został ranny? – zapytał J.T.



– Sebastian zauważył jeszcze jednego zamachowca, który pomógł temu pierwszemu dostać się do środka. Rzucili się na niego we trzech:

Sebastian, wasz ojciec i jeszcze jeden mężczyzna, Plato Rabe-deneira, spadochroniarz-ratownik, na cześć którego odbywała się uroczystość.

Plato został postrzelony w ramię, ale rana była niegroźna.

– Co się stało z tym zamachowcem?

– Sebastian go zabił – wyjaśniła Lucy po krótkim wahaniu.

– Miał broń? – zdziwił się J.T. – Dlaczego? Co on tam robił?

Jak miała mu wyjaśnić, kim był Redwing?

J.T. wiedział o nim tylko tyle, że sprzedał im dom. Zwolniła trochę.

– Sebastian był konsultantem do spraw bezpieczeństwa. Był wtedy bardzo młody. On i Darren Mowery, jego szef, już wcześniej śledzili tego zamachowca z jakichś innych powodów. Nie mieli pojęcia, że w rezultacie zostaną wmieszani w próbę zamachu na prezydenta Stanów

Zjednoczonych.

– Tata, Plato i Sebastian bardzo się potem zaprzyjaźnili – do-dała Madison. – Sebastian był świadkiem na ślubie mamy i taty.

– Nic nie rozumiem – wyznał oszołomiony J.T.

Madison jęknęła.

– A co tu jest do rozumienia?

– Sebastian ma teraz własną firmę – wyjaśniła chłopcu Lucy.

– Redwing Associates. Jej siedziba jest właśnie tu, w Wyomingu. On, Plato i wasz ojciec nie mogli się później widywać tak często, jak by chcieli.

Wydawało się, że ta odpowiedź usatysfakcjonowała jej syna.  
– Sebastian przynajmniej miał tyle rozumu, żeby się wynieść z Vermontu – mruknęła Madison.

Dojechali do grupy budynków z drewnianych bali, stojących na zboczu porośniętym łąką. Nie było tu żadnego szyldu, ale to właśnie była siedziba i baza szkoleniowa Redwing Associates, międzynarodowej firmy ochroniarsko-detektywistycznej, której klientami byli szefowie wielkich korporacji, członkowie rządu, gwiazdy rozrywki i sportu. Wielu z nich przybywało do Wyomingu, by się nauczyć, jak oceniać niebezpieczeństwo, jak mu zapobiegać i jak postępować w jego obliczu, gdy chodziło o porwanie, zamach, szpiegostwo w firmie, rozruchy wywołane przez zwolnionych pracowników lub ogarniętych obsesją fanów, czy też o oszustwa komputerowe.

Środki bezpieczeństwa w bazie nie rzucały się w oczy, ale gdy Lucy dojechała do końca drogi, przed jej samochodem pojawił się swobodnie ubrany mężczyzna.

– Pani Swift. Jestem Jim Charger. Zajmę się pani samochodem. Pan Rabadeneira oczekuje pani.

Lucy uśmiechnęła się blado.

– Plato Rabadeneira?

– Tak, proszę pani – potwierdził Jim Charger bez uśmiechu.

Skąd Plato się tu wziął? I dlaczego jej oczekiwał?

Lucy odpędziła od siebie niepokój.

– Dzieci mogą zostać ze mną albo pójść z panią, jak pani woli.

– Pójdą ze mną – zdecydowała.

Charger uprzejmie wskazał jej rozłożysty główny budynek.

Plato czekał na nią w salonie przed masywnym kamiennym kominkiem. Wziął ją za ręce i pocałował w oba policzki.

– Witaj, Lucy. Słyszałem, że jesteś w okolicy.

– Masz szpiegów na każdym rogu?

– Nie na każdym – uśmiechnął się i puścił jej dłonie. Był bardzo przystojnym, ciemnowłosym i ciemnokookim mężczyzną. O własnych siłach wyrwał się z nieciekawej dzielnicy Providence i wyrobił sobie renomę w trudnym fachu. Pomógł matce, która wychowała go sama, skończyć college. Teraz pani Rabe-deneira pracowała jako wykładowca w innym college’u i należała do wyborców Jacka Swifta.

Colin nigdy nie miałby ochoty skakać z helikoptera pośród sztormu po to, by ratować rybaków i żeglarzy, pomyślała Lucy. Zadowalała go praca w Departamencie Stanu i sprawdzanie się na korcie tenisowym. To go zresztą zabiło.

– Kiedy zacząłeś pracować dla Redwing Associates? – zapytała.

– Półtora roku temu zostałem ranny podczas akcji ratowniczej. Gdy obudziłem się po operacji, czekała na mnie wiadomość od Sebastiana.

– Spojrzał na Madison i J.T., wpatrzonychw niego jak w obraz. – Widzę, że jesteście już dorośli. Miło mi was spotkać.

Był czarujący i Lucy pomyślała, że czułaby się całkiem bezpiecznie, gdyby razem z nim balansowała na linie nad wzburzoną powierzchnią

morza. Również Colin był dobrze wychowany, uprzejmy i od pierwszego wejrzenia wzbudzał sympatię. Natomiast Sebastian Redwing należał do zupełnie innego gatunku ludzi. Nie był cza-

rujący, dobrze wychowany ani nie budził odruchowej sympatii. Nie dbał o to, czy ktokolwiek czuje się przy nim bezpiecznie. Był po prostu znakomity w tym, co robił.

– Chcecie obejrzeć naszą siedzibę? – zapytał Rabedeneira, zwracając się do dzieci. – Wyjdźcie przed dom i powiedzcie Chargerowi, żeby was oprowadził.

J.T. był wyraźnie zachwycony. Madison, oczarowana super przystojnym i super sprawnym przyjacielem ojca, nieco mniej, ale grzecznie poszła za bratem. Nieoczekiwanie Lucy poczuła się trochę głupio. Firma Redwing Associates specjalizowała się w likwidowaniu prawdziwych zagrożeń i organizowała akcje przeciwko najgroźniejszym przestępcom, takim jak porywacze i terroryści, i z całą pewnością nie zajmowała się podobnymi bzdurami jak anonimowe telefony lub kule na siedzeniu samochodu.

– Świetnie wyglądasz, Lucy – powiedział Rabedeneira.

– Dziękuję.

– Co tam słyhać w Vermoncie?

– Wszystko w porządku. Prowadzę własną firmę. Turystyka kwalifikowana. Jak na początkującą, idzie mi zaskakująco dobrze.

– Prawdę mówiąc, nigdy nie rozumiałem tych poszukiwaczy przygód.

– To dlatego, że musiałeś sprzątać po wielu poszukiwaczach, którym się nie udało. – Uśmiechnęła się. – Ale bezpieczeństwo jest naszym absolutnym priorytetem.

Plato podszedł do krzesła i dopiero teraz Lucy zauważyła, że lekko utyka. To oznaczało, że jest skazany na pracę za biurkiem.

Usiadł i jego twarz spoważniała.

– Powiesz mi, dlaczego tu przyjechałaś?

– Miałam coś do załatwienia w Jacksonie, więc pomyślałam, że skorzystam z okazji i zobaczę, co u was słychać.

– Przecież nie wiedziałaś, że mnie tu zastaniesz – zauważył.

– Tak, ale Sebastian...

– Daj spokój, Lucy. Nie uwierzę, że przejechałaś tyle kilometrów tylko po to, żeby zapytać Sebastiana, co u niego słychać.

Ostrożnie przysiadła na skraju krzesła. Wiedziała, że jeśli zacznie mówić, Plato natychmiast wyczyta między wierszami całą historię.

Ale on po śmierci Colina przynajmniej przysłał jej kartkę i kwiaty. Napisał, że nie może przyjechać na pogrzeb, ale gdyby czegoś potrzebowała, zrobi wszystko, co będzie w jego mocy. Pamiętała przy tym, że Colin jemu również ufał.

– Czy Sebastian się zmienił? – zapytała.

– To zależy od punktu widzenia – odrzekł Plato. – Może opowiesz mi, co cię tu naprawdę sprowadziło, a potem zastanowimy się wspólnie, co z tym zrobić.

To znaczy, zastanowimy się nad tym, czy powiedzieć o wszystkim Sebastianowi, pomyślała Lucy. W domu i w firmie czuła się swobodna, kompetentna i pewna siebie, lecz tu była kimś obcym. Sebastian Redwing i Plato Rabedeneira byli przyjaciółmi Colina, nie jej. Ona i Colin w bardzo krótkim czasie zakochali się w sobie i po dwóch miesiącach wzięli ślub.

W następnym roku urodziła się Madison, trzy lata później J.T., a potem Colin zmarł. W gruncie rzeczy nie znała ani Plato, ani Sebastiana.

– Lucy?

– To głupie. Wiem, że zachowuję się idiotycznie. Możesz mnie pogłodzić po głowie i wysłać z powrotem do Vermontu. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Wierz mi, wyświadczyłbyś mi tym sporą przysługę.

– Może jednak najpierw opowiesz mi, co się dzieje?

Skinęła głową, wzięła głęboki oddech i opowiedziała mu wszystko od samego początku. Nie pominęła niczego oprócz własnego przerażenia.

Gdy skończyła, uśmiechnęła się niepewnie.

– Widzisz? Same bzdury.

Plato podniósł się sztywno i podszedł do kominka.

– Nie chcesz zawiadomić policji?

– Jeśli uważasz, że właśnie tak powinnam zrobić, to pójdę na posterunek. Ale oni na pewno zadzwonią do Jacka.

Plato skinął głową.

– To może nie jest zły pomysł.

– Te wydarzenia nie mają z nim nic wspólnego.

– Może tak, może nie. Przecież nie wiesz, co się za nimi kryje.

Lucy przesunęła ręką po włosach. Czowała się źle. Zmiana czasu, suche powietrze i wysokość zupełnie odebrały jej siły.

– Albo te wydarzenia nie są ze sobą powiązane – powiedziała powoli – albo ktoś próbuje mnie nastraszyć. Jeśli pójdę na policję, to udowodnię, że mu się udało.

– Ale jeśli nie zareagujesz tak, jak ten ktoś oczekuje, to kolejne incydenty będą coraz groźniejsze. Bo tak to właśnie działa.

Lucy ciężko opadła na kanapę.

– Cholera! Nie mam pojęcia, jak powinnam zareagować. Czy chodziło o to, żebym tutaj przyjechała? Jeśli tak, to ten drań dostał, czego chciał, i może zniknąć z mojego życia. Czy mam biegać z krzykiem po nocy? Nic z tego. Nie zamierzam wpadać w histerię.

– A co ci mówi instynkt? – zapytał Plato cichym, kojącym głosem.

– Nie wiem. Plato, ja nie jestem taką sobie zwykłą osobą. Jestem wdową po synu senatora Stanów Zjednoczonych. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że Jack natychmiast przysłałby do mnie policję z Kapitolu.

– Lucy...

– Mam firmę, o którą muszę dbać. Mam dzieci, które muszę wychować. Poza mną nie mają nikogo innego. Nie zamierzam niepotrzebnie ryzykować, ale... Plato, wołałabym uniknąć wciągania w swoje życie bandy federalnych policjantów.

Otoczył ją ramieniem.

– Rozumiem. Posłuchaj, w przyszłym tygodniu muszę być we Frankfurcie...

– Plato, przecież ja nie wymagam, żebyś rzucił wszystko i przyjechał mnie ratować. Chciałam tylko usłyszeć opinię eksperta. – Uśmiechnęła się blado.

Potrząsnął głową.

– Nie przyjechałaś tu po moją opinię.

– Tylko dlatego, bo nie wiedziałam, że jesteś tutaj. Wolę opowiadać o swoich kłopotach tobie niż Sebastianowi.

– A kto by nie wołał? – roześmiał się.

– W porządku. W takim razie wszystko załatwione. Zaufam mojemu instynktowi, wrócę do domu i będę miała nadzieję, że już nic więcej się nie wydarzy.

– Nie, Lucy. Spotkasz się z Sebastianem i opowiesz mu wszystko.

– A czy on nie jedzie do Frankfurtu?

– Nie, on... – Plato zawahał się i poprowadził ją do drzwi. Wydawało się, że szuka odpowiedniego słowa. – On jest na urlopie dziekańskim.

– Na urlopie dziekańskim? – zdziwiła się Lucy. – Przecież nie pracuje na uczelni.

– Będziesz musiała pojechać do jego chałupy. To nie tak daleko. Powiem ci, jak się tam dostać.

Lucy wysunęła się spod jego ramienia i stanęła pośrodku pomieszczenia.

– Ale ja nie chcę się widzieć z Sebastianem – oświadczyła stanowczo.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

– Lucy, on może ci pomóc, a ja nie.

– Nie przyjechałam tu po pomoc.

– Wiem, dlaczego przyjechałaś – rzekł, przenikając ją wzrokiem. – Bo obiecałaś to Colinowi.

Poczuła ściskanie w gardle.

– Plato...

– Colin miał rację, że kazał ci się skontaktować z Sebastianem. Lucy, ja byłem ratownikiem, a teraz pilnuję szlaków, którymi dryfuje ta firma. Sebastian pod wieloma względami to pierwszej wody sukinsyn, ale jest najlepszy.



Nie zamierzała się poddawać.

– A jeśli odjadę stąd i nie zobaczę się z nim?

– Wtedy będę musiał powtórzyć mu wszystko, co mi opowiedziałaś.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Mam wrażenie, że to będzie jeszcze gorsze.

– Masz rację, jeszcze gorsze – odrzekł z przewrotnym uśmiechem.

Wskazówki, jakich udzielił jej Plato, nie były skomplikowane. Kazał jej jechać prosto przed siebie nieutwardzoną gruntową drogą aż do końca. Tam miała znaleźć Sebastiana. Wszystko to nie brzmiało zachęcająco, ale skoro powiedziała A, to powinna teraz powiedzieć B. Wydawało się to mniej ryzykowne niż gdyby tak po prostu zawróciła samochód i pojechała do domu.

Wiedziała, że jeśli to zrobi, Plato powtórzy jej relację przyjacielowi, zapewne mocno przesadzając, i w rezultacie Sebastian pojawi się w Vermoncie. Wtedy dopiero zaczną się prawdziwe kłopoty. Redwing z całą pewnością okazałby się jeszcze gorszy od policji federalnej.

Droga była kręta i pylista, ale widoki okazały się warte trudów. Szerokie, otwarte krajobrazy, góry wznoszące się od stóp doliny, kręte rzeczki, stada koni i bydła na pastwiskach. Baza Redwing Associates była również najzwyczajszym ranczem.

J.T. był zachwycony, natomiast Madison cierpiała w milczeniu.

– Będę udawać Meryl Streep w „Pożegnaniu z Afryką” – oświadczyła wreszcie, demonstracyjnie ziewając. – Może dzięki temu nie usnę.

– Jesteś senna ze względu na dużą wysokość – wyjaśniła Lucy.

– Nie jestem senna, tylko śmiertelnie się nudzę.

– Madison! – upomniała ją matka.

– Przepraszam – mruknęła dziewczyna. Droga zwęziła się jeszcze bardziej. Spod kół wzbijały się coraz gęściejsze tumany kurzu.

W końcu przed nimi ukazała się mała chatka z drewnianych bali, a obok niewielka szopa wciśnięta między świerki. W tym miejscu droga

się kończyła. Lucy zatrzymała samochód za zakurzoną czerwoną półciągarówką.

– To chyba tutaj – powiedziała.

– O rany – jęknęła Madison. – Zupełnie jak Clint Eastwood w „Bez przebaczenia”.

Lucy uśmiechnęła się do siebie. Madison nieustannie dostarczała zajęcia miejscowej wypożyczalni wideo, domagając się ściągania najrozmaitszych filmów.

Jedna z nauczycielek w skądinąd znienawidzonej szkole starała się

podtrzymywać jej zainteresowanie filmem.

Trzy wielkie, hałaśliwe kundły wybiegły z cienia i otoczyły samochód, obszczekując go i warcząc, jakby nigdy jeszcze nie widziały obcego.

– Czy myślisz, że one gryzą? – zapytał niespokojnie J.T.

– Założę się, że mają pchły – dodała Madison.

Po chwili wahania Lucy zdecydowała się otworzyć okno i sprawdzić, jak psy zareagują.

Nie rzuciły się do szyby. To chyba był dobry znak.

– Halo! – zawołała. – Czy jest tu ktoś?

Naraz psy ucichły. Żółty mieszaniec labradora przeciągnął się i ziewnął, odległy potomek owczarka niemieckiego rozciągnął się płasko na ziemi, a najmniejszy, o nieokreślonym rodowodzie, biały w czarne i brązowe łaty, zaczął biegać w kółko i dyszeć.

– Słyszeliście jakiś głos? – zdziwiła się Lucy.

J.T. potrząsnął głową, równie zdumiony jak ona. Ta wyprawa przerosła jego najśmielsze oczekiwania. Chłopak nagle znalazł się pośrodku

dżiczy w Wyomingu, w towarzystwie trzech nieprzyjaźnie nastawionych psów i bez żadnej

ludzkiej istoty w polu widzenia.

– Plato powinien przysłać z nami uzbrojonego strażnika – prychnęła Madison.

Lucy westchnęła.

– Zostańcie tutaj, a ja sprawdzę, czy rzeczywiście trafiliśmy we właściwe miejsce.

Odpięła pas i ostrożnie wysiadła z samochodu.

Psy nie zareagowały.

– Widzisz, J.T.? – uśmiechnęła się do zdenerwowanego syna.

– Wszystko w porządku.

Skinął głową, ale nie wydawał się przekonany.

– Nie denerwuj się, Lucy – odezwał się naraz nie wiadomo skąd męski głos. – Trafiliście.

– Tam! Ktoś jest na ganku! – wykrzyknął chłopiec, wskazując na chatę.

– Zostań tutaj – powtórzyła Lucy ostrzegawczo i weszła na ganek po dwóch rozchwianych schodkach.

Na zardzewiałych hakach wisiał stary hamak, a w nim kołysał się mężczyzna z kapeluszem naciągniętym na oczy. Miał na sobie dzinsy, kowbojskie buty i koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Wszystkie części garderoby były brudne i znożone. Zauważyła jeszcze długie nogi, płaski brzuch, mocno umięśnione, opalone ramiona i dłonie pokryte odciskami.

Żółty pies wdrapał się na ganek i rozłożył się pod hamakiem.

– Sebastian?

Mężczyzna zsunął kapelusz z twarzy i utkwił w niej spojrzenie szarych oczu.

– Cześć, Lucy.

– Plato mnie tu przysłał – powiedziała trochę niewyraźnie, bo jej usta zupełnie wyschły od kurzu.

– Tak przypuszczałem.

– Przyjechałam do Wyomingu w interesach.

Są ze mną moje dzieci, Madison i J.T.

Sebastian nie odpowiedział i nie sprawiał wrażenia, jakby zamierzał podnieść się z hamaka.

– Mamo, J.T. krwawi! – rozległ się głos Madison.

Lucy obejrzała się. Jej córka w panice wyciągała brata z samochodu. J.T. obejmował dłońmi nos. Spomiędzy jego palców kapłała krew.

– O rany – jęknęła jego siostra, rzucając mu papierową chusteczkę.

– Odchyl głowę do tyłu! – zawołała Lucy, biegnąc w ich stronę.

Pseudo owczarek zaczął szczekać. Sebastian coś cicho wymamrotał i pies natychmiast ucichł. J.T., powstrzymując łzy, wdrapał się na schodki.

– Zabrudziłem fotel w samochodzie.

– To prawda! – zawołała Madison.

Sebastian niespodziewanie stanął obok Lucy i spojrzał na chłopca.

– Nic mu nie będzie. To przez to suche powietrze i kurz.

Madison patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, wyraźnie oszołomiona. Lucy skupiła się na synu.

– Czy możemy skorzystać z twojej łazienki?

– Nie mam łazienki. Woda jest w pompie za domem – odrzekł Sebastian i spojrzał na Madison.

– Umiesz obsługiwać pompę?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Czas już, żebyś się nauczyła – rzekł spokojnie.

– Lucy, wprowadź J.T. do domu. Madison i ja zaraz do was przyjdziemy.

– Idź, Madison – powiedziała Lucy do córki, która wyraźnie skurczyła się z lęku, a sama wprowadziła J.T. do środka.

Wnętrze domu było adekwatne do tego, jak się prezentował na zewnątrz. Nie było bieżącej wody ani prądu. Miała wrażenie, jakby ktoś cofnął czas o sto lat.

– To tylko krwawienie z nosa – odezwał się J.T., wpychając do dziurek kawałki papierowej chusteczki. – Nic mi nie będzie.

Lucy podała mu znaną w kuchni obszarpaną ścierekę do naczyń. Na drewnianym blacie stały płatki owsiane i kukurydziane, kawa, puszki z fasolką, słoiki salsy i zupełnie niepasujące do tego wszystkiego dzbanki syropu klonowego z Vermontu.

Po chwili w tylnych drzwiach stanęła Madison z aluminiowym dzbankiem napełnionym wodą. Lucy zamoczyła ścierekę.

– Chyba już nie krwawisz – zwróciła się do syna. –W takim razie trzeba cię po prostu umyć.

Gdzie jest Sebastian?

– Nie wiem. – Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Może poszedł ujeżdżać mustangi albo polować na bizony. Mamo, on nawet nie ma łazienki!

– Rzeczywiście, jest tu dość prymitywnie – zgodziła się Lucy.

– Mówiłam, Clint Eastwood w „Bez przebaczenia” – jęknęła dziewczyna.

W tej chwili Sebastian wszedł do środka przez frontowe drzwi.

– Dlaczego ona ogląda filmy dla dorosłych? – zapytał. – Przecież nie ma jeszcze siedemnastu lat.

– Pod rodzicielskim nadzorem – wyjaśniła Lucy. – Interesuje się historią filmu, więc oglądałam „Bez przebaczenia” razem z nią ze względu na to, że to brutalny film.

Sebastian zmarszczył brwi.

– Ja nie jestem brutalny.

– Ale żyje pan tak jak Eastwood w tej początkowej scenie, gdy z dwójką dzieci...

– Nie. Ja nie mam prosiąt – uciał krótko.

Lucy spojrzała na córkę i potrząsnęła głową, sygnalizując jej, by nie próbowała rozwijać wątku. O dziwo, Madison tym razem posłuchała i ucichła.

– Jak tam J.T.? – zapytał Sebastian.

– Już lepiej. Dzięki za pomoc.

– Nic mnie nie boli – wymamrotał chłopiec, wciąż przyciskając mokrą ścierkę do nosa.

– To dobrze – stwierdził Sebastian bez szczególnego zaangażowania. – Idźcie teraz do stodoły obejrzeć sobie konie, a ja porozmawiam z waszą matką. Psy pójdą z wami.

– Chodź, J.T. – westchnęła Madison, dla odmiany wcielając się w rolę opiekuńczej starszej siostry. – W stodole nie może być o wiele gorzej niż tutaj.

Gdy dzieci sobie poszły, Sebastian odchrząknął znacząco.

– Ta mała ma niewyparzoną buzię.

– Och, obydwójce są fantastyczni – uśmiechnęła się Lucy.

Sebastian w milczeniu zatrzymał na niej wzrok. Cisza dzwięczała w uszach. Żadnej klimatyzacji, żadnych samochodów, nie było słychać nawet śpiewu ptaków.

– Plato powiedział, że jesteś na urlopie dziekańskim.

– Aha, więc taką wersję teraz rozpowszechnia. Cholera. Zapomniałem, że jego matka wykłada w college’u. Powiedz mi, po co tu przyjechałaś? – dodał po chwili, wciąż intensywnie przewiercając ją wzrokiem.

– Obiecałam to Colinowi – rzekła, bardzo zdumiona, że zabrzmiało to tak niedorzecznie. – Obiecałam mu, że jeśli kiedykolwiek będę potrzebowała pomocy, zwrócę się do ciebie. Dlatego przyjechałam. Ale myślę, że w gruncie rzeczy nie potrzebuję twojej pomocy.

– Nie?

– Nie. – Potrząsnęła głową.

– To dobrze, bo nie chciałbym, żebyś jechała taki kawał na darmo – powiedział, idąc w stronę ganku. – Nie zajmuję się już pomaganiem.

– Jak to? – zdumiała się Lucy.

– Plato nakarmi cię i odeśle z powrotem, zanim zaczniesz się ściemniać.

Lucy w milczeniu patrzyła na jego plecy.

W chacie panował półmrok. W jednym kącie pomieszczenia znajdowało się żelazne łóżko, niedbale rzucone buty do biegania, tom poezji Roberta Penna Warrena, kupka książek o przygodach Jamesa Bonda i zbiorok opowiadań o duchach z Vermontu autorstwa Joego Citry. Była tu również lampa naftowa.

Nie tego Lucy się spodziewała. Agencja Redwing Associates była jedną z najlepszych w swojej branży i posługiwała się najnowszymi technologiami. Ta firma była dzieckiem Sebastiana. Lucy oczekiwała, że będzie musiała hamować jego zapędy do działania i powstrzymać go, by nie posuwał się zbyt daleko. Tymczasem on najzwyczajniej w świecie zbył ją niczym. Bez żadnych argumentów ani wyjaśnień.



Wzięła głęboki oddech. Kurz, wysokość i suche powietrze odebrały jej resztki zdrowego rozsądku. Pomyślała, że nigdy w życiu nie powinna była tu przyjeżdżać.

Wyszła za nim na ganek.

– Wierzysz mi na słowo, że nie potrzebuję żadnej pomocy?

– Jasne – odrzekł Sebastian, znów opadając na hamak. – Jesteś bystrą kobietą. Sama najlepiej wiesz, czy potrzebujesz wsparcia, czy nie.

– A jeśli tylko nadrabiam miną? Może jestem zbyt dumna, by cię prosić, i...

– I co?

Bezsilnie zacisnęła dłonie w pięści.

– Plato tylko żartował z tym urlopem dziekańskim, prawda? Założę się, że to Madison była bliższa prawdy.

– Lucy, gdybym chciał, żebyś była na bieżąco z moim życiem, to wysyłałbym ci kartki na Boże Narodzenie. A czy ja kiedykolwiek tak zrobiłem?

– Nie, i mam nadzieję, że nigdy się tego nie doczekam – powiedziała, odwracając się tak gwałtownie, że zakreśliło jej się w głowie.

Opanowała jednak słabość. Była pewna, że ten drań w najlepszym wypadku wylałby jej na głowę dzbanek zimnej wody, a potem przywiązałby ją do konia i odesłał w powrotną drogę.

– Przykro mi, Lucy, ale wszystko się zmienia. Ty chyba najlepiej o tym wiesz.

Spojrzała na niego, z wysiłkiem opanowując własne emocje. Była zła na siebie, że tu przyjechała, i wściekła na Platona, że ją tu przysłał, choć zapewne wiedział dobrze, jakiego przyjęcia może się spodziewać.

– A więc na tym kończymy rozmowę, tak? Nie masz zamiaru mi pomóc?

Uśmiechnął się leniwie i znów nasunął kapelusz na oczy.

– Kogo ty chcesz oszukać, Lucy? Nigdy nie potrzebowałaś niczyjej pomocy.

Plato pojawił się dopiero następnego ranka o świcie, gdy łąki jeszcze pokryte były rosą.

Sebastian, który zdążył już nakarmić konie i psy, leżał sobie wygodnie na hamaku, gdy przed domem zatrzymał się samochód i Plato z wysiłkiem wskoczył na ganek. Już prawie dwa lata minęły, odkąd został ranny w nogę, i wiedział, że będzie kulał do końca życia.

– Odesłałeś Lucy z niczym?

– Tak samo jak ty – mruknął Sebastian.

– Nie przyjechała tu po to, żeby mnie prosić o pomoc, tylko ciebie.

– Przecież ona mnie nie cierpi.

Plato uśmiechnął się szeroko.

– Jasne, że tak. Jesteś szurniętym nieudacznikiem i palantem.

Sebastian wcale się nie obraził. Plato zawsze mówił głośno to, co wszyscy myśleli.

– Jej syn dostał krwotoku z nosa na moim ganku. Jak mam chronić dwunastolatka, któremu z nosa leci krew? A jej córka ciągle porównywała mnie do Clinta Eastwooda.

– Do Eastwooda? Eee tam. On jest od ciebie starszy i przystojniejszy – zaśmiał się Plato.

– Lucy i jej dzieci mają szczęście, że wyrzekłeś się przemocy.

– Wszyscy mamy szczęście.

Zapadło milczenie. Sebastian poczuł ból w krzyżu. Ostatnią noc przespał w hamaku, co nie było najlepszym pomysłem.

– Nie powiedziałeś jej tego, prawda? – zapytał wreszcie Plato.

– Czego jej nie powiedziałem?

– Że wyrzekłeś się przemocy.

– To nie jej sprawa. Zresztą twoja też nie.

Jeśli nawet Plato poczuł się urażony, nie pokazał tego po sobie.

– Darren Mowery kręci się wokół jej teścia. Dobrze wiesz, co to znaczy.

– Zamknij się, Rabedeneira. Kraczesz mi do ucha jak wrona. Plato podszedł o krok bliżej.

– Tu chodzi o Lucy.

Sebastian zsunął się z hamaka. Właśnie o tym rozmyślał przez całą noc. Chodziło o Lucy Blacker, Lucy z wielkimi brązowymi oczami i promiennym uśmiechem. O wdowę po Colinie.

– Może iść na policję – mruknął.

– Nie z tym, co ma do tej pory. Sprawa od razu trafiłaby do Jacka Swifta, a ten przysłałby jej ekipę glin z Waszyngtonu. Natychmiast rzuciłaby się na nią prasa. – Pluto urwał i jęknął.

– Nie wysłuchałeś całej historii, tak?

– Plato, daję słowo, szkoda, że nadal nie ratujesz ludzi, skacząc z helikopterów. Gdyby tak było, mógłbym sprzedać firmę i spokojnie odejść na emeryturę.

– Jezu, ty nawet jej nie wysłuchałeś! Nie mogę w to uwierzyć. Redwing, naprawdę jesteś osłem.

Sebastian zszedł po schodkach. Cały był zeszywniały i miał ochotę na kawę. Musiał przestać myśleć o Lucy. To nigdy nie prowadziło do niczego dobrego.

– Byłem pewien, że opowiedziała wszystko tobie, więc po co miała powtarzać dwa razy?

– Lucy zasługuje...

– Nie obchodzi mnie, na co Lucy zasługuje – prychnął Sebastian. Czuł na sobie wzrok przyjaciela i dobrze wiedział, o czym tamten myśli.

– Owszem, obchodzi cię, i na tym właśnie polega problem. Od szesnastu lat jesteś w niej zakochany.

To był cały Plato. Zawsze mówił głośno to, co najlepiej byloby pominąć milczeniem. Sebastian poszedł do samochodu. Zanosilo się na piękny dzień. Mógł wybrać się na konną przejażdżkę i zabrać ze sobą psy albo poczytać w hamaku historie o duchach.

Ale wiedział, że nic z tego nie będzie. Przez cały ostatni rok nie robił nic innego, tylko uganiał się z psami. Wyrzekł się

przemocy, ale to nie dawało mu prawa do ignorowania przyjaciół i nie zwalniało go od odpowiedzialności.

Za rzadko się golił, za rzadko prał ubrania. Mógł sobie pozwolić na zatrudnienie pomocy, ale to oznaczało koniec samotności. Nie potrzebował ludzi i nie miał ochoty być miły dla nikogo.

– Nie mogę pomóc Lucy – powiedział. – Zapomniałem już wszystko, co umiałem wcześniej.

– Nie opowiadaj bzdur, Redwing – parsknął Plato, stojąc nad nim jak kat nad dobrą duszą. – Niczego nie zapomniałeś. Trochę zardzewiałeś, ale instynkt nadal masz niezawodny.

Sebastian z rozmachem otworzył klapę ciężarówki.

– Nie cierpię takiego gadania.

– Cholera jasna, Redwing. Przecież nigdy w życiu nie użalałeś się nad sobą.

Owszem, była taka chwila. Stał w bezruchu i patrzył, jak Lucy Blacker idzie przez kościół po to, by poślubić innego mężczyznę.

Przymrużył oczy i spojrzał na poranne słońce.

– Powiedz mi, z czym Lucy tu przyjechała.

Plato spokojnie i bez emocji wszystko mu zrelacjonował. Sebastianowi bardzo nie podobało się to, co usłyszał.

– Może to tylko dzieciaki i ich koledzy. – Wzruszył ramionami.

– Dobrze wiesz, że to robota Mowery’ego.

– Mowery to nie jest mój problem.

– Twój samolot jest zatankowany – rzekł Plato, jakby go nie słyszał. – Mam nadzieję, że nie odebrali ci jeszcze licencji pilota?

Sebastian otrzepał plandekę ciężarówki z kurzu.

– Wolałbym znów identyfikować topielców, niż lecieć do Vermontu.

– Przecież nigdy nie identyfikowałeś topielców. To była moja działka. Nie sądzisz, że Lucy jest jeszcze ładniejsza niż kiedyś? Znalazłem już człowieka do opieki nad psami i końmi.

Sebastian wymamrotał pod nosem przekleństwo.

Od samego początku wiedział, że tak to się musi skończyć. Próby przekonania Rabedeneiry były tylko grą na zwłokę.

Wskoczył do kabiny ciężarówki i wyjechał na pylistą drogę.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Jack wiedział, że powinien zadzwonić po policję i kazać im aresztować Darrena Mowery'ego. Bez dwóch zdań. Ten sukinsyn śmiał grozić senatorowi Stanów Zjednoczonych. Był to zwykły, ordynarny szantaż.

Nie sięgnął jednak po słuchawkę ani nie zawołał nikogo ze swojego personelu, tylko ze zgrozą patrzył na Mowery'ego. Podobnie jak większość ludzi w Waszyngtonie, był święcie przekonany, że ten człowiek nie żyje, a w każdym razie na dobre zniknął z tego kraju. Tymczasem

Mowery był tutaj, w jego biurze.

– Niech się pan dobrze zastanowi, senatorze, zanim pan cokolwiek powie – usłyszał.

Jack opanował się resztkami sił.

– Idź do diabła! Mam ochotę zetrzeć ci ten uśmiezek z twarzy.

Mowery wzruszył ramionami.

– Proszę bardzo, niech pan dzwoni po policję. Wydawali się dzisiaj bardzo znudzeni. Na pewno chętnie by się zajęli wyrzucaniem stąd szantażysty.

– Czy myślisz, że nikt się jeszcze nie zdziwił, zobaczywszy cię tutaj?

– To nie mój problem.

Jack czuł nasilający się ucisk w splocie słonecznym. Sama obecność Darrena Mowery'ego w tym miejscu była dla niego obrazą. Wiedział, że właśnie przechodzi najważniejszy test w

swojej trzydziestoletniej karierze politycznej. Spojrzał na fotografie oprawione w ramki, na listy z podziękowaniami, nagrody, wszystkie pamiątki jego służby publicznej. Nie należał do ludzi aroganckich i żądnych władzy. Dla niego praca dla kraju była zaszczytnym powołaniem.

– Jesteś bezczelnym łajdakiem, Mowery – powiedział chłodno, zdumiony własnym spokojem. – Szantażowanie senatora Stanów Zjednoczonych nie ujdzie ci na sucho.

– Nie szantażuję senatora Stanów Zjednoczonych, tylko ojca, który nie chce, by świat się dowiedział, że jego syn na dwa tygodnie przed śmiercią sypiał z kobietą, która nie była jego żoną.

Jack gwałtownie zaczerpnął tchu.

– Wyjdź stąd. Natychmiast.

– Mogę pokazać kilka zdjęć – rzekł Mowery z wielką pewnością w głosie, pochylając się nad biurkiem. – Niech pan dzwoni po policję i każe mnie wyprowadzić. Wszedłem tu raz, wejść i drugi. A jeśli nawet ja tu nie wejść, to zdjęcia pójdą w świat.

– Nie dostaniesz ode mnie ani centa.

– Dobra, dobra – mruknął Mowery i wstał. Ubrany był w jasnoszary garnitur. Podobne garnitury nosiły setki turystów, reporterów i niższych urzędników w budynku senatu. Dzięki temu doskonale wtapiał się w otoczenie. – Pierwsza partia fotografii jeszcze dzisiaj zostanie wysłana do kilku czasopism oraz do Lucy Swift, pokrzywdzonej wdowy.

Jack nie był w stanie wypowiedzieć słowa. Jeszcze mocniej zacisnął usta. Ból podbrzuszu stawał się coraz bardziej dojmujący. Colin. Boże. Co ojciec jest winien pamięci swego syna?



Co on sam był winien owdowiałej synowej i jej dzieciom? A co był winien obywatelom tego stanu? I sobie?

– Niech pan pamięta, senatorze – ciągnął Mowery – że skandale na tle seksualnym zawsze znajdują wielki oddźwięk, szczególnie gdy mają związek z człowiekiem o tak nieposzlakowanej opinii jak pan.

– Jak śmiesz!

Mowery zignorował go.

– No i oczywiście bez względu na to, jak zareagują gazety, Lucy o wszystkim się dowie.

– Przestań! Milcz! Colin nie żyje od trzech lat. Czy ty nie masz ani odrobiny przyzwoitości?

– Skoro on nie miał, to dlaczego ze mną miałoby być inaczej? Nic pan nie poradzi na to, co wyprawiał pański syn. Nic pan nie poradzi również na to, że ja o wszystkim wiem i mam zdjęcia. Ma pan wpływ tylko na jedno. Od pana zależy, czy to zostanie między nami, czy też dowie się o tym cały świat.

– Mógłbym cię zabić gołymi rękami – wychrypiął Jack. Wiedział, że to, co mówi, jest żalosne. Sam sobie w tej chwili wydawał się śmieszną fajtłapą. – Gdybym był młodszy...

– No cóż, nie jest pan młodszy. I to ja mam te fotografie, nie pan. Albo pan zapłaci, albo przegra.

Sprawa jest prosta jak drut.

– Nie sprzedam swoich wyborców.

– A na co mi pańscy wyborcy?

– I nie zdradzę tego kraju.

Mowery roześmiał się na głos.

– Jezu! To zupełnie jak z filmu o drugiej wojnie światowej. Nie chcę żadnych tajemnic państwowych, tylko gotówki. Gotówka. To wydawało się bardzo proste.

– Ile chcesz?

– Dziesięć tysięcy. To niewiele. Urząd podatkowy w ogóle nie zwróci uwagi na taką sumę.

Czyli na tym się nie skończy, pomyślał Jack.

Dziesięć tysięcy dolarów to były marne grosze dla takiego człowieka jak Darren Mowery. Przez chwilę milczał.

Mowery położył na biurku jakąś kartkę.

– Pieniądze mają zostać przesłane na to konto. Przez Internet to zajmie tylko kilka minut.

– Wiem, kim jesteś, i będę umiał cię znaleźć.

– I co z tego? Zastanawiałem się, czy nie załatwić tego anonimowo. Wie pan, telefon w środku nocy, nieznanym głosem każe panu napełnić plecak dwudziestodolarówkami i zostawić go przy pomniku bohaterów wojny w Wietnamie... te rzeczy. Ale wydawało mi się to zbyt skomplikowane. Pewnie odłożyłby pan słuchawkę i wrócił do łóżka. A tak przynajmniej jest jasne, z kim ma pan do czynienia.

– Owszem. Mam do czynienia z podrzędną formą życia, z człowiekiem, który wyrzekł się dobrego imienia i kariery...

– Racja, senatorze. A to znaczy, że nie mam nic do stracenia. Gdybym nadal był uczciwym człowiekiem, a pan moim klientem, to radziłbym zapłacić te dziesięć tysięcy i trzymać kciuki, żeby udało się panu wykpić tak tanio.

Ruszył do drzwi. Jack podniósł się i poczuł, że kolana pod nim drżą.

– Chcę dostać wszystkie odbitki i negatywy.

– To bardzo staroświeckie. Przecież mogę je mieć na dysku w komputerze. Szczerze mówiąc, senatorze, teraz na komputerze można robić takie cuda, że nawet nie będzie pan miał pewności, czy te zdjęcia są prawdziwe. – Położył rękę na klamce, odwrócił się i mrugnął. – Niech pan przeleje te dziesięć tysięcy na moje konto.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Jack ciężko usiadł z powrotem na krześle. Przez trzydzieści lat bardzo pilnował, by cynizm, złość, pokusy ani arogancja nie miały do niego dostępu. Był uczciwy wobec siebie i wobec ludzi, których reprezentował. Tyle tylko od siebie wymagał i chciał, by tego właśnie wymagano od niego.

A teraz znalazł się w patowej sytuacji. Gdyby Colin zdradzał żonę, ona na pewno by o tym wiedziała. Lucy nie należała do kobiet, które łatwo jest oszukać. Potrafiła stawiać czoło faktom. Ale nawet jeśli wiedziała, to miała prawo do zachowania tajemnicy. Jej mąż nie żył.

Zasługiwał na to, by nie szargać jego pamięci.

Żona i dzieci miały prawo wieść własne życie w spokoju. Może ten romans był jednym z powodów ich przeprowadzki do Vermontu.

Mowery nie próbował szantażować Lucy, bo to nie ona była senatorem. Natomiast Jack miał władzę, reputację i pieniądze.

Ale czego właściwie chciał Darren Mowery?

Dziesięć tysięcy to nie była wygórowana cena za spokój rodziny. Może będzie miał szczęście i sprawa na tym się zakończy.

czy. Jack wiedział jednak, że się łudzi. Mowery chciał czegoś więcej.

Barbara nie podniosła wzroku na Darrena, gdy przechodził obok niej. Nie miała odwagi na niego spojrzeć. Boże, ależ on miał tupet! Uprzedzał ją, że załatwi to osobiście. A więc stało się.

Spróbowała oddechu medytacyjnego, żeby się uspokoić, ale nigdy nie była w tym dobra. Nawet w domu, gdy zapalała aromatyczne świece i przymykała oczy, nie potrafiła skupić się na wdechach i wydechach, by w ten sposób uciszyć obsesyjne myśli.

Nie wolno jej było kontaktować się z Darrenem.

To on w razie potrzeby miał się do niej odezwać. Zresztą i tak nie miała pojęcia, gdzie go szukać. Ale to nie było ważne. Nie zależało jej na pieniądzach wyłudzonych od Jacka Swifta.

Pragnęła tylko tego, by przerażony, bezradny Jack poprosił ją o pomoc. Chciała, by wreszcie zrozumiał, jak wiele dla niego znaczyła. Chciała, by cierpiał i by wreszcie czegoś się nauczył.

Coraz trudniej było jej oddychać. Naraz poczuła, że pragnie odzyskać własne życie, znów stać się sobą. Przez chwilę pożalowała tego, co zrobiła w ostatni weekend.

Ale, z drugiej strony, jaką satysfakcję jej to przyniosło! Jeśli Lucy zechce się poskarżyć Jackowi, to trudno. Barbara obawiała się tylko, by o jej wyczynach w Vermoncie nie dowiedział się Darren. No i policja.

– Boże drogi – powiedział któryś z pracowników biura. – A cóż tu robi Darren Mowery?

Barbara podniosła głowę, udając, że odrywa się od pracy wymagającej skupienia.

– Och, przecież znasz senatora. Gotów jest rozmawiać z każdym.

Jej kolega wzruszył ramionami. Pracował w biurze Jacka prawie tak samo długo jak ona.

– Na widok tego faceta przechodzą mnie zimne dreszcze.

Barbara wróciła do pracy. Sama rutyna, nic pasjonującego. Kiedyś była bardzo ambitna. Marzyła o stanowisku szefowej biura senackiego

albo rzecznika prasowego Swifta i w skrytości ducha hołubiła nadzieję, że Jack będzie kandydował na prezydenta. Miała tak wiele celów i pragnień, a teraz wszystkie gdzieś uleciały i Barbara czuła, że zaczyna się stawać kobietą z gatunku, jakiego nie cierpiała: pochłoniętą obsesjami, zakochaną w swoim szefie. Zaczynała być żaloszna.

Jej przymierze z Darrenem miało udowodnić, że tak nie jest. Było oznaką wiary w siebie, a nie tchórzostwa.

W godzinę później Jack wreszcie wyszedł ze swojego gabinetu. Wyglądał zupełnie normalnie.

Gdy podszedł do biurka Barbary, serce zamarło jej w piersi. On jednak powiedział spokojnie:

– Barbaro, postanowiłem spędzić sierpniowy urlop w Vermontcie, z Lucy i z dziećmi.

– Nie wybierasz się do domu?

– Z Vermontu nie jest daleko do Rhode Island. Jakoś sobie poradzę.

Teraz dopiero zauważyła, że był nieco wytracony z równowagi. Vermont. To nie wróżyło dobrze. Widocznie wizyta Darrena wzbudziła w Jacku chęć zobaczenia wnuków.

– J.T. chciał mi pokazać swoje ulubione miejsca do wędkowania, a Madison... – Powoli pokiwał głową, myśląc o czymś. – Tak, sierpień w Vermoncie. Tak właśnie zrobię. Nie masz nic przeciwko temu, Barbaro?

– Przeciwko czemu? – zdziwiła się.

Jack przesunął ręką po włosach. Tylko dzięki wieloletniej znajomości potrafiła dostrzec w tym gościu oznakę zdenerwowania.

– Chciałbym wynająć dom w Vermoncie, niedaleko Lucy. Czy mogłabyś mi to zorganizować?

– Oczywiście – uśmiechnęła się z trudem.

Wszystko miało być zupełnie inaczej.

– Na razie nie mów nic Lucy. To świeży pomysł, właściwie zaledwie impuls, i nie chciałbym, żeby Lucy i dzieci poczuły się rozczarowane, gdybym z jakiegoś powodu musiał zmienić plany.

Na przykład z powodu szantażu? – pomyślała Barbara i szybko wzięła do ręki stertę papierów, udając, że ma milion rzeczy do zrobienia.

– Rozumiem. Zaraz podzwonię i poszukam czegoś odpowiedniego.

– Chyba byłoby lepiej, gdybyś pojechała do Vermontu osobiście.

– Jak to? – zdumiała się, nie nadążając za tokiem jego myślenia. Przecież powinien ją wciągnąć do swojego gabinetu i błagać, by pomogła mu poradzić sobie z szantażystą!

– Do sierpnia nie zostało zbyt wiele czasu. Trzeba wynająć i przygotować dom. Chyba że nie masz ochoty wyrwać się jeszcze na kilka dni z Waszyngtonu.

Barbara zmusiła się do śmiechu.

– Och, nie mów takich rzeczy. Muszę tylko zakończyć parę spraw i będę gotowa do wyjazdu. Zdaje się, że w pobliżu domu Lucy jest kilka letnich posiadłości. Sprawdzę, czy którąś z nich dałoby się wynająć.

Jack wyraźnie się rozluźnił.

– Dziękuję, Barbaro. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Czy naprawdę tak myślał? Zastanawiała się, czy to może być jakiś początek, czy też Jack po prostu chciał się jej pozbyć, dopóki nie poradzi sobie z szantażystą.

Być może jej obecność zwiększała tylko ciężar na nim spiesz?

Było jej niedobrze. Nie tak dawno rzuciła mu się w ramiona, obnażyła przed nim całą duszę. Od tamtej pory solidarnie udawali, że nic się nie wydarzyło, ale były to tylko pozory. Wypowiadając głośno to, o czym, jak się jej zdawało, oboje myśleli, zerwała łączącą ich nić zaufania.

Miała nadzieję, że pod wpływem szantażu Jack wreszcie wyzna swoje uczucia. Tymczasem wysyłał ją do Vermontu.

Ale w końcu jej praca polegała na tym, by wyręczać go w niezliczonych sprawach, zarówno drobnych, jak i poważnych, służbowych i prywatnych. Nie mógł przecież wiedzieć, że wy-

syłając swą osobistą sekretarkę do Vermontu, wrzuca ją do jaskini lwa.

Wiedziała, że będzie musiała zostawić Lucy w spokoju. Gdyby Darren dowiedział się o jej poczynaniach, chybaby ją zabił.

– Barbaro? – powiedział Jack, wrywając ją z zamyślenia.

– Właśnie myślałam, że Lucy mogła trafić w gorsze miejsce. Bardzo chętnie pojedę tam na kilka dni.

Lucy oparła na kolanach koszyk ze świeżo zerwaną fasolką i westchnęła z zadowoleniem. Dwa zwyczajne dni. Wymieniła rozbitą szybę, zagipsowała dziurę w ścianie i sprawdziła dokładnie cały dom, ale nie znalazła ani broni, ani amunicji. Rob również doniósł, że Georgie jest czysty. A po zakończeniu pracy w biurze razem z dziećmi zrywała fasolkę.

– Czy myślisz, że Daisy kazała Sebastianowi zrywać fasolkę?  
– zapytała Madison, stając na ganku.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek kiedykolwiek potrafił go do czegoś zmusić – uśmiechnęła się Lucy, wyłuskując ziarna ze strąków.

– Ma piękne konie.

To prawda, pomyślała Lucy. Piękne konie, kundle, dom bez prądu i wody bieżącej. Nigdy nie potrafiła zrozumieć tego dziwnego mężczyzny. Na szczęście nie należało to do jej obowiązków. Sebastian został w Wyomingu.

Zapewne leżał teraz na hamaku, kaszląc od kurzu.

Madison usiadła obok niej i również zajęła się łuskaniem fasolki. J.T. gdzieś zniknął. Był ciepły, letni wieczór. Lucy pomy-



ślała, że Sebastian chyba wyświadczył jej przysługę, odmawiając pomocy, zmusił ją bowiem do samodzielności.

Colin nie mógł przewidzieć, że Sebastian zmieni się do tego stopnia.

– Mamo – zawołał J.T. z głębi domu. – Dziadek dzwoni!

– Przynieś mi telefon! – odkrzyknęła.

Madison wrzuciła garść strączków z powrotem do koszyka.

– Czy mogę z nim porozmawiać?

– Jasne – skinęła głową Lucy.

J.T. przyniósł na ganek słuchawkę bezprzewodowego telefonu, rzucił jej na kolana i pobiegł do ogrodu. Rozmowy z dziadkiem zawsze podniecały dzieci. Jack nigdy nie okazał im w żaden sposób swojego niezadowolenia z decyzji matki, która zabrała je z Waszyngtonu, jej jednak dawał to odczuć w subtelny sposób.

– Witaj, Jack – powiedziała do słuchawki.

– Co słychać?

– Miałem wolną chwilę i pomyślałem sobie, że zadzwonię...

– Miło cię słyszeć.

– A co u ciebie?

– Siedzimy na ganku z Madison i łuskamy fasolkę.

– Cóż za sielanka!

Roześmiała się beztrasko, ale wyczuła w jego głosie nutkę krytycyzmu, pomieszanego z nieoczekiwaną nostalgią.

– A jak tam w Waszyngtonie?

– Gorąco.

– W końcu jest lato. Pogadamy, gdy tutaj wiśnie już przekwitną i zacznie się błoto.

– J.T. mówił, że byliście w Wyomingu.

– To była krótka wycieczka, ale miła.

– Widziałas się z Sebastianem Redwingiem?

Lucy nie odpowiedziała od razu. Czy Jack wiedział o jej obietnicy, którą przed trzema laty złożyła Colinowi? Może podejrzewał, że spotkała się z Sebastianem, ponieważ ma jakieś kłopoty? W jego głosie nie było ani cienia podejrzliwości, ale wiedziała, że jej teść potrafi ukrywać emocje lepiej niż większość ludzi.

– Tak – rzekła w końcu. – Dzieciom bardzo podobała się taka wycieczka.

– Przypuszczam, że nie pojedą w tym roku na obóz? W zeszłym roku też nie pojechali.

– Nie ma takiej potrzeby. Nie zapominaj, gdzie mieszkamy i czym ja się zajmuję – odrzekła lekkim tonem, udając, że nie zauważa przygany w słowach Jacka. Wiedziała, że nie groziło jej, by jawnie zakwestionował jej metody wychowawcze, bo był na to zbyt kulturalny i delikatny, ale w głębi ducha ich nie pochwalał. To, że Madison i J.T. pływali kajakiem i czółnem, wspinali się na skały, kąpali się w lodowatych strumieniach, uprawiali warzywa, wdrapywali się na drzewa, łowili ryby i wędrowali po lasach Vermontu, nie rekompensowało tego, że nie uczyli się żeglować, grać w golfa i w tenisa.

Lekcje, jakie odbywali od czasu do czasu w ośrodku rekreacyjnym w mieście, nie wystarczały.

– Lucy, oni potrzebują własnego życia – powiedział Jack cicho.

Zdumiało ją to, ale zmusiła się do śmiechu.

– Powtarzają mi to zawsze, gdy każą im posprzątać w swoich pokojach .

– Czy myślisz, że Colin chciałby, żeby wychowywali się w Vermoncie? Łuskając fasolkę i biegając po lasach? Lucy, życie jest brutalne.

Muszą być tego świadomi.

– Jack, Colina już nie ma, a ja robię dla nich, co mogę.

– Wiem, oczywiście. Przepraszam cię.

– Nie ma o czym mówić – westchnęła Lucy. – Madison i J.T. bardzo by chcieli zobaczyć się z tobą, ja oczywiście też. Może udałoby ci się przyjechać tu w sierpniu?

– Mam taką nadzieję.

– Jeśli to możliwe, to my też chcielibyśmy wybrać się na kilka dni do Rhode Island. A Madison już się nie może doczekać wyjazdu do Waszyngtonu jesienią.

Lucy spojrzała na córkę, która pilnie przysłuchiwała się rozmowie i gotowa była skorzystać z każdej szansy, by przekonać matkę o konieczności spędzenia semestru w szkole w Waszyngtonie.

Lucy była jednak pewna, że Jack nie da się wciągnąć w zakulisowe rozgrywki i nie będzie knuł wraz z wnuczką intryg przeciwko niej.

– Madison miałaby ochotę zostać w Waszyngtonie na dłużej niż trzy dni. Może chcesz z nią porozmawiać?

– Bardzo chętnie. Miło mi się z tobą rozmawiało, Lucy. Aha, Sidney Greenburg przesyła ci pozdrowienia.

To znaczy, że nadal się widują, pomyślała Lucy. Miała nadzieję, że dzięki tej znajomości

Jack nie czuje się tak bardzo samotny.

– Dzięki. Powiedz jej, że dopinam ostatnie szczegóły wyjazdu do Kostaryki i na pewno nie zapomnę zapisać jej jako pierwszej na listę.

– Być może pojedziemy we dwoje – usłyszała w odpowiedzi.

– Lucy, nie chciałem, żebyś pomyślała... wiem, że masz prawo żyć dalej własnym życiem.

– Wszystko w porządku, Jack. My też za tobą tęsknimy. Do zobaczenia wkrótce.

Madison wzięła od niej słuchawkę i znikła w głębi domu. Jack był dobrym dziadkiem dla swoich wnucząt i obydwójce go kochali. Lucy wiedziała jednak, że gdyby zostali w Waszyngtonie, to żyliby w świetle Jacka, a tego ona nie byłaby w stanie wytrzymać. Musiała zerwać z tamtą rzeczywistością.

Sięgnęła po kolejną garść fasolki. Na ganku pojawił się Rob i usiadł obok niej w wiklinowym fotelu.

– Właśnie zamknąłem listę na wyjazd do Nowej Funlandii. Czy chcesz, żebym zrobił listę rezerwową?

– To byłoby rozsądne.

– A J.T. postanowił jednak wziąć udział w tej wyprawie ojców i synów.

– Naprawdę? To dobrze. Mam nadzieję, że nie zmieni zdania.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę. Lucy cały czas łuskała fasolę. Podobało jej się życie, jakie tu prowadzili. Jej zdanie było teraz najważniejsze, nie opinia Jacka czy nawet Colina.

Sebastian przybył do południowego Vermontu późnym popołudniem i zatrzymał się w czystym, niewielkim motelu przy drodze prowadzącej do Manchesteru. Odległość, jaka dzieliła go od Lucy, była w sam raz: nie za daleko i nie za blisko.

Po drodze wpadł na chwilę do Waszyngtonu, by porozmawiać z Happy Ford, nową pracownicą, której Plato przydzielił sprawę Mowery'ego. Wywodziła się ze służb specjalnych i znała się na swojej robocie, ale tylko Plato mógł zatrudnić kogoś, kto nosił takie imię.

„Szczęśliwa” pani detektyw powiedziała mu, że Mowery przed południem odwiedził senatora Swifta w jego biurze, a potem znikł.

Sebastian ostrzegł ją, by w żadnym wypadku nie zlekceważyła Darrena.

– Musisz założyć, że Mowery jest lepszy od ciebie – powiedział.

– Jak myślisz, czy on wie, że go śledzę?

– Wie.

Sebastian zabrał papierowy kubek z kawą na patio przed budynkiem motelu i usiadł na staroświeckim metalowym krześle, pomalowanym na żółty kolor. Krzesło stojące przed sąsiednim pokojem było lawendowe, następne różowe, a jeszcze następne niebieskie. Podobało mu się to.

W pokoju znalazł foldery przedstawiające lokalne atrakcje turystyczne: stare domy, kryte mosty, zabytki z czasów wojny o niepodległość, zajazdy i kurorty. Przyszło mu do głowy, że mógłby wypożyczyć wielką wannę i spłynąć nią po rzece Bat-

tenkill. Wydawało się, że to lepszy pomysł niż szpiegowanie Lucy.

Sebastian nigdy nie był miłośnikiem turystyki ani historii. Nie czuł się także Vermontczykiem, chociaż urodził się i wychował w tym stanie i tu znajdowały się groby jego przodków. Daisy twierdziła, że jeden z nich brał udział w bitwie pod Bennington, gdzie w 1777 roku walczący o niepodległość Amerykanie przetrzepali skórę Anglikom. Jego babka lubiła się podawać za rdzenną mieszkankę Vermontu.

Kowbojskie buty i kapelusz zostały w Wyomingu. Sebastian był tu obcy, ale nic go to nie obchodziło.

Wieczne powietrze było ciepłe i nieco wilgotne.

Gęste lasy porastały łagodne wzgórza.

Sebastian miał wrażenie, że te lasy zamykają się wokół niego.

Wylał resztę kawy na trawę i wstał. Zrobił w życiu wiele głupich rzeczy. Jedną z najgłupszych było to, że zakochał się w Lucy Blacker w dniu jej ślubu. Równie idiotyczne wydawało się to, że tu przyjechał. Kula na siedzeniu samochodu. To nie była sprawka dzieci ani Mowery'ego.

Stanął w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Już trzeci dzień zapowiadał się upalnie. Nie zabrał ze sobą żadnej broni. Nie polował i nie zamierzał do nikogo strzelać. Gdy mówił, że wyrzekł się przemocy, ludzie przeważnie brali to za żart. Ale to nie był żart. Darren Mowery był ostatnią ofiarą Sebastiana.

Na jego ramieniu usiadł komar. Sebastian strzepnął go jednym ruchem ręki. Po co mu pistolet? Bardziej by się przydał dobry środek na komary.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Lucy zabrała lornetkę i poszła przez podwórze.

Wyminęła stodołę, kamienny murek i wyszła na łąkę. Miała na sobie krótkie spodenki, koszulkę i tenisówki. Pogoda była niezwykle jak na tę okolicę gorąca i wilgotna.

Kolejne dwa dni minęły bez żadnych incydentów.

Lucy była w dobrej formie. Wstawała wcześniej rano i udało jej się nadrobić zaległości w pracy, dzięki czemu zdążyła jeszcze poprowadzić wycieczkę kajakową w dół rzeki Battenkill dla rodziny, która zatrzymała się w miejscowym zajeździe. Również Madison i J.T. wzięli udział w tym spływie i świetnie się bawili. Wszystko było takie... normalne. Później Madison pojechała do Manchesteru, by z przyjaciółmi pójść do kina, a J.T. poszedł do Kileyów. Zamierzał grać w nintendo z Georgiem i zostać tam na noc. Tak więc Lucy miała cały wieczór dla siebie.

Trawa na łące, upstrzona stokrotkami i rumiankami, sięgała kolan. Ponieważ z zachodu nadciągały chmury, nie należało zapuszczać się zbyt daleko w las. Burza jednak mogła oczyścić parne, duszne powietrze.

Za starym murem, który wyznaczał granicę łąki, rozciągał się las. Rosły tu dęby, klony, sosny i buki. Lucy przeskoczyła przez



mur i stanęła w cieniu wielkiego klonu, który znakomicie nadawał się do wspinania. Z górnych gałęzi musiał rozciągać się wspaniały widok.

Przyszło jej do głowy, że mogłaby tam posiedzieć i poobserwować ptaki, ciesząc się samotnością.

Podskoczyła i zawisła na najniższej gałęzi. Od dziecka uwielbiała wspinać się po drzewach.

W Waszyngtonie pracowała w muzeum przy organizacji wybieczek tematycznych. W tej pracy doskonale łączyła wykształcenie antropologiczne z zamiłowaniem do życia na świeżym powietrzu. Lucy odnalazła w sobie pasję i talent. W wyjątkowo przenikliwy sposób odkrywała, czego ludzie naprawdę potrzebują, i potrafiła zaspokoić te oczekiwania podczas wypraw, które przyciągały uwagę już podczas przeglądania folderów reklamowych. Ta umiejętność bardzo jej się przydała, gdy zaczęła pracować na własną rękę, a wielu waszyngtońskich klientów nadal korzystało z jej usług.

Wspinała się coraz wyżej, ocierając sobie ręce o szorstką korę. W końcu znalazła odpowiednią gałąź i usiadła na niej, spuszczać nogi w dół. Nawet bez lornetki widok zapierał dech w piersiach: lasy, pola, kamienne murki, strumień, jej żółty dom, wciśnięty w wąski pasek względnie płaskiego terenu. Niedaleko znajdował się cmentarz, położony na zboczu, żeby nie zajmować cennego płaskiego terenu, przeznaczonego na uprawy. Znajdował się tam grób prezydenta Calvina Coolidge'a.

Ostrożnie przytrzymując się gałęzi, Lucy zdjęła z szyi lornetkę i przyłożyła ją do oczu z nadzieją, że na zamglonym niebie

uda się jej wypatrzeć sokoła. Naraz od strony lasu dobiegł ją jakiś hałas.

Zastygła i zaczęła nasłuchiwać. To nie była wiewiórka ani jeleń. Może łoś? Przypomniały jej się wcześniejsze wypadki i wzruszyła ramionami.

Zwykle leśne odgłosy, też mi coś, pomyślała. Ostrożnie rozejrzała się po najbliższej okolicy. Krzaki. Drzewa. I Sebastian Redwing.

Z wrażenia straciła równowagę i wypuściła lornetkę z ręki. Sebastian zdążył się uchylić w ostatniej chwili, ale zręcznie złapał metalowy przedmiot i podniósł głowę.

– Chcesz mnie zabić, Lucy?

– Niezły pomysł – wykrztusiła. – Cholera jasna, Redwing, co ty tutaj robisz?

– Chciałaś, żebym ci pomógł, więc jestem.

Lucy była przekonana, że to tylko halucynacje spowodowane upałem. Sebastian nie mógł być w Vermoncie, bo przecież leżał na hamaku

w Wyomingu, otoczony swoimi psami i końmi.

Zeszła o jedną gałąź niżej, a potem bez namysłu zeskoczyła na dół jak dwunastolatka – tyle że nie miała już dwunastu lat i lądowanie okazało się twardsze, niż przypuszczała. Poczowała przeszywający ból w kostce i zakłęła. Sebastian podtrzymał ją, chroniąc przed upadkiem.

– Łatwiej wejść, niż zejść – zauważył.

– Od dziecka umiem wspinać się na drzewa.

– Co za brawura. – Uśmiechnął się. – Omal nie skreśliłaś sobie kostki.

– Omal. Ale nie skreśliłam. Nic mi się nie stało. – Wzruszyła ramionami. Wiedziała, że gdyby poskarżyła się na ból, Sebastian natychmiast zatańczyłby ją na pogotowie. Nie mogła się narazić na takie upokorzenie.

– Co robiłaś na tym wielkim drzewie? – zapytał łagodnie.

– Obserwowałam ptaki.

– Wszystkie ptaki schowały się przed burzą.

Nadal obejmował ją w pól.

– Możesz mnie już puścić – powiedziała.

– Dasz radę stać o własnych siłach ?

– Jasne.

Cofnął ramię i odsunął się o krok. Nie był już zakurzonym, niechlujnym abnegatem. Brudny kapelusz i kowbojskie buty zostały w Wyomingu. Sebastian ubrany był w przyzwoity strój traperski, włącznie z butami do wspinaczki. Był sprawny fizycznie, opalony i bardzo czujny. To było pierwsze, co zauważyła przed laty, gdy go poznała: jego czujność. Miała wrażenie, że żaden szczegół otoczenia nie może ująć jego uwagi.

Wydawało się to prawie niemożliwe, ale był jeszcze gorszy niż agenci CIA. Zresztą może właśnie tam uczył się swego fachu. Nieprzenikniony, mało kontaktowy i wyłącznie skupiony na zadaniu. Lucy nagle uświadomiła sobie, jak niewiele o nim wie.

– Myślałam, że nie masz ochoty mi pomagać – powiedziała, poprawiając koszulę.

– Bo nie mam.

– W takim razie wracaj do Wyomingu – poradziła, przeskakując przez murek. – Gdy cię prosiłam o pomoc, nie chodziło mi o to, żebyś skradał się po lasach. Chciałam tylko usłyszeć twoje zdanie. I zauważ, że mówię to w czasie przeszłym.

– Zauważyłem.

– A już na pewno nie chodziło mi o to, żebyś mnie straszyl.

– Nie straszylem cię, to ty sama się przestraszyłaś – stwierdził Sebastian, bez wysiłku przekraczając pozostałości kamiennego muru.

– Zanim zareagujesz na cokolwiek, powinnaś najpierw sprawdzić, z czym masz do czynienia.

– Znam się na kajakach, czołnach i łuskaniu fasoli, ale na facetach, którzy wyskakują na mnie z krzaków, nie za bardzo.

Na ustach Sebastiana pojawił się uśmiech, który jednak nie rozjaśnił jego oczu.

– To ty zrzuciłaś mi na głowę lornetkę.

– Nie zrobiłam tego umyślnie.

– Kiedyś, w dzieciństwie, sam wspinałem się na to drzewo – powiedział.

Lucy dopiero teraz przypomniała sobie, że przecież Sebastian jest wnukiem Daisy i że to on sprzedał jej dom. Historycznie rzecz ujmując, miał do tego terenu większe prawo niż ona.

– I jak się czujesz w krainie swojego dzieciństwa? – zapytała. Wzruszył ramionami.

– Zapomniałem, jak dokuczliwe potrafią być komary.

Lucy znów zawiesiła lornetkę na szyi.

– Nigdy nie zamierzałam cię prosić, żebyś tu przyjeżdżał.

– A o co zamierzałaś mnie prosić?

– Żebyś mi powiedział, że nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo.

– A jak miałbym to ocenić, siedząc w Wyomingu? – zapytał.

– Na podstawie doświadczenia i instynktu.

– Inaczej mówiąc, miałbym, wygodnie siedząc w hamaku i podziwiając chmurki na błękitnym niebie, ulżyć twoim zmartwieniom – stwierdził, zatrzymując wzrok na jej twarzy. Po chwili dodał cicho: – Wierz mi, to by odpowiadało nam obojgu.

– Nie chciałam ci sprawiać żadnego kłopotu.

– Za późno.

Lucy westchnęła ciężko i szybko poszła przed siebie. Sebastian nie odezwał się ani słowem.

Został w tyle. Zatrzymała się i spojrzała przez ramię. Był o kilka metrów za nią, wielki i nieruchomy jak dąb.

– Możesz jeszcze dzisiaj wrócić do Wyomingu.

– Zrobię, co zechcę.

– Jeśli próbujesz mnie przestraszyć, to sobie daruj. Mieszkam tu z dziećmi od trzech lat i nie jestem taka strachliwa.

– A co z tą kulą, która przebiła okno w twojej jadalni?

– To już przeszłość. Drobiazg. Przesadziłam.

– Może tak, może nie. – Wzruszył ramionami. – Nic się nie zdarzyło, odkąd wróciłaś z Wyomingu?

– Nie. Kiedy przyjechałeś?

– Dwa dni temu.

Powstrzymała złość.

– Gdzie się zatrzymałeś?

– W motelu.

– Więc szpiegujesz mnie już od dwóch dni.

Uśmiechnął się lekko.

– Po co miałbym cię szpiegować? Przecież to nie ty strzelałaś.

– Ale obserwowałeś mnie – nie ustępowała.

Sebastian ruszył przez pole.

– Twoje życie jest okropnie nudne.

To znaczyło, że się nie myliła.

– Może dla kogoś takiego jak ty – mruknęła ze złością, idąc za nim. Lornetka kołysała się na jej szyi przy każdym kroku. – Czy na rzece też mnie obserwowałeś?

– Nie. Siedziałem tutaj i przyglądałem się, jak dziecięcy niszczył twój ogród.

– Chyba nie mówisz poważnie.

Spojrzał na nią przez ramię.

– Obejrzyj swoją fasolkę, to się przekonasz.

– Nie potrzebuję ochroniarza – warknęła z wściekłością.

– To dobrze, bo ja się na tym nie znam. Chciałem tylko obejrzeć sobie otoczenie. Lucy idzie do pracy. Lucy zrywa fasolkę. Lucy zajmuje się dziećmi. Lucy załatwia sprawunki. Lucy pije wino na werandzie. Lucy wybiera się na spływ rzeką. – Ziewnął. – I tyle tego.

– To lepsze niż leżenie przez cały dzień w hamaku – warknęła zjadliwie.

– Niewątpliwie.

W oddali rozległ się grzmot. Niebo pociemniało, a wiatr się nasilił. Lucy pohamowała emocje.

– Wracaj do Wyomingu – powtórzyła. – Jeśli cię spotkam na terenie mojej posiadłości, to zadzwonię po policję.

– I tak mnie nie aresztują. Jestem wnukiem Daisy Wheaton. Powiem, że przyjechałem odwiedzić rodzinne strony. Najpewniej zorganizowałyby festyn na moją cześć.

Lucy patrzyła mu prosto w twarz.

– Czy zawsze byłeś takim durniem?

– Nie – uśmiechnął się szeroko. – Ostatnio bardzo mi się pogorszyło. Plato nic ci o tym nie wspomniał? – Mrugnął do niej beczelnie. Było oczywiste, że nic go nie obchodzi, co ona o nim myśli. – Do zobaczenia, Lucy.

Lucy weszła pod prysznic i zrobiła sobie najbardziej gorący tusz, jaki tylko mogła wytrzymać, a potem natarła się lawendowym żelem, wytwarzanym przez miejscowego zielarza.

Miała nadzieję, że zielarz nie jest krewnym Sebastiana Redwina.

Daisy Wheaton powinna była zapisać swój dom Towarzystwu Ochrony Środowiska, a nie wnukowi. A ona sama powinna wyjechać z rodzicami do Kostaryki albo zostać w Waszyngtonie, uszczęśliwiając teścia.

No cóż, Colin nigdy nie twierdził, że Sebastian jest dżentelmenem lub choćby miłym facetem.

Mówił tylko, że ma do niego zaufanie i że Lucy powinna się z nim skontaktować, gdyby potrzebowała pomocy. Najwyraźniej okazało się to pomyłką, ale o tym Colin nie mógł wiedzieć.

Wytarła się wielkim, puszystym ręcznikiem i posypała ciało ziołowym pudrem, pochodzącym z tego samego źródła co żel. Burza ucichła ale ze wschodu nadal dobiegały grzmoty. Powie-

trze było chłodniejsze i mniej parne. Lucy trochę się uspokoiła. Po spotkaniu z Sebastianem czuła się wyczerpana.

Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Od czasu śmierci Colina rzadko myślała o sobie jak o kobiecie. Była matką, właścicielką firmy, wdową, osobą, która próbowała pozbierać się po nagłej tragedii, ale prawie nigdy nie przychodziło jej do głowy, że jest również kobietą, którą jakiś mężczyzna mógłby uznać za atrakcyjną i którą również by go pragnęła. A przecież miała za ledwie trzydzieści osiem lat.

– Boże drogi – westchnęła nagle, bardzo poruszona. – Skąd mi się wzięły takie myśli?

Wiedziała, skąd. Sprawiała to bliskość Sebastiana, jego dotyk, gdy pochwycił ją pod drzewem.

Co za bzdura, pomyślała i skrzywiła się z niesmakiem. Trzeba zachować zdrowy rozsądek. To właśnie wyważone, racjonalne podejście do życia pozwoliło jej jakoś przetrwać ostatnie trzy lata. Nie zamierzała teraz, i to z powodu jednego dotyku, tracić nad sobą kontroli.

Zarzuciła na ramiona czarny satynowy szlafrok obszyty koronką, który kupiła w Manchesterze na wyprzedazy, i poszła do sypialni. Czekając, aż Madison wróci z kina, zamierzała poczytać w łóżku.

Nagle zatrzymała się w drzwiach sypialni.

Coś było nie tak. Pośrodku łóżka leżało coś czarnego. Nie, pomyślała, zdjęta nagłą paniką, i podeszła bliżej. To coś nie poruszyło się, ale nie wyglądało jak plastik, guma ani żadna z obrzydliwych zabawek J.T.



Patrzyła na chropowatą skórę, kawałki futra, skrzydła. To był nietoperz.

Pociągnęła za narzutę, lecz stworzenie nie poruszyło się.

Lucy straciła kontrolę nad sobą. Dzieci nie było w domu i nie musiała się powstrzymywać. Zaciśnęła pięści i zaczęła krzyczeć ze strachu i obrzydzenia. Po chwili uspokoiła się i otarła oczy ręką.

Martwy nietoperz. W jej łóżku. Rozejrzała się po pokoju, szukając czegoś, przez co mogłaby go wziąć do ręki. Z wściekłości aż zachłysnęła się powietrzem. Ktoś zakradł się do jej domu, ośmielił się wejść aż do sypialni na pierwszym piętrze i wrzucił jej do łóżka martwego nietoperza.

Znalazła w szafie raketę tenisową i przyjrzała się jej ze ściśniętym sercem. Nie grała w tenisa od śmierci Colina. Pomyślała, że może podnieść nietoperza na raketce i wyrzucić do lasu. Obróciła się w stronę łóżka i zamarła.

Sebastian stał pośrodku pokoju. Nie miała pojęcia, skąd się tam wziął.

– Spokojnie – powiedział, widząc, że Lucy na jego widok aż podskoczyła.

– Nie uznajesz pukania do drzwi? – wybuchła. – Pojawiłeś się jak duch! Nie mogę... ja... Nie chcę, żebyś tu był!

– Słyszałem, jak krzyczałaś – powiedział. – Wołałem przy tylnych drzwiach, ale nie odpowiedziałaś, więc przyszedłem cię poszukać.

– Na moim łóżku jest martwy nietoperz – powiedziała, wskazując kierunek raketą.

– Widzę. Uroczy prezent.

– Nietoperze nie umierają same na łóżku.

To było oczywiste, więc Sebastian nic nie powiedział.

– To narzuta Daisy – ciągnęła Lucy. – Znalazłam ją w kufrze na strychu.

– Pamiętam ją – rzekł cicho, nie spuszczać z niej uważnego wzroku.

Oddech Lucy powoli się uspokajał, ale nogi nadal pod nią drżały. Uświadomiła sobie, jak wygląda. Stała tu w szlafroku, z mokrymi włosami, boso, ze skórą pokrytą białymi plamami pudru.

Sebastian wziął od niej rakieta. Ich dłonie zetknęły się na moment – i to wystarczyło.

Przytuliła się do niego całym ciałem. W szlafroku czuła się niemal naga. Sebastian pocałował ją mocno. Tak wiele czasu już minęło. Tak

wiele, wiele czasu. Straciła poczucie rzeczywistości.

W następnej chwili odkryła, że stoi pośrodku dywanu, a Sebastian wygląda przez okno. Tak po prostu.

Błyskawicznie doszła do siebie. Wszystko przez tego nietoperza. Przez niego straciła panowanie nad sobą.

– Nawet nie będę się zastanawiać, o co tu chodzi – mruknęła.

– Dla mnie to całkiem oczywiste – spokojnie odrzekł Sebastian, przymrużając oczy. – Samotna wdowa znajduje w swoim łóżku nietoperza i w chwilę później rzuca się w ramiona mężczyzny, który przybywa jej na ratunek, co? Chyba to nie tak wyglądało.

Sebastian wziął do ręki rakieta.

– Do tego trzeba dwóch osób.

– Do czego? Do tenisa czy do wyrzucenia martwego nietoperza...

– Lucy.

A więc chodziło mu o pocałunek. Do tego rzeczywiście potrzeba było dwóch osób. On jej do niczego nie zmuszał. Ona jego też nie. Skrzywiła się, wciąż czując smak jego ust.

– Jeszcze nie mogę pozbierać myśli. Zostaw tego nietoperza, wyrzucę go później.

– Zabiorę go ze sobą.

A więc wychodził. Bogu dzięki!

– Nie będziesz się bała zostać sama?

Potrząsnęła głową.

– Ktokolwiek go tu zostawił, zrobił głupi dowcip, ale nie próbuje skrzywdzić mnie ani dzieci.

– Może tylko na razie.

– Niczego nie zauważyłeś?

Tym razem to on potrząsnął głową. Jeśli nawet był na siebie zirytowany o to, że przez dwa dni nie udało mu się wysledzić prześladowcy, to nie okazał tego po sobie.

Lucy znów popatrzyła na nietoperza.

– To okropna bezczelność, nie sądzisz?

– Owszem – rzekł w zamyśleniu. – Ale trzeba też przyznać, że twój przyjaciel nie zdaje się na przypadek.

– To znaczy, że planuje wszystko wcześniej i wie, kiedy wychodzę i kiedy wracam.

– Pozwól, że sprawdzę dom. Najprawdopodobniej niczego nie znajdę, ale ty i ja będziemy spali lepiej, mając pewność, że nikt się nie chowa w szafie. To zajmie tylko kilka minut.

- Pomogę ci.
- Idź do kuchni i zrób sobie herbaty.
- Madison może wrócić w każdej chwili.
- Jeśli ją usłyszę, to wyjdę. Dzieci nie powinny się dowiedzieć, że jestem w Vermoncie.

Lucy przesunęła ręką po mokrych włosach .

- To wszystko jest obrzydliwe.
- Wiem – odparł. Zgarnął nietoperza na rakieta, zajął pod łóżko, do szafy i wyszedł na korytarz. Lucy poszła za nim.
- A co zrobisz, jeśli kogoś tu znajdziesz? Dasz mu po głowie rakieta?
- Wepchnę mu tego nietoperza do gardła – mruknął i otworzył szafę w korytarzu.

Przypomniała sobie, że przecież Sebastian doskonale zna ten dom. Nie potrafiła jednak wyobrazić go sobie, gdy jako dwunastolatek z zapalem wykopuje robaki za domem, tak jak teraz J.T.

- Czy myślisz, że ten nietoperz zmarł z naturalnych przyczyn?

Sebastian szedł korytarzem w stronę przeciwną do kuchni.

- Nie zamierzam przeprowadzać mu sekcji zwłok.
- Wolę nie myśleć, że ktoś go zabił po to tylko, aby mnie przestraszyć – westchnęła.
- To nie myśl – rzucił krótko.
- Przeszkadzam ci?
- Tak – przyznał.
- Zrobię sobie tej herbaty, a ty skończ swoje – powiedziała i zostawiła go samego. Sebastian nie skomentował tego ani słowem.

Gdy w kilka minut później pojawił się w kuchni, mruknął tylko:

– Dom jest czysty – i poszedł do wyjścia. A w progu dodał: – Wyrzucę tego nietoperza i zostawię rakieta na schodach.

Lucy siedziała przy stole nad kubkiem nietkniętej herbaty z rumianku. Myślała o nietoperzu i o pocałunku Sebastiana. Żaden z tych tematów nie działał na nią kojąco.

Sebastian wciąż nie wychodził. Stał w progu i patrzył na nią. W świetle zmierzchu szary kolor jego oczu wydawał się jeszcze bardziej nietypowy.

– Colin był głupi, że wysyłał cię do mnie.

– Nalegał, więc musiałam mu to obiecać – zaczęła się tłumaczyć, ale on jej przerwał:

– Wiem. Lucy, nie martw się, już więcej cię nie dotknę.

– Do tego potrzeba dwóch osób – powtórzyła jego słowa.

Wyszedł, nie odwracając się. Naraz za oknem rozbłysło i rozległ się grzmot, a w chwilę później lunął deszcz. Lucy pomyślała, że Sebastian na pewno zawróci, ale tak się nie stało. Wybiegła na schodki i w jednej chwili przemokła do nitki. Jak to możliwe, by zniknął tak szybko?

Wróciła do kuchni, wylała herbatę do zlewu i poszła na górę do sypialni. Tam przebrała się w zwykłą koszulę nocną i wskoczyła do łóżka.

Wzięła książkę, jednak w żaden sposób nie mogła się skupić na czytaniu.

W kilka minut później usłyszała podjeżdżający pod dom samochód. Madison wpadła do domu tylnymi drzwiami i zawołała z kuchni:

– Cześć, mamó! Kto zostawił na schodach raketę tenisową?

Lucy wstrzymała oddech. A więc Sebastian widział ją na schodach, w mokrym szlafroku przywierającym do ciała, w niłym świetle dochodzącym z kuchni.

– To ja! – odkrzyknęła.

Madison stanęła w drzwiach jej sypialni.

Lucy uśmiechnęła się do niej, myśląc, że gotowa jest zgodzić się na wszystko, byleby ochronić dzieci. Nawet na to, by agent Redwing włóczył się po lesie w pobliżu jej domu.

Ten nietoperz na pewno nie zmarł śmiercią naturalną. Sebastian nie był ekspertem od latających ssaków, ale to było oczywiste.

Po namyśle doszedł do wniosku, że nie ma potrzeby stróżować przez całą noc w pobliżu domu Lucy. Ten, kto podrzucił nietoperza, wykonał już swoje zadanie na dzisiejszy dzień.

Sebastian nie miał pojęcia, kto to może być, doszedł jednak do wniosku, że należy wykluczyć dzieci.

Zadzwoił do Waszyngtonu, do Happy Ford.

Nie miała żadnych nowych wiadomości.

– Sprawdzam kilka śladów – usłyszał tylko.

Rozpakował kanapkę z tuńczykiem, którą kupił po drodze, i włączył telewizor. Nie oglądał telewizji od miesiący. Znalazł powtórkę „Wyspy

Gilligana” i patrzył, jak Gilligan, Skipper i cała reszta próbują wrócić do domu. Miał ochotę powiedzieć im: „Nie ma powrotu”.

Ostatnie dwa dni, które spędził w pobliżu domu Daisy, jak skrawo uświadomiły mu tę prostą i okrutną prawdę: nie ma powrotu.

Wyłączył telewizor.

Czy Mowery był w Vermoncie? Czy przyjeżdżając tutaj, Sebastian sam się wydał w jego ręce? Czy Lucy miała posłużyć za przynętę, by go tu przyciągnąć?

Wiedział, że należy oddzielać fakty od spekulacji.

Pojawienie się Darrena w Waszyngtonie mogło nie mieć nic wspólnego z nietoperzem znalezionym na łóżku Lucy.

– Nie zaczynaj roboty, której nie zamierzasz skończyć – powtarzała mu często Daisy.

Przed rokiem Sebastian zamierzał skończyć robotę z Mowerym. Ale nie zrobił tego i teraz musiał dopilnować, by nikt inny nie zapłacił za jego błąd.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

Dom był idealny.

Bardzo z siebie zadowolona Barbara stała na tylnej werandzie z widokiem na Strumień Joshui. Znalazła dom w pobliżu siedziby Lucy. Był to ostatni budynek przy polnej drodze, która prowadziła w górę od farmy Wheatonów. Wynajęła go natychmiast, pewna, że Jack będzie zadowolony.

Znajdowały się tu dwie sypialnie, salon z kominkiem, w pełni wyposażona kuchnia, gabinet i mnóstwo okien. Weranda miała siatki zabezpieczające przed deszczem i owadami.

Meble były we współczesnym wiejskim stylu, odpowiednie w razie, gdyby trzeba było niespodziewanie zorganizować konferencję prasową.

Tylko otoczenie wymagało trochę pracy, bo, jak na gust Barbary, za bardzo było zdziczałe.

Rzeczka płynęła w dole skarpy, porośniętej świerkami i sosnami. Między drzewami widać było srebrzystą wodę omywającą kamienie.

Barbara przymknęła oczy, wsłuchując się w szum strumienia. Lekki wiatr owiewał jej twarz.

Darren nie wie, że tu jestem, pomyślała i zastanowiła się, czy powinna mu o tym powiedzieć.



A może właśnie w tej chwili obserwował ją spomiędzy drzew? Przeszył ją dreszcz. Ale przecież Darren nie mógł wiedzieć o jej obsesji na punkcie Lucy. Gdyby wiedział, już by nie żyła.

– Rób swoje, a ja będę robił swoje – powiedział jej. – Nie uznaję nedoróbek. Jeśli coś zawalisz, rozliczę się z tobą.

Miała szczerzy zamiar zostawić Lucy w spokoju, ale nie była w stanie opanować pokusy. Nie miała pojęcia, dlaczego tak się dzieje. Przecież nie brakowało jej ani siły woli, ani wewnętrznej dyscypliny.

Opadła na krzesło. To była wina Lucy, że Barbara w ogóle się tutaj znalazła. Gdyby została w Waszyngtonie, gdzie było jej miejsce, Jack nie musiałby wysłać swej sekretarki do Vermontu i wynajmować domu tylko po to, by zobaczyć swoje wnuki. A wówczas Barbara nie zostawiłaby w sypialni Lucy nietoperza.

Może nawet mogłaby się zaprzyjaźnić z synową Swifta.

Zadzwoniła komórka.

– Pieniądze są na koncie – powiedział Darren bez wstępów. – Co słychać w Vermoncie?

– Skąd wiesz, że...

– Barbaro.

Zacisnęła usta.

– Jack mnie tu przysłał. Chciał, żebym wynajęła dom na sierpień. Chce odwiedzić Lucy i wnuki.

– Szantaż czasem tak wpływa na ludzi.

– Zaproponował, żebym przez kilka dni sobie tu... wypoczęła.

– No jasne. Nie czujesz, jak pętla zaciska ci się na szyi? On cię odsuwa od siebie. Nie znasz dnia ani godziny. – Darren roześmiał się nieprzyjemnie. – Nie żałujesz teraz, że rzuciłaś mu się w ramiona?

– Jesteś obrzydliwy. Jack wcale mnie nie odsuwa. Wykonuję tylko zwykłe obowiązki. – Zebrała całą swoją siłę charakteru i dodała: – Nie chcę, żebyś do mnie dzwonił.

– Nie interesuje mnie, czego chcesz, Barbie. Pamiętaj tylko, że masz mieć czyste ręce. Będziemy w kontakcie.

Odłożył słuchawkę. Barbara wsunęła komórkę do torby. Była pewna, że poradzi sobie z Mowerym. Po prostu lubił się z nią drażnić, żeby jej pokazać, jaki jest bystry. No cóż, ona była bystrzejsza od niego.

– Pani Barbaro, czy to pani? – Nagle na skarpie nad strumieniem ukazała się Madison Swift. – Nie mogę w to uwierzyć! – zawołała z podnieceniem. – Moja koleżanka, Cindy, mówiła, że jej matka pokazywała ten dom komuś z Waszyngtonu, i miałam nadzieję, że... To ja, Madison Swift, wnuczka senatora Swifta!

Barbara od razu poznała dziewczynę, ale potrzebowała chwili, by ochłonąć z szoku.

Madison była zbyt dobrze wychowana, by podsłuchiwać, a poza tym i tak nie mogła usłyszeć rozmowy z Darrenem. Wskoczyła na werandę. Kolana miała podrapane, twarz pokrytą piegami od słońca, a ciemnorude włosy splecione w niemodny warkocz, który opadał jej na plecy.

Była bardzo podobna do Colina. Umyta i odpowiednio ubrana, a także poddana odpowiedniej edukacji w wielkim świecie, mogłaby stanowić wielki atut Jacka. Urocza wnuczka z klasą,

żywe wspomnienie po zmarłym synu. Jej widok upewnił Barbarę o słuszności kampanii przeciwko Lucy. Ta akcja nie miała nic wspólnego z Darrenem Mowerym, ani z tym, że Jack Swift odrzucił Barbarę. Przeciwnie, była aktem odwagi i poświęcenia z jej strony. Lucy potrzebowała, by ktoś nią wreszcie potrząsnął i zmusił do przyjęcia odpowiedzialności za los dzieci.

Uśmiechnęła się do podnieconej dziewczyny.

– Oczywiście, że cię poznaję, Madison. Co u ciebie słysząc, skarbie?

– Potwornie się nudzę – odrzekła dziewczyna pogodnie. – Ale nic nie szkodzi, już się przyzwyczyłam. Czy dziadek Jack przyjedzie do nas na wakacje?

– To miał być sekret. Senator chce uchronić siebie i twoją mamę przed rozgłosem.

– A czy ona o tym wie?

Barbara potrząsnęła głową.

– Najpierw chciał się upewnić, że uda mu się wynająć dom, i dopiero wtedy zamierzał jej powiedzieć. Nie chciał was rozczarować. – Barbara

była przekonana, że Madison i J.T. rzeczywiście byliby rozczarowani, gdyby Jack musiał odwołać przyjazd, ale na pewno nie Lucy. Jej nie obchodziło, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu zobaczy swojego teścia. – On sam powinien wam o tym powiedzieć.

Madison z błyskiem w oczach położyła palec na ustach.

– Obiecuję, że się nie zdradzę.

– Co myślisz o tym domu? – zapytała Barbara. – Wspaniały, prawda?

– To mój ulubiony dom w tej okolicy.

– I w dodatku pięknie położony.

Dziewczyna obojętnie wzruszyła ramionami.

– Chyba tak. W Vermoncie wszędzie jest pięknie. A co za dużo, to niezdrowo. Już mi to piękno wyłazi uszami.

– No, no – roześmiała się Barbara. – Coś takiego!

Madison usiadła na poręczy werandy, nie zwracając najmniejszej uwagi na przepaść za plecami.

– Wolałabym sama pojechać do Waszyngtonu w odwiedziny do dziadka. Wybieram się tam na długi weekend jesienią, ale to za krótko.

– Aha. Jednym słowem, chciałabyś zjeść ciastko i mieć ciastko?

– Jasne – uśmiechnęła się dziewczyna. – A pani nie?

– Oczywiście – odrzekła Barbara, spoglądając na las. – Jesteś sama? J.T. nie przyszedł z tobą?

– Nie. Uciekłam od niego. On i jego przyjaciel chcieli mnie zabrać na ryby. Nienawidzę robaków. Lubiłam je, gdy miałam dwanaście lat, ale teraz ichnie cierpię.

– Nie nadajesz się na wieśniaczkę.

Oczywiście Madison uznała to za komplement.

– To nie to, że nie lubię Vermontu, ale jednak wolę miasto. Jak długo pani tu zostanie? – dodała, zeskakując z poręczy.

– Kilka dni. Muszę dopilnować, by twój dziadek miał wszystko, czego może potrzebować. Powinna zaopatrzyć spiżarnię, przywieźć coś do czytania i tak dalej. A przy okazji jest to dla mnie rodzaj urlopu.

– Dziadek mógłby zatrzymać się u nas. I czuć się równie potrzebny jak karaluch, pomyślała Barbara. Było oczywiste, że Lucy nie czuła się już członkiem rodziny Swiftów. Jej dzieci jednak nosiły to nazwisko i na to już nic nie mogła poradzić.

– Wszystko ułoży się jak najlepiej – powiedziała Barbara spokojnie. – Czy mogłabyś nie wspominać mamie i bratu, że mnie tu widziałaś?

Przykro mi, że namawiam cię do ukrywania czegoś przed nimi, ale zaraz by się wszystkiego domyślili.

– J.T. niczego by się nie domyślił, ale mama na pewno tak.

Mając świeżo w pamięci nietoperza znalezione w łóżku, Lucy mogłaby zacząć zadawać nieodpowiednie pytania i wyciągnąć niewłaściwe wnioski. Barbara wiedziała, że nie należy prosić piętnastolatki o zachowywanie tajemnicy przed własną matką, ale w tych okolicznościach nie miała innego wyjścia.

– Oczywiście, że nikomu nie powiem – zaśmiała się dziewczyna. – Gdybym okazała się papłą, dziadek mógłby mieć do pani pretensję, że wszystko wydało się przed czasem.

– Och nie, tym nie musisz się martwić. Nie chcę mu tylko zepsuć niespodzianki.

Madison pokiwała głową.

– Dziadek zawsze lubił nas zaskakiwać. Czy widziała pani już wodospad? – dodała nieoczekiwanie.

Owszem, podczas poprzedniej wizyty, pomyślała Barbara, nie zamierzała się jednak do tego przyznawać, więc przecząco potrząsnęła głową.

– Och, musi go pani zobaczyć. To niedaleko. Czy ma pani trochę czasu? Mogę panią zaprowadzić. To nie potrwa długo.

– Nie jestem odpowiednio ubrana...

– Jest ścieżka, którą możemy pójść. Wprawdzie jest trochę dłuższa niż droga wzdłuż strumienia, ale za to łatwiejsza.

Dziewczyna tryskała energią, zapewne z powodu żalnego trybu życia, jaki zmuszona była tu prowadzić. Powinna być teraz na dobrym

obozie albo w letniej szkole za granicą. Barbara z trudem hamowała wściekłość. Gdyby tylko udało jej się przebić przez mur, za którym Jack ukrywał swe uczucia, gdyby udało się sprawić, by dostrzegł, co ona może mu zaoferować, wówczas zyskałaby również wpływ na wychowanie jego wnuków. Wiedziała, że Jack cierpi, widząc, jak wyrastają na wieśniaków.

Podniosła się z wymuszonym uśmiechem.

– Skoro tak, to chodźmy – powiedziała. – Prowadź.

Madison zeskoczyła ze schodków i raźnie ruszyła do przodu, Barbara podążyła za nią. Ubrana była jak do pracy: w ciemne spodnie, białą bluzkę i czółenka. Żwirową ścieżką okrążyły dom i poszły skrajem polnej drogi. Dom był ostatnim z zabudowań i droga w tym miejscu się kończyła, toteż Barbara nie martwiła się, że mogą zostać dostrzeżone przez kogoś z przejeżdżającego samochodu. Oczywiście ryzyko istniało, ale nie było wielkie. Po prostu kolejny dowód siły charakteru. Madison potrzebowała czegoś, co uatrakcyjniłoby jej beznadziejnie nudne wakacje.

Barbara świetnie знаła ścieżki, które wiodły przez las w stronę domu rodziny Swiftów. Poprzedniego wieczoru tutaj przyjechała, mimo że jeszcze nie miała klucza, ale szczęśliwym trafem

weranda była otwarta. Gdy wśliznęła się do środka, przed jej twarzą zatrzepotał nietoperz.

Natychmiast pomyślała o Lucy.

Nie знаła się na tych dziwacznych ssakach i nie miała pojęcia, jak się zabija bezbronne zwierzęta, ale impuls był silniejszy. Znalazła kij, zatłukła nietoperza i zapakowała go do papierowej torebki z emblematem piekarni, a potem zaparkowała samochód pod sosną na poboczu

drogi, przeskoczyła strumień i zaczęła obserwację.

Najpierw Madison wyszła gdzieś z przyjaciółmi, potem J.T. też gdzieś poszedł w towarzystwie swego brudnego kolegi. Gdy wreszcie Lucy również opuściła dom i ruszyła przez pole z lornetką na szyi, Barbara skalkulowała ryzyko. Wiedziała, że nie będzie w stanie przestać myśleć o nietoperzu, dopóki nie podrzuci go do domu, w miejsce, gdzie Lucy na pewno go znajdzie. Ale jeśli Lucy wypatrzy ją przez lornetkę?

Szybko wymyśliła wiarygodną historijkę:

„Lucy! Jack przysłał mnie tu, żebym wynajęła mu dom na sierpień, no i nie mogłam się oprzeć, by do ciebie zajrzeć. Słyszałam jakiś hałas, ale chyba tylko mi się zdawało”.

Gdyby zdążyła już podrzucić nietoperza, mogłaby się upierać, że widocznie usłyszała intruza. A jeśli nie, to kogo mogłaby zainteresować torebka z piekarni?

Ale Lucy jej nie zauważyła, za to znalazła nietoperza i wpadła w panikę. Barbara, zaczajona w lesie, słyszała jej krzyk i poczuła wielką, niekłamaną satysfakcję.

Teraz, idąc za Madison, dotarła do wielkiego drzewa, którego korzenie były rozpostarte na powierzchni ziemi jak ogromna pajęczyna. Madison skręciła w wąską odnogę ścieżki i przywołała Barbarę gestem.

– Tędy. Już prawie jesteśmy na miejscu.

Tak, pomyślała Barbara. Ryzyko było konieczne.

Dzieci Colina i wnuki Jacka zasługiwały na lepsze życie.

Jack Swift usiadł w spokojnym zakamarku swej ulubionej restauracji. Ostatnie dni były bardzo wyczerpujące. Nie zaprosił Sidney na lunch. Pokłócili się poprzedniego wieczoru. Sidney zauważyła, że coś jest z nim nie w porządku, a on upierał się, że tylko jej się wydaje.

Teraz miał ochotę na martini, talerz ciastek z jabłkami, dobrą sałatkę i spokój staroświeckiej restauracji.

Czuł się jak człowiek, który zawisł nad przepaścią, trzymając się skały tylko czubkami palców.

Szantaż. Dobry Boże...

Colin. Jego jedyny syn, jedyne dziecko. Czy naprawdę oszukiwał swoją żonę? Jackowi nigdy by to nie przyszło do głowy, ale kto wie?

I w gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia.

Nie zamierzał oglądać żadnych dowodów.

Chciał tylko, by ta sprawa znikła z jego życia.

Naraz, jak spod ziemi, wyrósł przed nim Darren Mowery z fałszywym uśmiechem na twarzy.

– Senator Swift. Jak to miło, że pana spotkałem.



Wieloletnia praktyka w życiu politycznym pozwoliła Jackowi zdobyć się na coś w rodzaju uśmiechu.

– O, pan Mowery.

– Czy mógłbym się przysiąść?

Uśmiech Jacka przyciągnął go. Restauracja była popularna wśród pracowników Kongresu, a także dziennikarzy, wiecznie spragnionych świeżych plotek. Nie miał jednak wyjścia. Darren wiedział, co robi, przychodząc właśnie tutaj.

– Proszę bardzo – rzekł chłodnym tonem.

Mowery opadł na ławkę po drugiej stronie stolika.

– Czy zamówił pan ciastka z jabłkami?

Skinął głową. Mowery chciał mu pokazać, że zna jego zwyczaje i upodobania, a historia z romanssem Colina była zaledwie początkiem. Właśnie tego Jack najbardziej się obawiał, gdy przesyłał dziesięć tysięcy dolarów na konto szantażysty.

– Zrobiłem to, o co prosiłeś – powiedział przyciszonym tonem.

– Oczywiście, że tak. I zrobił to pan szybko. Bardzo się z tego cieszę.

Podszedł do nich kelner. Darren zamówił tylko piwo, twierdząc, że nie ma czasu na lunch.

– Tu jest adres i hasło – powiedział Mowery, kładąc na stoliku wizytówkę. – To zabezpieczona strona internetowa. Może zechciałby pan na nią zajrzeć.

Jack wsunął kartkę do kieszeni marynarki.

– Mowery, na litość boską, jeśli umieściłeś zdjęcia mojego syna i owej kobiety w tym cholernym Internecie...

– Spokojnie, senatorze! To nie takie proste, jak by się mogło wydawać.

– Ludzie już zaczynają wypytywać, po co odwiedziłeś mnie w biurze.

Kelner przyniósł piwo. Mowery wypił łyk i wzruszył ramionami.

– I co z tego?

– Czego ode mnie chcesz?

– Niech pan sprawdzi tę stronę internetową i wtedy pogadamy.

Lucy ścinała lilie przed garażem. Po incydencie z nietopczem zagoniła całą rodzinę do prac domowych. J.T. i Georgie pielili ogród, Madison czyściła kajaki i czółna. Poprosiła dzieci, by tego dnia nie oddalały się od domu.

Zastanawiała się, czy powinna wyjaśnić im dlaczego, nie chciała jednak niepotrzebnie wywoływać paniki.

Poczuła na sobie czyjś wzrok. Podniosła głowę i zobaczyła Sebastiana.

– Boże, ty ciągle wyrastasz jak spod ziemi.

Uspokajająco dotknął jej łokcia.

– Przyszedłem przez boczne podwórze. Chyba nikt mnie nie widział. Lucy, muszę z tobą porozmawiać.

– Mów.

Weszli do garażu i stanęli w cieniu przy tylnej ścianie, gdzie nie było ich widać z zewnątrz.

Pachniało tu starym drewnem i smarem. Garaż wyglądał tak samo jak w dniu śmierci Daisy.

Lucy wiedziona estymą do tego lamusa, nie ruszała tu niczego. Obok nich stała pięćdziesięcioletnia drewniana taczka, a z belek zwieszały się wyczyszczone i naoliwione narzędzia.

– Czy coś się stało? – zapytała Lucy.

– Pozwoliłaś Madison chodzić samej po lesie?

– Co takiego? – zdumiała się. – Nie, skąd!

Dałam im obojgu robotę. Madison czyści kajaki za stodołą.

– Nie. Wymknęła się. Przed chwilą widziałem ją w lesie.

Lucy zacisnęła dłonie w pięści.

– Ta gówniara...

– Ma sporo inicjatywy – zauważył Sebastian.

– Nic mi nie mówiła. Nie miałam pojęcia, że jej tu nie ma.

– Myślałem o tym, żeby za nią pójść – powiedział Sebastian w zamyśleniu – ale najpierw postanowiłem zajrzeć do ciebie.

Nie lubię wkraczać pomiędzy dzieci a rodziców.

– Dzwoniła do niej koleżanka. Chciałam jej powiedzieć, żeby oddzwoniła, gdy skończy robotę.

– Lucy ze złością zmarszczyła czoło.

– Gdzie ona teraz jest?

– Już wraca do domu. Wyprzedziłem ją.

– Chciałeś się przekonać, czy pozwoliłam im włóczyć się po lesie w sytuacji, gdy jakiś obłąkaniec podrzuca mi do domu martwe nietoperze? – wybuchła Lucy. – Nie jestem aż tak głupia!

Sebastian nie stracił spokoju.

– Na jutro rano mogę tu wezwać ekipę. Plato na pewno znajdzie kilku wolnych chłopaków. Jeśli ktoś obserwuje twój dom, szybko go odkryją.

– Och, daj spokój!

– Lucy, ten, kto wrzucił nietoperza do twojej sypialni, wiedział, że nie ma cię w domu. A to znaczy, że ktoś obserwuje dom.

Skrzyżowała ramiona na piersiach i nerwowo postukiwała butem w posadzkę. Miała na sobie letnią sukienkę i sandały. Jej włosy przytrzymała przepaska zrobiona z czerwonej zwiniętej chustki. Madison pochwaliła ten strój, twierdząc, że jest „retro”. Lucy nie miała pojęcia, co to konkretnie oznaczało, niemniej komplement córki sprawił jej przyjemność.

– Mam już tego dość – mruknęła w końcu.

Sebastian nic nie powiedział.

– Jeśli ma tu przyjechać twoja ekipa, to równie dobrze mogę wezwać policję z Waszyngtonu. Nie wiem, na ile dyskretni potrafią być twoi ludzie, ale na pewno ktoś ich zauważy. Sam wiesz, że będę się rzucać w oczy. Po tych lasach nie skrada się zbyt wielu osiłków z kolczykami w uszach.

– Czy to znaczy, że nie chcesz?

Zastanawiała się jeszcze przez chwilę i w końcu podeszła do drzwi garażu.

– Którędy szła Madison?

– Ścieżką przy strumieniu.

– Zaraz tam pójde. Przekona się, jak to miło czyścić kajak szczoteczką do zębów.

– Dobra – uśmiechnął się Sebastian. – Zaczynałem się już obawiać, że jesteś dla swoich dzieci zbyt pobłażliwa.

– Jeśli będę chciała usłyszeć twoje zdanie, to sama zapytam.

– O ile sobie przypominam, chciałaś usłyszeć moje zdanie.

– A o ile ja sobie przypominam, odesłałeś mnie z niczym.

Poza tym nie chodziło o moje talenty wychowawcze.

Sebastian również przesunął się w stronę wyjścia, nie wychodząc jednak z cienia. Lucy nie mogła dostrzec wyrazu jego oczu.

– Nie – powiedział. – Chodziło o człowieka, który podrzucił do twojego łóżka martwego nietoperza.

Lucy zacisnęła usta i nic nie powiedziała. Nie wiadomo dlaczego martwy nietoperz wydawał jej się gorszy od kuli w ścianie jadalni.

– Ten nietoperz nie zginął śmiercią naturalną – dodał Sebastian. – Lucy...

Stała twarzą do niego.

– Nie. Żadnej ekipy.

– Nie mogę być wszędzie naraz.

– Wiem. – Skinęła głową. – Muszę się zastanowić. Daj mi...

– Przymrużyła oczy, czując nadchodzący ból głowy. – Muszę najpierw znaleźć moją córkę.

– Zostań z J.T. i jego kolegą. Ja dopilnuję, żeby Madison wróciła do domu cała i zdrowa.

– Posłuchaj, Madison jest dobrym dzieckiem, tylko że ma dopiero piętnaście lat i...

Sebastian jednak już zniknął. Lucy poszła do ogrodu warzywnego, gdzie J.T. i Georgie pilnie pielili grządki fasoli. Na

jej widok wyraźnie zwiększyli tempo pracy. Grządki z dyniami nadal były nieruszone. Lucy przykucnęła przy nich i zaczęła wrywać wielkie, dorodne chwasty.

Jeden po drugim rzucała je na stertę. Jak najszybciej, jak najwięcej, byle tylko nie myśleć.

– Jezu, mamó! – jęknął z podziwem J.T.

Lucy nie oderwała wzroku od grządki.

– Jestem wściekła na Madison. Trzymajcie się ode mnie z daleka.

Nie musiała powtarzać tego dwa razy.

– Chodź, Georgie, pójdziemy nad strumień... – zareagował natychmiast jej syn.

– Nie! – krzyknęła, podrywając się z ziemi. – Nie teraz. Idźcie do kuchni i weźcie sobie coś do picia. Kupiłam lizaki.

– Jakie? – zapytał Georgie z powątpiewaniem. – Moja mama zawsze kupuje owocowe. Są obrzydliwe.

Lucy zmusiła się do uśmiechu.

– Kupiłam te najgorsze, bardzo słodkie i ze sztucznymi barwnikami.

Georgie zaklaskał w dłonie z radości.

– Dobra, J.T., idziemy!

Po chwili Madison pojawiła się na ścieżce prowadzącej nad strumienia i znikła za stodołą, nieświadoma, że znalazła się w tarapatkach.

Lucy porzuciła pielenie, wzięła trzy głębokie oddechy i ruszyła na konfrontację z córką.

Było ciepłe, piękne popołudnie. Trawa pod jej stopami uginała się miękko. Przystanąła na chwilę, próbując pohamować złość i skupić się na bodźcach odbieranych przez zmysły.

Madison była w dobrym nastroju.

– Cześć, mamó. Zostały mi jeszcze tylko dwa czółna.

– Gdzie byłaś?

– Skończyłam kajaki i zrobiłam sobie przerwę. Poszłam nad wodospad. Nie musisz się martwić, nie podchodziłam za blisko.

– Madison, dałam ci pracę, a ty jej nie wykonałaś. – Lucy wzięła jeszcze jeden głęboki oddech, starając się zachowywać stanowczo i rozsądnie. – Jeśli chciałaś pójść na spacer, powinnaś mi o tym powiedzieć.

– O co ci chodzi, mamó? Przecież zawsze chodziłam sama do lasu.

– Ale nie dzisiaj. Prosiłam cię...

– Wiem. Przecież czyszczę te głupie kajaki. Po prostu to jest nudne. Myślałam, że się ucieszysz, jeśli trochę się przejdę. Przecież tutaj nie mogę nawet wyskoczyć do centrum handlowego.

Znowu to samo, pomyślała ze złością Lucy.

– Wiecznie jesteś z czegoś niezadowolona – mruknęła Madison, grzebiąc butem w ziemi.

Lucy zastanawiała się, jak powinna zareagować.

Zamknąć córkę w pokoju? Potraktować ją ostro? Nie miała pojęcia. W takich sytuacjach wszelkie utarte formułki i zasady zdawały się na nic. Wiedziała, że za wszelką cenę musi chronić dzieci, ale jak?

Zauważyła zadrapania na ramieniu Madison.

Jeszcze dwa tygodnie wcześniej nic nie mogłoby jej bardziej uszczęśliwić, niż to, że jej córka dla przyjemności wybrała się na wędrowkę po okolicy.

– Chcę wiedzieć, gdzie jesteś i co robisz. I proszę, żeby przez następnych kilka dni żadne z was nie chodziło do lasu samo.

– Dobrze, dobrze! W porządku! Będę siedziała tutaj i gniła!

– Madison...

Jednak dziewczyna już nie słuchała, tylko pobiegła do domu, trzasnęła drzwiami i w chwilę później z jej pokoju rozległa się głośna muzyka.

Lucy oparła się pokusie, by pójść za nią, ściszyć magnetofon i wygłosić kazanie na temat odpowiedniego zachowania. Żadna z nich nie poczułaby się od tego lepiej, a ponadto w niczym nie poprawiłoby to sytuacji.

Poszła jednak w stronę domu, zastanawiając się, czy Sebastian widział tę wzruszającą rodzinną scenę.

Niespodziewanie przed dom zajechał samochód Kileyów i Patti wyskoczyła ze środka, radośnie machając do niej ręką. Była energiczną kobietą o siwiejących włosach i promiennym uśmiechu, który zawsze dobrze wpływał na otoczenie.

– Przywieźliśmy ci kolację. Wyglądałaś na przygnębioną, więc pomyśleliśmy sobie, że zjemy na werandzie, a potem wybierzemy się na spacer nad wodospad. Co myślisz o kąpieli?

Rob również wysiadł i podniósł wzrok na okno Madison.

– Chcesz, żebym do niej poszedł i potwierdził, że jej matka to głupia wariatka, która w ogóle jej nie rozumie?



– Rob! – oburzyła się Patti, ale jej mąż tylko uśmiechnął się szeroko.

– Przecież wszystkie nastolatki tak myślą o swoich rodzicach

– Wcale nie. Jesteś uprzedzony.

Rob wzruszył ramionami.

– To pójdę na górę i zaproponuję jej przejażdżkę. Lucy?

Poczuła, że zaczyna się odprężyć.

– Świetny pomysł – powiedziała z uśmiechem. – Dzięki ci, Boże, za przyjaciół.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

Ścieżka wzdłuż strumienia nic się nie zmieniła od czasów, gdy Sebastian był chłopcem. Lubił ten szlak. Gdy odwiedzał Daisy, zawsze wybierał się nad wodospad. Babcia nigdy się do niego nie przyłączyła. Dla niej to miejsce symbolizowało tragedię, niebezpieczeństwo i utratę, a nie piękno i przygodę.

Przypomniał sobie, jak odwiedził ją kiedyś, gdy Daisy była już stara i nie dałaby rady dotrzeć do wodospadu.

– Czasami myślę, że powinnam była tam pójść zaraz po śmierci Joshui – powiedziała.

– Ale za długo czekałam. Sześćdziesiąt lat.

– Miałaś dobre życie, babciu – stwierdził wtedy Sebastian.

– To prawda.

Nigdy jednak nie wyszła powtórnie za męża.

Teraz Sebastian zrozumiał, co babcia chciała mu powiedzieć. Unikając wodospadu, tym samym pozwoliła, by jakaś jej część zatrzymała się w czasie, nie przyjmując do wiadomości śmierci Joshui Wheatona. Wtedy był za głupi, by to zrozumieć. Daisy pochowała męża i żyła dalej swoim życiem, ale gdzieś w głębi jej duszy pozostało miejsce, w którym jej ukochany nieustannie nurkował do strumienia, by ratować chłopca i psa. Wciąż był młodym mężczyzną, jak wtedy, gdy za niego wychodziła, i nawet po sześćdziesięciu latach nadal była jego żoną.

Ścieżka zwięzła się i prawie znikła na stromym zboczu wzgórza. Sebastian musiał się przytrzymywać pni drzew. Uważnie stawiał stopy na kamieniach i korzeniach. Po wczorajszej burzy woda w strumieniu była wezbrana. Znajdował się już bardzo blisko wodospadu.

Upewnił się, że Madison bezpiecznie wróciła do matki. Ruchy dziewczyny były niezwykle ożywione. Sebastian zastanawiał się dlaczego.

Wątpił, by w tak dobry nastrój wprawiło ją piękno vermonckich lasów. Może jakiś chłopak?

Znajomi? Było wiele rzeczy, które piętnastolatka mogła robić w lesie.

Powietrze, nawet w pobliżu wody, było bardziej suche niż poprzedniego dnia. Sebastian ominął wielki głaz. Był już tuż nad wodospadem.

Kolejny głaz zasłaniał mu widok, ale z dołu słychać było szum wody, która serią kaskad spływała po granitowym zboczu.

Wodospad był piękny i zdradziecki. Sebastian ostrożnie wspiął się na stromą skarpe i stanął na krawędzi. Tuż nad nim strumień wgrzyzał się w granitowy monolit, opadając malowniczo w dół do trzech kolejnych zagłębień w skale.

Pierwsze było głębokie i otoczone ostrą kamienną granią. Znajdowało się tuż pod nim. By się tam dostać, należało skoczyć ze znajdującej się wyżej skały. Było to niebezpieczne, ale przejrzysta, zimna woda miała zdumiewającą moc przyciągania.

Pod pierwszym zbiornikiem znajdował się drugi, mniejszy i płytszy, a potem trzeci, całkiem płytki i szeroko rozlany. Poziom wody w trzecim zbiorniku nigdy nie przekraczał metra, nie

było też tu zdrażliwych prądów, które mogłyby rzucić pływaka o skałę. Niżej strumień znów stawał się łagodny i dostojnie zmierzał w stronę farmy Wheatonów.

W stronę domu Lucy, poprawił się Sebastian w myślach.

Wyminął rozłożysty świerk, którego korzenie wystawały z ziemi na pół metra i zerknął w dół, próbując sobie wyobrazić własnego dziadka, który przed sześćdziesięciu laty znajdował się w tym samym miejscu. W czasie roztopów woda musiała być tu bardzo wysoka i niebezpieczna.

Czy Joshua Wheaton zdążył zauważyć jej piękno?

Czy w ogóle dostrzegał takie rzeczy?

W dzieciństwie Sebastian pragnął zostać takim bohaterem jak dziadek. Teraz zastanawiał się, czy Joshua nie skoczył do wodospadu ze zwykłej beczności, wyłącznie dlatego, że nie wiedział, co innego mógłby zrobić.

Usłyszał jakiś dźwięk.

Kamienie, piasek, ruch. Zareagował instynktownie, ale wiedział, że jest już za późno. Pozwolił myślom błędzić, a teraz nie miał już czasu na żaden manewr. Z góry leciała na niego lawina kamieni, piasku i ziemi. Stojąc na wąskiej półce, nie miał gdzie uskoczyć.

Wyciągnął rękę w stronę pnia drzewa, ale kamień wielkości piłki tenisowej trafił go pod kolano. Zdawało mu się, że z góry usłyszał westchnienie albo chrząknięcie. Potem następny kamień uderzył go w plecy i Sebastian stracił równowagę.

Poleciał do przodu. Przez krótki moment miał wrażenie, że zawisł w powietrzu i że jest własnym dziadkiem, który za chw-

łę spadnie w dół, ponosząc śmierć. Tylko że w tej śmierci nie byłoby nic bohaterskiego.

Wyszkolenie i doświadczenie szybko doszły do głosu, wymiatając z jego głowy wszelkie myśli. Przycisnął brodę do piersi, by ochronić głowę, i pozwolił, by pośladki i ramiona przyjęły na siebie impet upadku. Uderzył o skałę, odbił się, znów uderzył o skałę, jeszcze raz się odbił i wpadł do wody.

Była lodowato zimna. Od uderzenia całe jego ciało zapiekło. Sebastian przez moment pomyślał o Platonie, który takie rzeczy robił rutynowo.

Poszedł na dno, uderzył kolanami w skałę i obtarł sobie twarz o żwir, niemal instynktownie pamiętał jednak, żeby nie połykać wody. Odbił się od dna i wypłynął na powierzchnię.

Lawina wpadała właśnie do zbiornika. Przez skalną krawędź sypały się kamienie, grudki ziemi i sosnowe igły. Sebastian nie czekał, aż uderzy go następny kamień, tylko najszybciej, jak potrafił, przepłynął na drugą stronę i oparł się o skałę.

Wziął kilka oddechów i podciągnął się na rękach na skalną krawędź. Po twarzy spływała mu krew i kręciło mu się w głowie. Tuż pod sobą miał dziesięciometrowy uskok do następnego zbiornika.

Gdyby poziom wody był trochę wyższy, prąd przeniósłby go nad krawędzią i zrzucił w dół.

Poczuł, że robi mu się ciemno w oczach.

Dziadku, pomyślał, i zemdlął.

Wiedział, że był nieprzytomny zaledwie przez kilka sekund. Spróbował poruszyć ramionami i jego głowę przeszył piorunu-

jący ból. Z trudem podniósł się na rękach i kolanach, i rozejrzał dokoła.

Ktoś rzucał w niego kamieniami. To nie były dzieci. Nie był to również wypadek. Ktoś celowo zepchnął go do wodospadu, a to oznaczało, że nadal jest łatwym celem. Z góry doskonale było go widać. Jeden dobrze wymierzony kamień mógłby dokończyć dzieła.

Przypomniął sobie chrząknięcie, które usłyszał przed upadkiem. Był zdekoncentrowany, bo jego myśli błądziły w przeszłości. To kolejny dowód, że nie powinien był tu przyjeżdżać.

Trzeba było zostać w domu i przysłać Platona, Jima Chagera albo Happy Ford, żeby zajęli się problemami Lucy. Formalnie Sebastian nadal był szefem firmy, ale faktycznie to Plato zarządzał wszystkim przez ostatni rok.

Poszukał na skale uchwytu dla rąk, przeklinając własną dekoncentrację. Lucy, wspomnienia.

Toksyczna kombinacja.

Przesunął się w cień, przytrzymując się wystających korzeni sosny. W głowie dudniło mu z bólu. Wiedział, że ma tylko jedną szansę. Jeśli nie uda mu się podciągnąć do góry za pierwszym razem, to wyląduje w wodzie.

Ignorując ból i zawroty głowy, mocno pochwycił korzeń i podciągnął się do góry. Korzeń pękł, Sebastian zdążył jednak drugą ręką znaleźć inny, mocniejszy. Po chwili leżał już na suchej ziemi, w cieniu sosny. Ręce miał zakrwawione, po skroniach również spływała krew, plecy bardzo go bolały. Zaklął pod nosem.

Apotem usłyszał pod sobą głosy. Ktoś pływał na dole, w trzecim, płytkim zbiorniku. Dzieci?

Turyści? Lucy? Nie miał pojęcia.

Oparł twarz o suche igliwie. Ścieżka po tej stronie wodospadu była rzadko używana. Musiał zaryzykować. Jeśli ktoś go znajdzie i zadzwoni po pogotowie, to trudno. Wymyśli jakąś historyjkę, żeby wyjaśnić, dlaczego tu się znalazł.

– Zaraz wrócę – zawołał w pobliżu kobiecy głos. Lucy? Sebastian nie był pewny, czy to nie jest tylko jego wyobraźnia. – Jestem pewna, że coś słyszałam!

A więc to nie był omam. Usłyszała coś i w pojedynkę idzie sprawdzić, co to takiego, pomyślał

Sebastian. Nic dziwnego, że tak łatwo było strzelić w okno jej jadalni.

– To pewnie tylko wiewiórka – zawołał jakiś mężczyzna.

– Wiem, ale chcę zobaczyć.

Sebastian zadrżał z zimna. Zastanawiał się, czy to właśnie chłód zabił jego dziadka. W końcu Joshua skoczył do wodospadu w marcu, a nie w środku lata.

Na jego ramieniu usiadł komar. Sebastian nawet nie miał siły, by go strzepnąć. Patrzył na niego bezradnie przez czerwoną mgłę. Słyszał trzaski gałęzi. Lucy była coraz bliżej. Wiedział, że ścieżka doprowadzi ją do skalnej półki o ponad metr nad nim. Gdyby zachował milczenie, to możliwe, że by go nie zauważyła i wróciła do przyjaciół, przekonana, że mieli rację, mówiąc o wiewiórce.

Ale wówczas jak miałby dotrzeć do motelu?

Jego samochód stał zaparkowany przy drodze.

Wiedział, że w tym stanie nie zdoła tam dojść.

Mdlały co kilkanaście kroków, narażając się na kolejne uderzenia kamieniami.

Lucy pojawiła się na ścieżce tuż nad jego głową. Żeby go zobaczyć, musiałaby tylko pochylić się i spojrzeć w dół.

Powinien był posłuchać głosu instynktu i zostać w Wyomin-gu. Jeździć konno, spać w hamaku, grać w samotnika i czytać poezję. Westchnął ciężko i odezwał się:

– Cześć, Lucy.

Podskoczyła z wrażenia, choć nie tak wysoko, jak oczekiwiał. Może już zaczynała się przyzwyczajać do jego obecności.

– Sebastian? Co ty tutaj... O Jezu!

Bez wahania zjechała w dół na pupie i przykucnęła przy nim. Na szczęście ubrana była w szorty i koszulkę. Woda w najniższym zbiorniku sięgała jej tylko do kolan, więc nie zawracała sobie głowy kostiumem kąpielowym.

Sebastian spróbował się uśmiechnąć.

– Przydałoby mi się jakieś suche ubranie.

– Raczej karetka pogotowia. Co się stało?

– Zbocze się osunęło i spadłem.

Lucy przymrużyła oczy. Zauważył na jej twarzy wątpliwości i lęk. Dotknęła palcem jego czoła nad prawym okiem.

– Potrzebny jest lekarz. To może być wstrząs mózgu.

– Nie.

– Przydałoby się założyć szwy.

– Nie przeszkadzają mi blizny i nie zamierzam wykrwawić się na śmierć.

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu.



– Zbocze się osunęło, tak?

– Mhm.

– To nie był wypadek – stwierdziła.

– Teoretycznie mógł być.

Pokiwała głową.

– Powiedz mi, tylko szczerze, czy mam wzywać karetkę?

Potrząsnął głową. Okazało się, że był to błąd, bo twarz Lucy zakołysała się przed jego oczami i zrobiło mu się niedobrze.

Przymknął oczy i po chwili mdłości minęły.

– Nic mi nie będzie.

– Powinam wezwać policję.

– Nikogo nie znajduję, tym bardziej, że sam nikogo nie zauważyłem – powiedział i była to prawda.

– To brzmi znajomo – powiedziała cicho.

Sebastian otworzył oczy.

– Potrzebuję tylko trochę wody i kilku małych plasterków.

– Lucy! – zawołał ktoś z dołu. – Znalazłaś coś?

Podniosła się i odkrzyknęła:

– Zaraz wracam! – a potem znów przykucnęła przy Sebastianie. – To Rob – wyjaśniła.

– Przyjaciel. Zna się na pierwszej pomocy lepiej ode mnie.

Mogłabym...

– Nie!

– Boże, jaki ty jesteś uparty – westchnęła.

– No dobrze. Wyślę Roba i Patti z dziećmi, a sama wymyślę jakiś powód, żeby tu zostać.

Doprowadzę cię do domu i opatrzę. Chyba że nie dasz rady dojść. Jeśli po drodze stracisz przytomność, zadzwonię po pogotowie, żeby cię zabrali na noszach.

Sebastian skrzywił się. Miał bardzo ograniczone Możliwości wyboru. Nie było dobrego wyjścia.

– Dam sobie radę. Nie potrzebuję twojej pomocy.

– Ha – mruknęła i zsunęła się ze wzgórza. Sebastian był ciężki i bezwładny jak kłoda, a do tego mokry i zakrwawiony. W trakcie drogi do domu dwukrotnie tracił siły i Lucy musiała go podtrzymywać, by nie upadł. Szedł kilka metrów, opierał się o drzewo albo chwycił rękami liście paproci i znów pokonywał kilka metrów.

Miał szczęście, że przeżył upadek.

Szli dłuższą, lecz łatwiejszą trasą. Do domu wsunęli się przez tylne drzwi. Madison, J.T. i Kileyowie, którzy dotarli tu znacznie wcześniej, grali na podwórzu w siatkówkę. Lucy wiedziała, że będzie musiała jakoś wyjaśnić im obecność Sebastiana, ale zamierzała to zrobić później.

Wkuchni Sebastian usiadł na podłodze, opierając się plecami o szafkę. Oczy miał przymknięte i był bardzo blady. Nad jego prawym okiem formował się wielki siniak. Wyglądał okropnie. Lucy wciąż się zastanawiała, czy nie zadzwonić po pogotowie.

– Kręci ci się w głowie? – zapytała.

Odrobinę uchylił powieki.

– Muszę złapać oddech. Nie przypominasz Florence Nightingale.

Wsunęła ramię pod jego rękę.

– Oprzyj się na mnie.

- Zmiażdżę cię – zaprotestował.
- Dam radę. Chodź, bo za chwilę zemdlejesz.
- Dokąd mam iść?
- Do mojej sypialni.

Udało mu się zdobyć na ironiczny uśmiech.

Lucy zarzuciła sobie jego ramię na plecy i zauważyła, że skrzywił się boleśnie. Był w opłakanym stanie. Z trudem zaciągnęła go przez korytarz do sypialni. Tuż za drzwiami Sebastian opadł na kolana. Zastanawiała się, czy go tak nie zostawić i po prostu nie wyjść, zamykając za sobą drzwi, ale pociągnęła go za rękę.

- Chodź. To już tutaj.
- Tu jest mi dobrze – powiedział, układając się na brzuchu. – Możesz już iść.

Nie poruszał się. Lucy, zgrzana i wyczerpana, uklękła obok niego. Nie wiedziała, czy usnął, czy stracił przytomność.

- Sebastian?
- Jeszcze żyję.

Podeszła do okna. Wychodziło na zachód, na garaż, obok którego Kileyowie rozgrywali z jej dziećmi mecz siatkówki.

- Hej – zawołała do nich. – Zaraz do was przyjdę!
- Daj sobie spokój – poradziła jej Madison. – Komary zjadają nas żywcem!

– Wszystko w porządku, Lucy? – zaniepokoiła się Patti. Gdy Lucy, bez żadnych dodatkowych wyjaśnień, powiedziała im nad strumieniem, że wróci do domu sama, Rob spojrzął na nią podejrzliwie.

– Wszystko w porządku, tylko wpadłam do wody i jestem mokra. Przebiorę się i niedługo wyjdę do was.

Sebastian nadal leżał rozciągnięty na dywaniku.

– Jesteś przytomny? – zapytała.

– Niestety, tak.

– Zaraz wrócę. Nie próbuj sam się podnosić.

– Nie martw się.

Przeskoczyła nad nim i wyjęła z szafy czysty T-shirt. Zamierzała się przebrać w łazience po przeciwnej stronie korytarza, ale doszła do wniosku, że to nie ma sensu. Sebastian miał głowę odwróconą w drugą stronę, a poza tym i tak nie był w stanie się poruszyć. Ściągnęła brudną, poplamioną krwią koszulkę, włożyła nową i od razu poczuła się lepiej.

Gdy wyszła na zewnątrz, Rob i Patti pakowali resztki kolacji do chłodziarki. Rob, który dobrze ją znał, zauważył, że Lucy oddycha szybciej niż zwykle.

– Nie jesteś głodna? Wyglądasz na zmęczoną.

Lucy nienawidziła kłamać. Zaufanie, jakie budowała w swojej rodzinie i firmie, oparte było na prostolinijności i szczerości. Nie wszystkim musiało się podobać to, co mówiła, ale nigdy niczego nie owijała w bawełnę. Sytuacja jednak była wyjątkowa.

– Chyba rzeczywiście jestem trochę zmęczona – przyznała. – Dzięki za kolację. Następnym razem moja kolej.

– Lucy... – zawahał się Rob, ale Patti dotknęła jego ramienia.

– Jedźmy. Nie męczmy już Lucy. Dbaj o siebie – uśmiechnęła się. – I zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała.

Wyraźnie coś podejrzewali. Patti zapewne jakiś romans, natomiast Rob, który wiedział o kuli, obawiał się jakiegoś niebezpieczeństwa.

Zabrali syna i pojechali. Lucy pomachała im na pożegnanie.

– Szkoda, że Georgie nie został na noc – powiedział J.T. z werandy.

Lucy weszła po schodkach. Jej dzieci siedziały na poręczach wiklinowych foteli. Po wyczerpującym dniu były zmęczone. To dobrze, pomyślała.

Szybko i twardo usną.

– Później wyjaśnię wam to dokładniej – odezwała się – ale na razie muszę wam powiedzieć tyle, że Sebastian Redwing jest tutaj.

– Gdzie? – ożywił się natychmiast J.T.

– To był ten hałas, który usłyszałam przy wodospadzie. Upadł i poranił się. Pomogłam mu dojść do domu. Nie chce, żeby wszyscy się dowiedzieli o jego obecności. Dlatego nic o tym nie wspominałam Robowi i Patti. – To był błąd, pomyślała. J.T. i tak się wygada.

– Dlaczego nie chce, żeby ludzie wiedzieli, że tu jest? – zdziwiła się Madison.

– Bo on stąd pochodzi.

– Aha. Prawdę mówiąc, rozumiem go.

– Potrzebuje kilku dni, żeby dojść do siebie – ciągnęła Lucy.

– Pomóżcie mi przygotować gościnny pokój na górze. Przez jakiś czas będę tam spała. Teraz muszę zająrzeć do Sebastiana. Dacie sobie radę?

– Jasne, mamó. – Madison poderwała się z miejsca z zaróżowioną twarzą.

Lucy uśmiechnęła się ironicznie. Pojawienie się tajemniczego przyjaciela ojca, a zarazem agenta do specjalnych zadań, było wielkim wydarzeniem w beznadziejnie nudnym życiu jej córki.

– Czy możemy jeszcze coś zrobić? – dopytywała się dziewczyna.

– Na razie nic. Dziękuję.

Gdy Lucy weszła do swojej sypialni, Sebastian był już na nogach. Zdjął koszulę. Całe ciało miał podrapane i posiniaczone, ale poza tym był w doskonałej formie fizycznej. Widocznie jednak nie cały czas spędzał w hamaku.

– Możesz tu spać – powiedziała. – Wrzucę twoje ubranie do pralki. Jutro pojedę z dziećmi do motelu i przywiozę ci wszystko, czego możesz potrzebować.

– Sam mogę tam pojechać.

– Nie kłóć się ze mną. Nie jestem w odpowiednim nastroju.

– Dobrze, proszę pani – uśmiechnął się Sebastian blade.

– Usiądź, bo upadniesz – powiedziała Lucy i wyjęła z szafy pudełko z lekarstwami. – Czy mam ci pomóc zdjąć spodnie?

– Dziękuję, poradzę sobie sam.

W milczeniu pochyliła się nad pudełkiem.

Prowadząc firmę turystyczną, dobrze zapoznała się z zasadami pierwszej pomocy. Rob był w tym jeszcze lepszy, bo posiadał kwalifikacje ratownika medycznego, ale odesłała go do domu i musiała poradzić sobie sama.

Znalazła maść z antybiotykiem i podręcznik ratownika. Sebastian leżał już w łóżku, przykryty patchworkową narzutą swej babci, a jego dzinsy wisiały na poręczy.

– Niech tutaj wyschną. – Wskazał je ruchem głowy. – Nie oddam ci ich.

– Mogę je szybko uprać.

– Nie, nie ruszaj ich, dopóki nie będę miał drugiej pary pod ręką. Przecież nikt w tym domu nie nosi spodni mojego rozmiaru.

– Jak chcesz. – Wzruszyła ramionami.

– Co to za książka? – zaciekawił się.

– Podręcznik medycyny. Chcę się upewnić, czy dobrze cię opatrzyłam.

Sebastian spojrział na nią pochmurnie.

– Lucy, przecież ty mnie w ogóle nie opatrzyłaś.

Zignorowała go i znalazła stronę, gdzie opisany był upadek na kamienie.

– Najpierw trzeba sprawdzić, czy krwawienie ustało i czy żadna kość nie jest złamana.

– Zrobione. Co dalej?

– Głowa. Możesz mieć wstrząs mózgu.

– Jeśli nawet, to łagodny i nic z tym nie można zrobić. To już wszystko. Możesz stąd iść.

Lucy przeszła go groźnym wzrokiem.

– Szkoda, że nie zostawiłam cię komarom na pożarcie.

– Myślisz, że to byłoby gorsze? Wątpię.

– Czy nie męczy cię takie gładzenie? Może się zamkniesz i pozwolisz mi zrobić, co należy. Skończyłam kurs pierwszej po-

mocy, ale jak dotąd leczyłam tylko zadrapania i ukąszenia owadów. Rob ma więcej doświadczenia. – Przysiadła na brzegu łóżka. – Czy jesteś pewien, że nie chcesz, żeby cię obejrzał?

– Lucy, tu liczy się czas.

Położyła podręcznik obok łóżka.

– Na pewno nie masz połamanych żeber? Nie masz przebitej opłucnej?

– Żebra są w porządku. Płuca też.

Denerwował ją, ale widziała, że mówienie sprawia mu duży wysiłek. Obejrzała ranę nad okiem.

– Przydałoby się kilka szwów – mruknęła, on jednak milczał, więc uznała temat za zakończony. – Będę musiała oczyścić te rany.

– Wymyły się w strumieniu.

– Tamta woda, choć czysta, nie ma właściwości odkażających.

Spojrzenie Sebastiana znów pociemniało. Lucy wyczuwała, że jej pacjent jest u kresu cierpliwości.

Było oczywiste, że nie lubił być zdany na czyjąś łaskę.

– Muszę znaleźć jeszcze kilka rzeczy – mruknęła i pochyliła się nad pudełkiem. Gdy po chwili podniosła głowę, Sebastian już spał albo

stracił przytomność.

Usiadła na brzegu łóżka i pochyliła się nad nim. Oddychał normalnie, widocznie więc usnął. Tym lepiej, pomyślała. Szybko zamoczyła



sterylną gazę w środku dezynfekującym, oczyściła najgorsze zadrapania i posmarowała je maścią z antybiotykiem. Głowę trzeba było obandażować. Starła się robić to jak najdelikatniej.

Gdy skończyła, Sebastian otworzył jedno oko.

– Sostro Lucy.

– Nie spałeś? – zdziwiła się.

– Wydawało mi się, że będzie lepiej, jeśli będę udawał, że śpię. Ty mniej się denerwowałaś, a ja nie musiałem czekać pół nocy na opatrunek.

– Wcale nie jestem zdenerwowana, Redwing – odrzekła.

– Jasne – uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Widzę, że ten upadek nie zaszkodził ci aż tak bardzo – mruknęła, zsuwając się z łóżka. – Chcesz środek przeciwbólowy, czy też wolisz, jak na prawdziwego mężczyznę przystało, zwiąć się w mękach przez całą noc?

– Wezmę tabletki, jeśli będzie na nich wypisana nazwa.

Lucy rozzłościła się.

– Do diabła, czyżbyś sądził, że to ja zepchnęłam cię do wodospadu?!

Nie odpowiedział. Złożyła to na karb jego kiepskiego stanu i chwilowej niepoczytalności, bo była pewna, że nawet człowiek, którego profesja zmuszała do cynizmu i paranoidealnej podejrzliwości, nie mógłby na serio przypuszczać, że ona mogłaby kogokolwiek zranić.

Dopiero teraz, gdy największy kryzys minął, dotarła do niej treść tego, co się stało.

– Czy naprawdę myślisz, że to wcale nie był wypadek?

– Nie był.

– Ale nie masz stuprocentowej pewności? To mogły być dzieci, albo zbocze samo się osunęło...

– Może.

Widziała jednak, że w to nie wierzy. Oczywiście.

Wyszkolono go w taki sposób, że dostrzegał tylko najciemniejszą stronę życia.

– Czy ten, kto to zrobił, twoim zdaniem chciał cię zabić?

– To nie miało znaczenia.

Sebastian przymknął oczy. Albo zapadał w drzemkę, albo był zbyt zmęczony, by mówić dalej. Lucy stała u wezglowia łóżka. Siniaki nabierały barw, ale życiu Sebastiana chyba nie zagrażało żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Gdyby chciała teraz zadzwonić na policję, nie mógłby jej powstrzymać.

Włączyła wentylator pod sufitem i wyszła.

Jeszcze przez chwilę nasłuchiwała przy drzwiach, ale Sebastian nie poruszał się. Gdyby próbował wstać z łóżka i znowu upadł, zostawiłaby go na podłodze. Nie miała już więcej siły.

Poszła na górę. Madison i J.T. czekali na nią w gościnnym pokoju. Był skromnie umeblowany, z oknem wychodzącym na podwórze przed domem.

– Jak się czuje Sebastian? – zapytała Madison.

– Dojdzie do siebie. To był paskudny upadek – odrzekła Lucy. Wysunęła żółte krzesło spod starej maszyny do szycia Daisy i usiadła. – Madison, gdy byłaś dzisiaj w lesie... czy nie spotkałaś nikogo?

– Nie.

Lucy znieruchomiała. Instynkt rodzicielski mówił jej, że dziewczyna coś ukrywa.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Nawet żadnych letników?

– Widziałam okulistę. Jechał samochodem.

– Okulista z Bostonu był właścicielem jednego z domów letnich położonych powyżej ich farmy.

– Ale myślałam, że pytasz, czy nie widziałam nikogo na spacerze.

– Właśnie o to mi chodzi.

J.T. zeskoczył z łóżka.

– Ja i Georgie widzieliśmy dzisiaj furgonetkę na drodze...

Lucy nie odrywała wzroku od córki.

– Gdybyś sobie jednak coś przypomniała, to mi powiedz.

Madison bez słowa skinęła głową. Żadnego zniecierpliwienia, żadnej ironii. To było podejrzane.

Albo Lucy wyglądała na tak wyczerpaną, że córka postanowiła dać jej spokój, albo też rzeczywiście miała coś do ukrycia.

– Posłuchajcie – odezwała się Lucy. – Mam teraz dużo rzeczy na głowie i potrzebuję waszej pomocy. Pod Sebastianem osunęła się ziemia nad wodospadem. Nie chcę, żebyście chodzili do lasu sami. Zakaz obowiązuje do odwołania.

– Mamo, ja mam piętnaście lat...

– Bez dyskusji, Madison.

Lucy zastanawiała się, czy powiedzieć dzieciom o niepokojących wydarzeniach, wiedziała jednak, że bardzo by się wystra-

szyły. To była jej sprawa, nie ich. Trzeba po prostu zapewnić im bezpieczeństwo, a nie paraliżować strachem.

J.T. przytulił się do niej i zapytał:

– Czy ty lubisz Sebastiana?

– Sama nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tym. Jest ranny, a ja próbuję mu pomóc. – Poglądziła chłopca po plecach. Wciąż jeszcze był

spocony po grze w siatkówkę.

– Czy nadal udaje Clint Eastwooda? – zapytała Madison.

– Nie sędzę, żeby udawał kogokolwiek. W każdym razie nie ma już brudnego kapelusza i kowbojskich butów.

– Czy mogę go zobaczyć? – zapytał J.T., odrywając się od niej.

Lucy podniosła się.

– Rano. A teraz wszyscy pójdziemy pod prysznic. Ja pierwsza. Poczytaj sobie jakąś dobrą książkę, dobrze?

Pocałowała syna i córkę, a potem, pomimo zmęczenia, zeszła na dół i jeszcze raz zajrzała do Sebastiana.

– Śpisz? – zapytała szeptem, stając na progu.

– Nie.

– Potrzebujesz czegoś?

Poczuła na sobie jego wzrok, ale nie mogła dostrzec jego skrytej w półmroku twarzy.

– Miałaś rację. Tu się dzieje coś niedobrego. Powinnaś zadzwonić do Platona.

– A co on może zrobić, czego ty byś nie potrafił? Mówiłam ci, że nie chcę wzywać ciężkiej kawalerii, dopóki nie będę musiała.

– Plato jeszcze nie zardzewiał, a ja tak. On nadal nosi broń. A ja nie – dodał cicho.

– Sebastianie, jeśli okaże się, że trzeba do kogoś strzelać, to bez wahania zadzwonię po policję.

– Lucy, ja już nie stosuję przemocy.

– Co to znaczy? – zdumiała się.

– W zeszłym roku musiałem zastrzelić człowieka, którego kiedyś uważałem za przyjaciela. Chciałem go zabić i myślałem, że to zrobiłem.

– Jezu!

– Przekazałem firmę Platonowi, a sam się wycofałem. Teraz przerwałem urlop ze względu na ciebie, ale nie będę znów zabił.

Lucy nie mogła się otrząsnąć z wrażenia.

– Boże drogi, Madison miała rację. Naprawdę jesteś podobny do Clint Eastwooda w „Bez przebaczenia”.

Zauważyła, że lekko się uśmiechnął.

– Nigdy nie byłem alkoholikiem.

– Teraz odpocznij. Porozmawiamy rano. Nie chcę, żebyś kogokolwiek zabijał. Ale nie będę miała nic przeciwko temu, jeśli przetrzepiesz skórę temu draniowi – dodała już pogodniej.

Jack Swift wystukał na klawiaturze dane z kartki, którą dostał od Mowery’ego, i czekał, aż plik się załaduje. Było już późno. W jego gabinecie na pierwszym piętrze, oświetlonym tylko stojącą na biurku mosiężną lampką, panował spokój. Sidney miała ten wieczór zajęty. Jack był sam.

Komputer był stary i pracował wolno, Jack jednak należał do pokolenia, które nie lubiło zmieniać niczego, co jeszcze działało. W końcu

na ekranie ukazały się obrazy. Jack wstrzymał oddech. Spodziewał się nieprzyzwoitych zdjęć przedstawiających jego syna z jakąś kobietą.

Lucy.

Znieruchomiał i poczuł bolesny ucisk w klatce piersiowej.

– Boże drogi – wyszeptał.

Lucy przed stodołą na farmie w Vermoncie, ubrana w szorty i koszulkę. Obok w ogrodzie kwitły kwiaty. Zdjęcie zrobione było bardzo niedawno.

Pojawiły się kolejne fotografie. Madison. J.T.

Jego wnuki z matką. Zdjęcia mogły być zrobione nawet w zeszłym tygodniu.

– Sukinsyn – mruknął Jack, zaciskając pięści.

– Co za sukinsyn!

Na dole ekranu, wielkimi, czarnymi literami wypisane były słowa: „Uroczą rodziną senatora Stanów Zjednoczonych, Jacka Swifta”.

W ten sposób Mowery chciał mu pokazać, że ma dostęp do jego najbliższych.

Jack wyłączył komputer i odczekał chwilę, aż ból w klatce piersiowej się zmniejszył. Gdyby dostał ataku serca, czy to by powstrzymało

Mowery’ego? A może w dalszym ciągu prześladowałby Lucy i dzieci, wyłącznie z zemsty i dla satysfakcji?

Nie mógł zadzwonić na policję. Teraz już było za późno na działanie oficjalnymi kanałami.

Trzeba to było zrobić od razu.

Sięgnął po notes z telefonami, przerzucił kartki i znalazł numer, pod który miał prawo zadzwonić o każdej porze dnia i nocy.

– Redwing Associates.

– Tak – powiedział Jack oficjalnym tonem. – Mówi Jack Swift. Chciałbym rozmawiać z Sebastianem Redwingiem.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Barbara drżała z lęku i obrzydzenia.

Sebastian Redwing jej nie zauważył, tego była pewna, ale gdyby nie stracił równowagi i nie wpadł do wodospadu, na pewno by ją wyśledził. Ta zabawa stawała się zbyt niebezpieczna.

Bogu dzięki, instynkt ostrzegł ją, że ktoś się zbliża, dlatego zeszła ze ścieżki i ukryła się w zaroślach. Gdyby nie to, Sebastian wpadłby na nią i musiałaby się nieźle nabiedzić, żeby wyjaśnić swoją obecność w tym miejscu.

Teraz, przechadzając się po werandzie domu wynajętego na nazwisko senatora Swifta, nie mogła się nadziwić, że podjęła takie ryzyko.

Zazwyczaj kalkulowała wszystko chłodnym umysłem i nie działała pod wpływem impulsu.

Gdyby jej znajomi w Waszyngtonie dowiedzieli się o jej obsesji i o tych ryzykownych eskapadach, byłiby w szoku i niczego by nie zrozumieli.

Zresztą ona sama nie pojmowała tego, co się z nią działo. Wyobrażała sobie, że tak właśnie muszą się czuć bulimiczki, które opychają się, czym popadnie, a potem potajemnie wymiotują.



Satysfakcja, odraza i niemożność kontrolowania siebie musiały być w ich przypadku takie same.

Ale ona była przecież zupełnie zdrowa. Mogła przestać w każdej chwili, gdyby tylko chciała.

Oparła się o poręcz werandy, słuchając szumu strumienia. Od strony lasu wiał orzeźwiający wietrzyk. To było piękne miejsce. Dobrze wybrała. Jack będzie mógł tu odpocząć.

A co by było, gdyby zabiła Sebastiana Redwinga? Wiedziała, że ocalał, bo ukryta wśród paproci, słyszała głosy Lucy i jej przyjaciół, a potem widziała, jak Lucy taszczyła Redwinga do domu. Gdy Barbara zobaczyła go w lesie, natychmiast się domyśliła, że to Lucy musiała go tu ściągnąć. A więc aż tak przeraziło ją tych kilka drobnych zdarzeń, że pojechała do Wyomingu, żeby się wypłakać w mankiet profesjonalisty.

Barbara nie znosiła mazgajów. A Redwing był przyjacielem Colina, nie Lucy, i ta nie miała prawa prosić go o pomoc. Teraz zaś Barbara musiała się zastanawiać, co będzie, jeśli Darren dowie się o jej ostatnim wyczynie.

A jeśli Madison opowie matce i Sebastianowi, że ją spotkała? Ale to nie miało znaczenia. Nikt nie byłby w stanie skojarzyć jej obecności w Vermoncie z wypadkiem Redwinga. Nikt poza nią nie wiedział, na co ją naprawdę stać. Dla wszystkich była po prostu kompetentną profesjonalistką, kobietą, która przez całe zawodowe życie pełniła funkcję osobistej sekretarki senatora Stanów Zjednoczonych.

Westchnęła i poczuła się lepiej. Może powinna powiedzieć Darrenowi, że Redwing jest w Vermoncie, ale nie zamierzała tego robić.

Sebastian obudził się z dudniącą głową. Zza okna dochodziły odgłosy szaleńczej zabawy w „Gwiezdne wojny”.

– Nie znoszę dzieci – jęknął rozpaczliwie, nie otwierając oczu.

J.T. i jego przyjaciel czymś rzucali – przypuszczał, że zielonymi pomidorami – imitując przy tym odgłosy wybuchów bomb. Sebastian w dzieciństwie bawił się podobnie i też używał do tego celu zielonych pomidorów swojej babki.

– Co wy robicie?! – zawołała Lucy. – Przecież to moje pomidory!

Nastąpiły pospieszne wyjaśnienia. Wybrali tylko nadgniłe i te, które spadły z krzaków. Dobrze było też oberwać słabsze, żeby pozostałe lepiej dojrzewały.

Lucy nie dała się zwiść.

– Trzymajcie się z daleka od pomidorów, zrozumiano? Może nazbieracie jagód? Zrobiłabym chłodnik.

– Co to jest chłodnik? – zapytał J.T.

Lucy zagroziła, że zapędzi ich do sortowania poczty w stodołę, a wtedy chłopcy szybko znaleźli jakieś puszki i pobiegli do lasu. Nastąpiła błogosławiona cisza.

Sebastian ostrożnie stoczył się z łóżka. Przeżył koszmarną noc, wypełnioną bólem i niechcianymi wspomnieniami. Gdy miał czternaście lat, wstrząśnięty nagłą śmiercią rodziców, obiecał sobie, że nigdy stąd nie wyjedzie.

Zachwiał się i musiał się przytrzymać oparcia łóżka.

– Mamo, Sebastian umiera!

Twarze chłopców pojawiły się nieoczekiwanie za szybą okna. Te małe diabły śledziły go.

Postukał w szybę, jakby chciał odpędzić komara, i chłopcy natychmiast znikli.

Do sypialni wpadła Lucy. No cóż, to był jej błąd, bowiem Sebastian stał przy łóżku w samych spodenkach.

– Och– wyjąkała, zatrzymując się w progu – myślałam... J.T. mówił, że...

Uśmiechnął się z satysfakcją.

– Ciesz się, że mam na sobie chociaż tyle.

Czy te dzieciaki nigdy nie słyszały o czymś takim, jak dobre manieri?

– Owszem, słyszały, tylko nie zawsze o nich pamiętają – odpowiedziała Lucy. W ręku trzymała przenośny telefon. – Zapomniałam zaciągnąć rolety.

– Sam powinienem o tym pamiętać.

– Jak się czujesz?

– Dobrze by mi zrobił dzbanek kawy i parę tabletek aspiryny.

Skinęła głową i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Sebastian opadł na łóżko. Nie nadawał się jeszcze do ścigania bandytów. Wszystko go bolało.

Sięgnął po spodnie i zauważył, że były uprane. Obok leżała starannie złożona koszula.

A więc Lucy zakradła się do jego pokoju przynajmniej dwukrotnie – raz, by zabrać jego ubranie, i drugi, by je odnieść po upraniu. A on nic o tym nie wiedział. Nie poprawiło mu to nastroju.

Ubrał się i poszedł do łazienki. Była świeżo pomalowana i pełna kolorowych ręczników, ale poza tym nic się tu nie zmieniło od czasów Daisy. Jedno spojrzenie w lustro wystarczyło, by zrozumiał, dlaczego J.T. i jego kolega uznali, że umiera i dlatego uciekli tak szybko, gdy się do nich wykrzywił. Zasnęta krew, zadrapania, fioletowo-żółte siniaki. Powinien się ogolić, ale w łazience była tylko różowa damska maszynka, więc zrezygnował i poszedł do kuchni. Lucy siedziała przy stole nad laptopem.

– Kawa gotowa – powiedziała, nie podnosząc głowy.

Sebastian powoli podszedł do szafki.

– Dziękuję. W środku nocy wykradłaś mi koszulę i spodnie.

– Szczerze mówiąc, to było o dziewiątej. Spałeś jak zabity.

– A gdyby bandyci napadli na twój dom?

– To zadzwoniłabym na policję.

Kubki były w tej samej szafce co kiedyś.

Wyciągnął jeden i nalał sobie kawy.

– Nie lubię biegać za bandziorami w bieliźnie. Wolę mieć przy sobie swoje spodnie. To jedna z moich zasad. – Oparł się o szafkę i zatrzymał wzrok na jej twarzy. – Lucy, czyżbyś się ze mnie śmiała?

– Ja? Skąd! Ale skoro wyrzekłeś się przemocy, to i tak nie pobiegłbyś łapać przestępców.

Kawa była gorąca i mocna. Sebastian powoli zaczynał się czuć jak człowiek. W każdym razie na tyle, by zauważyć nagie ramiona i nogi Lucy.

Była silna i w dobrej kondycji. Nic dziwnego, że udało jej się wyciągnąć go z wodospadu.

– Najlepsze, co można zrobić w niebezpiecznej sytuacji – powiedział powoli – to wydostać się z niej. Pistolet może dawać fałszywe poczucie bezpieczeństwa. A to, że wyrzekłem się przemocy, nie znaczy jeszcze, że nie mogę łapać bandytów.

Lucy podniosła wreszcie głowę.

– Czy wyrzekłeś się wszelkiej przemocy, czy tylko broni palnej?

– Nie noszę pistoletu. W ogóle nie mam żadnej broni. A gdy jeszcze go miałem, to strzelałem tylko wtedy, gdy nie było innego wyjścia. Jeśli już strzelasz, to nie po to, żeby kogoś zranić, tylko żeby zabić. – A gdy Lucy skrzywiła się, dodał: – Tak. Gdy jest się uzbrojonym po zęby, zbyt łatwo można uznać, że strzelanie jest jedynym wyjściem.

– A czy mógłbyś teraz kogoś uderzyć?

Sebastian uśmiechnął się i natychmiast poczuł ból twarzy.

– To znaczy, skopać tyłek?

Zarumieniła się odrobinę, nie wiedział, czy z irytacji, czy z zażenowania. Prawdopodobnie z irytacji.

– A co byś zrobił, gdybyś wczoraj złapał tego kogoś, kto zepchnął cię do wodospadu?

– Nie zawracam sobie głowy gdybaniem – powiedział, siadając naprzeciwko niej. – Mam już dość zabijania. Tylko to się liczy.

– Rozumiem. – Skinęła głową.

– Nie rozumiesz, ale to dobrze. Lucy, powiesz mi, co mogę sobie zrobić do jedzenia?

– Nie tylko powiem, ale nawet przygotuję ci śniadanie.

– Wyciągnęłaś mnie z tej dziury i uprałaś spodnie. To zupełnie wystarczy.

Wstała i otworzyła lodówkę.

– Nie chcę, żebyś mi tu zemdłał pośrodku kuchni. Może być omlet z serem?

– Super! Dziękuję.

Po chwili w kuchni rozniósł się zapach smażonych jajek, masła, vermonckiego sera i grzanek.

Sebastian myślał o niezliczonych słonecznych porankach, spędzonych w tej kuchni. Te wspomnienia prześladowały go przez cały ostatni rok w Wyomingu, gdy grał w karty, jeździł konno, spacerował z psami, huśtał się w hamaku i nie robił właściwie nic więcej. Wspomnienia, obrazy, zapachy, nadzieje i marzenia zamkniętego w sobie chłopca, jakim był kiedyś.

Dolał sobie kawy i sięgnął po fiolkę ze środkiem przeciwbólowym. Lucy zsunęła na talerz przyrumieniony omlet.

– Dlaczego nie przyjechałeś na pogrzeb?

– zapytała cicho.

W pierwszej chwili myślał, że chodzi jej o pogrzeb Daisy, ale zaraz zrozumiał, że Lucy mówiła o Colinie.

– Byłem wtedy w Bogocie. Zajmowałem się porwaniem.

– Nie zadzwoniłeś, nie napisałeś, nawet nie przysłałeś kwiatów...

– A czy poczułabyś się dzięki temu lepiej? Nie patrząc na niego, smarowała grzanek masłem.

– Nie. Ale nie o to chodzi.

Wiedział, że nie o to chodzi.

Lucy postawiła przed nim talerz i wyszła z kuchni, zostawiając laptop na stole. Sebastian jednym palcem przysunął go bliżej i jedząc, przeglądał zawartość dysku. Biuro podróży Lucy działało bardzo dynamicznie. Oferta obejmowała aktywne uprawianie sportu, wyprawy edukacyjne i czysto wypoczynkowe. Sebastian otworzył projekt nowego folderu. Jesienne sploty czółnami od motelu do motelu, od trzech do dziesięciu dni. Pływanie kajakami wzdłuż morskiego brzegu w Maine. Tropienie śladów historii i pomników natury w Nowej Funlandii, i tak dalej. Opis każdej trasy pełen był atrakcyjnych szczegółów i Sebastian uświadomił sobie, że sam bardzo rzadko podróżował gdzieś dla przyjemności. Ściganie bandytów w Kolumbii nie było tym samym, co podziwianie fascynującej kultury i krajobrazów tego kraju.

Madison weszła do kuchni i usiadła naprzeciwko niego.

– Szpiegujesz moją mamę?

Żadnego „dzień dobry” ani uprzejmego pytania o stan jego zdrowia. Sebastian spojrział na nią nad ekranem.

– Sprawdzam swoją pocztę.

– Przecież modem nie jest podłączony.

– No dobrze. Szpieguję twoją mamę.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Po co?

Co za nieznośny dzieciak.

– Masz piętnaście lat. Dlaczego nie pracujesz podczas wakacji?

– Pracuję. Pomagam mamie.

– To nie to samo.

Skrzywiła się. Sebastian był pewien, że gdyby nie był tak po-  
siniaczony, Madison powiedziała mu, co o nim myśli. Ta ma-  
ła miała charakter.

Zamknął plik z finansami Lucy. Łatwiej było wytłumaczyć  
się z przeglądania folderów reklamowych.

Pomyślał, że będzie musiał porozmawiać z Lucy o zabezpie-  
czeniu niektórych plików hasłem.

– Czy mogłabyś mnie zawieźć do motelu? – spytał. – Skoro  
tutaj mam lizać swoje rany, muszę zabrać stamtąd kilka rzeczy.

– Ja?!

– Tak, ty. Przecież prowadzisz?

– Mam pozwolenie na jazdę pod nadzorem. Nie mogę jechać  
sama, bez nikogo dorosłego...

– Jestem dorosły.

Madison zamknęła usta.

– Idź i zapytaj mamę o pozwolenie, a ja skończę śniadanie.

Dziewczyna wyglądała na zdumioną.

– Mówisz poważnie?

– A czy wyglądam, jakbym żartował? – westchnął Sebastian.

– Wczoraj spadłem ze skały i nie jestem w nastroju do dowci-  
pów.

Madison wymamrotała coś pod nosem i wyszła.

Sebastian zauważył, że w jego obecności dziewczyna staje  
się spięta, ale nie miał pojęcia dlaczego.

Po chwili wróciła zdyszana.

– Mama mówi, że nie ma mowy.



– Dlaczego?

Bez słowa wzruszyła ramionami. Była ładna i bardzo podobna do ojca. Sebastian uśmiechnął się szeroko.

– Chcesz powiedzieć, że nie pokłóciłaś się o to z mamą? Myślałem, że wszystkie piętnastolatki aż piszcza, żeby usiąść za kierownicą.

– Mam mnóstwo pracy – powiedziała szybko i znów uciekła.

Wzruszył ramionami. Widocznie wyglądał jeszcze gorzej, niż przypuszczał, ale przynajmniej w głowie zaczynało mu się rozjaśniać. Po zjedzeniu śniadania poczuł się lepiej. Umył naczynia, nalał sobie trzeci kubek kawy i stanął przy oknie. W ogrodzie śpiewały ptaki i brzęczały pszczoły. Powietrze, światło, roślinność – wszystko było tu zupełnie inne niż w Wyomingu.

Sebastian miał wrażenie, że śni.

– Co chcesz zabrać z motelu? – zapytała Lucy, stając za nim.

Wrócił do rzeczywistości. To nie był już dom Daisy. Teraz mieszkała tu Lucy, a ponadto miała kłopoty, które jemu wydawały się bezsensowne.

Odwrócił się ostrożnie, unikając gwałtowniejszych ruchów.

– Chcę się wymeldować.

– I wrócić do Wyomingu?

– Nie. Przenieść się tutaj na kilka dni.

Nie zareagowała. Nie była już ambitną dwudziestolatką, zaczynającą życie z Colinem Swiftem, synem senatora, przyzwoitym chłopakiem, który chciał naprawiać świat. Sebastian nigdy nie miał tak wzniosłych celów. Teraz Lucy była matką dwojga dzieci, trzydziestoosmioletnią wdową walczącą o swoją pozycję w trudnej turystycznej branży. Minione lata wzmocniły ją, ale

też odjęły nieco blasku. Wiedziała już, jak mocne ciosy potrafi zadawać życie.

– Zastanawiałam się... – zaczęła. – Jeśli wczoraj to nie był wypadek...

– Tego nie możemy być pewni.

– Dobrze. Ale jeśli ktoś to zrobił celowo, dlaczego ty stałeś się celem, a nie ja, Rob albo Patti?

– Są dwie możliwości. Albo nasz przyjaciel zobaczył mnie w tym domu, ale nie wiedział, kim jestem i obawiał się, że mogę mu popsuć

zabawę. Albo jest to ktoś, kto mnie zna.

– Skąd?

– Wychowałem się tutaj, a poza tym w pracy narobiłem sobie wrogów.

– Przecież twoja praca nie ma nic wspólnego ze mną.

Sebastian uznał, że na razie lepiej będzie nie wspominać o Darrenie Mowerym.

– To prawda – powiedział spokojnie.

– A może to ktoś, kogo ja też znam?

– Może.

– Ale kto? – Zmarszczyła brwi.

– Gdybym wiedział kto, zabawa byłaby skończona – mruknął Sebastian.

Lucy potrząsnęła głową.

– Można od tego zwariować. Dobrze. Zawiozę cię do motelu. Możesz zostać w mojej sypialni.

Ja się przeniosę na górę.

– Ja mogę spać na górze.

– Chyba żartujesz? Jeśli ktoś znów zostawi mi na łóżku jakieś martwe zwierzę, to wolę, żebyś ty je znalazł. – Zdjęła kluczyki z haczyka na ścianie. – Popilnujesz dzieci? Rob ma dać Madison jakąś pracę, a J.T. bawi się z Georgiem.

Przydzieliłam im różne obowiązki.

– Tak samo było ze mną, gdy byłem mały – stwierdził sucho.

Lucy uśmiechnęła się.

– Odrobina normalności dobrze ci zrobi. Sebastian stanął w otwartych drzwiach wiodących na podwórze.

– Wolałbym, żebyś nie jechała sama.

– Z ciebie w tym stanie i tak nie miałabym żadnego pożytku.

– Obejrzała się w drzwiach, oddzielona od niego siatką na owa-  
dy. – Przepraszam cię, ale wyglądasz, jakbyś skoczył do tego wodospadu głową na dół. Wiem, że nawet z połamanymi kośćmi jesteś w stanie pozbawić życia połowę ludzkości, ale wezmę ze sobą komórkę i jeśli będzie trzeba, zadzwonię pod 911.

– Poproś recepcjonistkę, żeby poszła z tobą do mojego pokoju.

– Dlaczego? Jeśli ktoś się tam chowa pod łóżkiem, to nie zamierzam narażać na niebezpieczeństwo niewinnej recepcjonistki. A jeśli nie, to nie mam się czego obawiać.

Sebastian podszedł do drzwi.

– Lucy.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Przecież nic mi się nie stanie. Wrócę za godzinę. – Naraz przypomniała sobie o czymś i zmarszczyła czoło. – Och, zaraz.

Przez chwilę sądził, że jednak zdecydowała się zabrać go ze sobą, ona jednak wbiegła do kuchni i wzięła komputer.

– Żeby cię nie kusilo – mruknęła, przechodząc obok niego.

W dwie minuty po jej wyjeździe w kuchni pojawili się J.T. i Georgie. Trzymali się w bezpiecznej odległości od Sebastiana, obrzucając go ostrożnymi spojrzeniami.

– Ja się go boję – szepnął Georgie do J.T., ten zaś oblizał usta i uprzejmie zapytał Sebastiana:

– Jak się pan dzisiaj czuje?

– Prawdę mówiąc, wołałbym być w Wyomingu. Co zamierzacie robić? Podobno macie jakieś obowiązki do wypełnienia.

– Już skończyliśmy – oświadczył J.T.

– No dobrze, w takim razie zajrzyjmy do ogrodu i sprawdźmy, czy wszystkie grządki są wypielone.

Chłopcy nie byli zachwyceni, ale nie odważyli się zaprotestować. Wybiegli na dwór, a Sebastian wolniej poszedł za nimi. Nadal wszystko go bolało, ale na szczęście nie odniósł większych obrażeń. Wciąż był na siebie wściekły za to, że dał się zaskoczyć nad wodospadem.

Drugi raz nie mógł sobie pozwolić na dekoncentrację. Ale gdy wszedł do ogrodu Lucy, poczuł się tak, jakby wkroczył we własną przeszłość. Ciepła ziemia pod nogami, głosy ptaków i wiatru, zapach kwiatów i skoszonej trawy. Z tyczek zwieszały się strąki fasoli, pomidory niespiesznie dojrzewały na słońcu, na grządkach zieleniło się pięć odmian sałaty w różnych fazach wzrostu, dokoła wiły się pędy ogórków, dyni i cukinii.

Daisy sadziła więcej warzyw, a mniej kwiatów. Dla niej ogród był nie tylko hobby, ale również sposobem na przeżycie. Czego nie mogła zużyć sama, rozdawała innym. I zawsze miała jakąś robotę dla Sebastiana.

Nie przychodziło jej nawet do głowy, że wnuk nie będzie chciał żyć w tym miejscu. Tuż przed śmiercią, gdy Sebastian miał już swoją firmę i kupił ranczo w Wyomingu, babcia powiedziała mu:

- Dostaniesz tę farmę po mojej śmierci.
- Nie chcę jej – odrzekł.
- No to co? Gdy już będzie twoja, zrobisz z nią, co zechcesz.

Nie mam innych krewnych.

- Mogłabyś ją przekazać Towarzystwu Ochrony Środowiska.

Daisy prychnęła pogardliwie.

– Jeśli cię zabiją, zanim ja spokojnie umrę we własnym łóżku, wtedy zacznę się zastanawiać, komu zapisać dom. Przez całe życie ciężko pracowałam, żeby go utrzymać. Gdybym chciała go komuś oddać, zrobiłabym to już pięćdziesiąt lat temu i wyniosła się do miasta.

Sebastian nawet nie próbował podążać za jej logiką. Daisy we wszystkich sprawach miała własne zdanie i zawsze robiła, co chciała, bez względu na to, co ktoś inny myślał. Straciła męża oraz jedyną córkę i musiała żyć bez nich, przestrzegając jedynie własnych zasad.

– Będziesz wiedział, co zrobić z domem – powiedziała mu niedługo przed śmiercią, gdy już chodziła o lasce i nie była w stanie zajmować się ogrodem. – Jestem tego pewna.

On zaś sprzedał dom Lucy.

– Czy możemy iść na ryby? – zapytał J.T. Sebastian otrząsnął się ze wspomnień. Właśnie dlatego sprzedał ten dom.

– Nie. Idźcie pielic kabaczki, a ja będę siedział na schodkach i was pilnował.

– Mama nam ufa.

– To dobrze. Ale ja wam nie ufam. Gdybym was spuścił z oka, już za chwilę byłibyście nad strumieniem. Czy mama nie mówiła wam, że wolno wam iść na ryby tylko pod opieką kogoś dorosłego?

Odpowiedziało mu wymowne milczenie.

– Tak, wszystko jasne. – Pokiwał głową z satysfakcją i poszedł na schodki.

W drzwiach stanęła Madison.

– Sebastian, telefon do ciebie. Dzwoni twój przyjaciel Plato Rabe... nie jestem w stanie tego powtórzyć.

– Rabedeneira.

– Pytał o mamę, ale powiedziałam mu, że ty tu jesteś i chce rozmawiać z tobą.

Spojrzała na niego wyczekująco, jakby spodziewała się jakichś wyjaśnień, on jednak bez słowa wyjął słuchawkę z jej ręki. Usiadł na schodkach i spojrzał na nią.

– Będiesz podsłuchiwać?

Gwałtownie się zarumieniła.

– Ja nie...

– Myślałem, że masz robotę w stodole.

– Zrobiłam sobie przerwę.

Co za dzieci.

– Możesz pomóc bratu w pieleniu.

– To nie moja fucha – mruknęła, ale na widok jego wzroku dodała szybko: – Dobrze, dzisiaj zrobię wyjątek. Zwykle zajmuję się w ogrodzie czym innym. Przedwczoraj zrywałam fasolę.

– To było przedwczoraj – rzekł łagodnie. – Chwasty czekają.

Madison niechętnie zeszła ze schodków i Sebastian wreszcie przyłożył słuchawkę do ucha.

– Już jestem.

– Nie będę się dopytywał, o co chodziło w tej rozmowie – odezwał się Plato. – Zupełnie jak z „Domku na prerii”.

– Tylko mi nie mów, że oglądasz „Domek na prerii”. O co chodzi?

– Dzwonił Jack Swift. Chciał rozmawiać z tobą. – A gdy Sebastian milczał przez dłuższą chwilę, dodał: – Szantaż.

– Mowery.

– Nie chciał mi podać żadnych szczegółów.

Powiedział tylko, że ktoś go szantażuje i że chce rozmawiać z tobą.

– Powiedziałaś mu, gdzie jestem?

– Nie.

To było głupie pytanie. Oczywiście, że nie.

Plato wprawdzie był gadatliwy, ale dyskretny.

– Nic więcej nie wiesz?

– Nic.

Co takiego mógł Mowery znaleźć w kryształowo czystym życiorysie Jacka Swifta? – zastanawiał się Redwing.

– Ta dziewczyna wspomniała, że wpadłeś do wodospadu. O co chodzi??

Sebastian westchnął. W tej rodzinie nie dało się uchować żadnej tajemnicy.

– Ktoś mi pomógł.

– Daj znać, gdybyś mnie potrzebował – powiedział Plato. – Mam bilet powrotny na jutro rano, ale jeśli trzeba, mogę wylecieć z Frankfurtu jeszcze dziś wieczorem.

– Dam ci znać. Dzięki, Plato.

– Happy Ford nie trafiła na ślad Mowery’ego.

Dałem jej sprawę Jacka Swifta.

Sebastian skinął głową.

– Nie znajdziemy Mowery’ego, dopóki on sam tego nie zechce.

– Ty go znalazłeś w zeszłym roku.

– Tak, ale nie skończyłem roboty.

Lucy zaparkowała samochód przed motelem i weszła do pokoju Sebastiana, otwierając drzwi jego kluczem. W środku było ciemno i gorąco. Zasłony i rolety były zaciągnięte. Poczowała się, jakby przyszła na spotkanie z kochankiem, ale szybko strząsnęła z siebie to wrażenie.

– Dość tego – mruknęła i zabrała się do roboty.

Rzeczy Sebastiana były funkcjonalne i drogie, co zwykle charakteryzowało ludzi, którzy dużo podróżują. Nie było tu niczego zbędnego, tylko to, co konieczne na kilka dni czy nawet tygodni.

Lucy coraz mocniej podejrzewała, że Sebastian przyjechał do Vermontu nie tylko ze względu na nią. Ostatniego wieczoru odniosła wrażenie, że coś przed nią ukrywa. Miał jakieś podej-



rzenia, o których nie chciał mówić. Ale co to mogło być? O czym mógł wiedzieć, co by dotyczyło jej samej? Z pewnością nie chodziło o nic złego, w każdym razie nic z rzeczy, do jakich przywykł: zamachy, bomby, porwania.

Tu chodziło tylko o kogoś, kto chciał ją przestraszyć.

Odsunęła od siebie te pytania i weszła do łazienki po przybory do golenia, a potem wrzuciła wszystko do samochodu i poszła do biura motelu. Recepcjonistka była rzeczową kobietą po sześćdziesiątce. Szukając rachunku, narzekwała na ból kolana.

– Upadłam zeszłej zimy, gdy sprzątałam strych w domu mamy. Już od ponad roku nie żyje, ale wcześniej nie mogłam się do tego zabrać. – Znalazła właściwy papier i położyła go na ladzie, poprawiając okulary. – Właściciel ciągle się odgraża, że kupi komputery, ale zupełnie nie rozumiem po co. A niech mnie, Sebastian Redwing! Wnuk Daisy Wheaton?

– Tak – potwierdziła Lucy. – Zna go pani?

– Znałam go, gdy był chłopcem. Teraz pewnie bym go nie poznała. Zamieszkał u Daisy, gdy jego rodzice zginęli. To był okropny wypadek. Okropny! Nigdy tego nie zapomnę. Ta biedna kobieta przeżyła swojego męża i jedyne dziecko.

Kiedy Joshua Wheaton zginął, byłam jeszcze małą dziewczynką i nie rozumiałam, co się stało, ale od tamtej pory boję się wodospadów. Nawet nigdy nie poszłam nad Wodospad Joshui.

– Naprawdę? Jest bardzo piękny.

Kobieta zacisnęła usta z dezaprobatą.

– Moim zdaniem niepotrzebnie nadali temu wodospadowi jego imię. Gdyby mnie przejechała ciężarówka, to wcale bym nie chciała, żeby

ktoś ją nazwał „Eileen O’Reilly”.

Lucy uśmiechnęła się.

– Pewnie ludzie chcieli go uczcić za to, że uratował chłopca.

– Był bardzo lekkomyślny. Nie myślał o swojej żonie i dziecku.

– Może nie, ale w takiej sytuacji... Sama nie wiem, ale chyba każdy próbowałby coś zrobić.

To taki odruch, nie ma czasu na kalkulowanie ryzyka. Zresztą Joshua pewnie sądził, że sobie poradzi, inaczej byłby zwykłym samobójcą.

Recepcjonistka najpierw coś mruknęła do siebie, a potem powiedziała:

– Ludzie mówili, że on wiedział, co robi, tylko źle ocenił stan wody. Prądy i wiry były silniejsze, niż się mogło wydawać, i już nie udało mu się stamtąd wydostać. W każdym razie to smutna historia. Mama mówiła, że Daisy nigdy nie przestała opłakiwać Joshui.

– Przyjaźniły się? – zapytała Lucy.

Osoba Daisy Wheaton bardzo ją ciekawiła, ale nigdy nie odważyła się wypytywać o nią sąsiadów w obawie, by nie uznali jej za wścibską.

Nigdy też nie przyszło jej do głowy, by zapytać Sebastiana.

– Razem szyły patchworki – westchnęła Eileen O’Reilly i do jej oczu napłynęły łzy. – Ale to było dawno temu. Mama miała dziewięćdziesiąt dwa lata, gdy umarła.

A mimo to córka za nią tęskni, pomyślała Lucy ze wzruszeniem. Czy jej dzieci nadal będą tęsknić za ojcem, gdy już przekroczą sześćdziesiątkę? Na pewno będą o nim myślały.

– Co pani zrobiła z narzutami mamy? – zapytała nieoczekiwanie.

– Zatrzymałam je. Dałam po jednej każdemu z dzieci i wnuków. Co innego miałabym z nimi zrobić?

Sprzedać razem z domem matki, pomyślała Lucy. To właśnie zrobił Sebastian. Nie sądziła, by zachował dla siebie chociaż jedną.

Uregulowała rachunek i podziękowała recepcjonistce za rozmowę.

– Nazywam się Lucy Swift. Kilka lat temu kupiłam dom Daisy Wheaton od jej wnuka.

– Słyszałam o pani! Prowadzi pani biuro podróży, prawda?

– Tak. Może zajrzy pani do nas któregoś dnia? Kupiłam dom razem z patchworkami Daisy. Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby mogła mi pani coś o nich opowiedzieć.

– Z wielką przyjemnością. Kiedyś na pewno skorzystam z usług pani biura i wybiorę się na jakąś wycieczkę.

Lucy pojechała prosto do domu. Skręciła w drogę dojazdową i zatrzymała samochód przy skrzynce pocztowej, skąd widać było Strumień

Joshui, w tym miejscu szeroko rozlany i leniwie toczący swe wody. Lucy lubiła siadywać w letnie dni na przybrzeżnym kamieniu, zanurzając stopy w chłodnej strudze, bo woda zawsze była zimna, nawet w największy upał. A jednak nieco dalej znajdowało się miejsce, gdzie ta spokojna rzeczka zabrała życie Joshui Wheatona i uczyniła wdowę z jego żony. Wdowa Daisy. Wdowa Swift.

Wrzuciła rzeczy Sebastiana do sypialni i poszła go poszukać. Leżał rozciągnięty na kocu pod starą jabłonią. Na drugim końcu koca J.T. i Georgie grali w warcaby.

– Chłopcy, może przynieśliście mi coś zimnego do picia? – zapytała, podchodząc do nich.

– Też możemy sobie coś wziąć? – zapytał J.T.

– Oczywiście.

– Koktajle mleczne?

– Nie. Na razie napijcie się czegoś z lodówki.

Gdy odbiegli, Sebastian podniósł głowę i popatrzył na nią.

– Madison pracuje w stodole. Jest na mnie wściekła. Teraz mówi, że przypominam jej Humphreya Bogarta w „Afrykańskiej królowej”. Czy ty też uważasz, że jestem bardziej podobny do Bogarta niż do Eastwooda?

– Myślę, że moja córka ma bujną wyobraźnię.

W świetle dnia widać było, że jego rany, choć bolesne i nieprzyjemne, były powierzchowne i powinny się szybko zagoić.

Sebastian przymrużył oczy i przyjrzał się jej przenikliwie.

– Co ci chodzi po głowie, Lucy?

– Nic – odrzekła, patrząc na wspaniałą zieleń ogrodu, który nadal wyglądał jak za czasów poprzedniej właścicielki.

Miejscowi uważali życie Lucy za kontynuację życia Daisy. Czy Sebastian też tak uważał?

Czuła na sobie jego wzrok i wiedziała, że próbuje przeniknąć jej myśli.

– Czy Daisy po śmierci męża kiedykolwiek poszła nad wodospad?

– Nie, nigdy. – Potrząsnął głową.

- Ty też chyba nie lubisz tam chodzić.
- Dziadek zginął na długo przed moim urodzeniem. Daisy nie lubiła, kiedy tam chodziłem, ale nie zabraniała mi tego, chyba że w zimie. To piękne miejsce.
- To znaczy, że wczoraj nie byłeś zdekoncentrowany?
- Byłem.
- I co?
- Jak to: co?
- Przecież wiesz.
- Nie rozumiem, Lucy. O co ci chodzi?
- Wiem, że nie przyjechałeś tu tylko ze względu na mnie – powiedziała szybko, nie bawiąc się w żadną dyplomację. – Miałeś jakieś inne powody.
- Na przykład?
- Ten człowiek mógł doprowadzić do szaleństwa.
- Po co mam zgadywać, skoro sam mi to powiesz. Musisz. Uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie.
- Jak mus, to mus, ale sam nie wiem, co ci powiedzieć. Wolałbym usłyszeć od ciebie, jak daleko sięgają twoje przypuszczenia.
- Czy to znaczy, że rzeczywiście miałeś jeszcze jakieś powody?
- Za dużo myślisz.
- Lucy złożyła ramiona na piersiach i zastanawiała się przez chwilę.
- Dobrze. W porządku. Od tej chwili masz mnie informować, gdzie jesteś, co robisz, co wiesz i jakie masz plany. To jest mój dom, moje miasto, moja rodzina i moje życie. Jasne?

Sebastian założył ręce na karku i wyciągnął się na kocu.

– Jasne, Lucy. Aha, twój syn oszukuje przy grze w warcaby.  
Jeśli Georgie to zauważy, rozpęta się prawdziwe piekło.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Sidney położyła ręce na ramionach Jacka, nie pozwalając mu wstać.

– Siedz – powiedziała. – Ja zrobię martini. Uśmiechnął się, czując zapach jej perfum.

Była piękna i dobra.

– Nie musisz mnie obsługiwać.

– To nie jest obsługiwane – zaśmiała się, przechodząc z patio, gdzie siedzieli, do kuchni.

– Tylko już mam dość twojego przygnębienia. Daję ci jeszcze jedną szansę, a jeśli się nie poprawisz, wypiję martini i znikam.

W samotności będziesz mógł się smucić do woli.

Jack poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Była taka dobra. Inteligentna, prawa, bez kompleksów.

Żałował, że nie ma odwagi powiedzieć jej o Darrenie i szantażu, o Colinie, o własnej małostkowości, która kazała mu obwiniać Lucy o przeprowadzkę do Vermontu, jakby ten szantaż i jego samotność były jej winą.

Nie potrafił się jednak na to zdobyć. To wszystko działo się jakby w nierealnym świecie i miał wrażenie, że gdyby zaczął o tym mówić, jego słowa urealniłyby cały ten koszmar. Wciąż

przechodził przez „fazę negacji”, jak by to ujął psychiatra. Jednak milczenie zżerało go i wypalało od środka. Od dnia, gdy stał nad trumną syna, po raz pierwszy poczuł się tak samotny i bezradny.

Sidney uznała, że jest przemęczony pracą. Kalendarz miał wypełniony sprawami, które powinien załatwić przed sierpniowym urlopem.

Używał wszelkich dopuszczalnych sposobów, by zdobyć poparcie dla projektu ustawy, którą forsował wraz z dwoma innymi senatorami.

A teraz to wszystko miało się skończyć w tak głupi sposób. Próbował być optymistą. Desperacko wmawiał w siebie, że Darren Mowery zrezygnuje z dalszego szantażu, zanim wysie z niego ostatnią kroplę krwi albo zmusi go do sprzeniewierzenia się zasadom. Mógł zapłacić jeszcze najwyżej dziesięć lub dwadzieścia tysięcy, bo potem na pewno ktoś zainteresuje się tymi nagłymi wydatkami. Urzędnik w banku albo księgowy, bez różnicy. A gdyby wieść o tym się rozniosła, Jack musiałby odpowiedzieć na niewygodne pytania. Jaki sekret ukrywa senator Swift? Jego wrogowie polityczni zacieraliby ręce z radości, media zaczęłyby śledzić każdy jego krok. Prawda pomieszana z plotkami i pogłoskami zniszczyłaby jego życie osobiste i polityczne. Widział już niejednego taki upadek.

A był to i tak najlepszy scenariusz. W najgorszym wypadku Mowery mógł zażądać, by Jack sprzeniewierzył się swojemu urzędowi i złamał zasady etyki, których przez całe życie usilnie starał się przestrzegać. A wówczas nie wiadomo, co mogłoby się zdarzyć.



Był z tym wszystkim sam. Sebastian Redwing nie skontaktował się z nim i Jack teraz żałował, że pod wpływem impulsu zadzwonił do Redwing Associates. Plato ostrzegał go, że Sebastian prawdopodobnie nie odezwie się, jeśli nie będzie znał więcej szczegółów.

– Proszę zadzwonić, gdyby się pan zdecydował je ujawnić – powiedział mu. – Przekażę wiadomość Redwingowi.

Nie chciał powiedzieć, gdzie Sebastian przebywa, ani nie przełączył rozmowy. W końcu sfrustrowany Jack odłożył słuchawkę. Czuł się chory z obrzydzenia. Przecież szczegóły nie były istotne. Chodziło o Mowery’ego. Sebastian znał jego taktykę, a przez długie lata przyjaźnił

się z Colinem. Gdyby był człowiekiem honoru, powinien zająć się tym łajdakiem, nie pytając o szczegóły.

Jack mógł tylko czekać.

Sidney wyszła z kuchni z dwiema szklankami martini.

– Ja naleję następną kolejkę – uśmiechnął się do niej.

– Proszę bardzo. – Usiadła w fotelu i umoczyła usta w martini. – Doskonale, możesz mi wierzyć.

Za miłość, przyjaźń, senat Stanów Zjednoczonych i za to, żeby udało nam się wydostać z tego miasta w jednym kawałku – zaśmiała się, unosząc swoją szklankę.

– Amen – zawtórował jej Jack. Martini rzeczywiście było znakomite. – Wyobraź sobie, że już za kilka dni będziemy siedzieli na werandzie w Vermoncie, popijając martini i patrząc na las.

W ciemnych oczach Sidney pojawił się błysk.

– „My’”? – powtórzyła.

– Mam nadzieję, że uda ci się wyrwać przynajmniej na tydzień?

– Tak, ale... – Zawahała się. – Wiem, że Lucy wie o naszej znajomości, ale ty, ona i twoje wnuki... Przez tyle lat nie było nikogo więcej.

– Rodzice Lucy...

– Są w Kostaryce. Wiem, bo odwiedziłam ich w styczniu. Ale ty jesteś ojcem Colina, jedynym żywym wspomnieniem po nim... a poza Lucy i wnukami nie masz żadnej innej rodziny.

– I tak mieszkają w Vermoncie – rzekł Jack z niezamierzoną goryczą w głosie. – Przez ostatnie lata nie widywaliśmy się zbyt często.

– Ach – mruknęła Sidney.

– Co „ach”? – zdziwił się Jack.

– Jesteś zły na Lucy, że się wyprowadziła z Waszyngtonu. Jack, ona nie jest odpowiedzialna za twoje szczęście. Musiała ułożyć sobie życie bez Colina, podobnie jak ty. Ale z tobą to co innego. Colin był twoim synem, a nie mężem.

– Sidney, ja straciłem wszystkich. Eleanor, Colina, wnuki.

– Twoje wnuki są w Vermoncie, a nie na końcu świata – zauważyła, potrząsając głową.

Uważała, że Jack zachowuje się dziecinnie, ale nie chciała go urazić. Był dobrym człowiekiem.

– Posłuchaj, ich wyjazd nie oznaczał, że odrzucili ciebie, tak samo jak przeprowadzka rodziców Lucy do Kostaryki nie oznaczała, że wyrzekli się córki.

– Wiem o tym, ale emocje robią swoje. – Westchnął. Widać było, jak bardzo jest udręczony. – A one mi mówią, że zostałem odrzucony.

– To musi być okropne uczucie.

– Bogu dzięki, że mi ciebie zesłał – uśmiechnął się z ulgą. – Wiesz, że Lucy cię lubi.

– Lubi mnie jako znajomą. Nie wiem, czy polubi mnie w roli twojej partnerki. I nie chodzi mi tylko o to, jak ewentualnie mogłaby zareagować na mój przyjazd do Vermontu. Mówię również o tobie, senatorze Swift.

– Nie rozumiem – zmarszczył brwi.

– Oczywiście, że nie rozumiesz, bo nie miałeś „przyjaciółki” od czterdziestu lat.

– Aj! – Skrzywił się komicznie.

Sidney pochyliła się w fotelu i przesunęła końcami palców po jego twarzy.

– Dobrze się zastanów, Jack, zanim zaprosisz mnie do Vermontu na spotkanie z rodziną. Dobrze mi z tobą, odpowiada mi to, jak jest teraz. Nie chcę zmieniać zasad.

– A dlaczego miałyby się zmienić?

– Po prostu zastanów się, dobrze?

– Dobrze – westchnął.

Sidney roześmiała się.

– Czasami myślisz bardzo powoli. Ale nic nie szkodzi. I tak zamierzam wyrwać się z miasta na kilka dni, nieważne, czy do Vermontu, czy na plażę. Lubię Waszyngton, ale w lecie jest męczący.

Martini, spokojny wieczór i towarzystwo Sidney sprawiły, że Jack poczuł się lepiej. Jeśli chodziło o Waszyngton, podzielał zdanie przyjaciółki.

Kochał to miasto razem ze wszystkimi problemami, niebezpieczeństwami i frustracjami, których było tu ponad zwykłą miarę.

Jego domem był stan Rhode Island, ale w Waszyngtonie życie nabierało niepowtarzalnego blasku.

Nie mógł zrozumieć, jak Lucy może mieszkać w Vermoncie, bez względu na urodę tego stanu. Czy dla niej życie nabierało uroku właśnie tam? A może tylko uciekała od rzeczywistości?

To mógłby zrozumieć. On sam w tej chwili gotów byłby zrobić wszystko, by uciec od realnego świata. Śmierć Colina była wielkim ciosem dla nich wszystkich, ale szantaż i domniemany romans mogły odsunąć Lucy jeszcze bardziej od teścia.

Sidney miała rację. Lucy, Madison i J.T. byli jedyną rodziną, jaką miał. Nie mógł sobie pozwolić na pochopne działanie.

Z uśmiechem postukała go w czoło.

– Jack, obudź się! Jesteś dzisiaj zupełnie rozkojarzony.

– Po prostu zmęczony – westchnął. – Barbara dzwoniła i mówiła, że wynajęła dom na skarpie tuż nad wodospadem, o kilka minut drogi od farmy Lucy.

– A jak się czuje Barbara?

Jack wzruszył ramionami.

– Znów jest sobą.

– Nie licz na to – rzekła Sidney z powątpiewaniem.

– Zaczęła pracę w moim biurze jeszcze jako stażystka. Myślę, że już nie zrobi niczego nieprzemyślanego. Po prostu na

chwile straciła równowagę psychiczną. To się zdarza przy tej presji, pod jaką nieustannie się znajdujemy.

Sidney z niedowierzaniem potrząsała głową.

– Jack, Jack! Ta kobieta jest w tobie zakochana.

– Nie. Zwyczajnie ją poniosło. A nawet jeśli, to co ja mogę z tym zrobić? Jest dla mnie bardzo cennym pracownikiem.

– Dobry Boże. Brzmi to tak, jakbyś mówił o ulubionym piórze.

– Nie chciałem, żeby tak wyszło. Sidney, przecież nie wyrzucę jej z pracy za to, że ma do mnie słabość. Jeśli wyniknie z tego jakiś problem, to się nim zajmę.

– Oczywiście, że tak. To twoja sprawa, nic mi do tego. Przepraszam, że się wtrącam – powiedziała rzeczowo, bez śladu urazy.

– Ależ wtrącaj się, ile chcesz – uśmiechnął się Jack. – Dobrze jest porozmawiać z kimś tak bystrym jak ty. Chyba powinienem uprzedzić

Lucy o swoim przyjeździe. Wie, że miałem taki zamiar, ale myślała, że wpadnę do Vermontu tylko na dzień lub dwa, a nie na cały miesiąc.

– Nie widziała się z Barbarą?

– Barbara mówi, że nie. Chciałem zrobić Lucy niespodziankę.

Sidney wstała i pocałowała go lekko.

– Jesteś dziwnym człowiekiem, senatorze.

I nerwowym, pomyślał, słysząc brzęczenie telefonu komórkowego, które sprawiło, że zadygotał.

Sidney znów opadła na fotel, najwyraźniej zdumiona jego reakcją.

– Hej, Jack. – To był głos Darrena. – Jak się czuje pani Sidney?

Nie zważając na ucisk w żołądku, Jack starał się zachować równy ton głosu.

– Dziękuję, obydwójce czujemy się dobrze. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Pamiętasz ten numer, który ci dałem w twoim biurze?

– Tak.

– Zrobimy następny transfer na dziesięć tysięcy. To pomoże nam zbudować wzajemne zaufanie.

– Myślałem...

– To twój problem, senatorze. Nie myśl, tylko rób – zaśmiał się Mowery nieprzyjemnie i rozłączył się.

Jack drżącą ręką położył komórkę na stole. Wiedział, że jest błąd. Sidney przyglądała mu się ze zmarszczonym czołem.

– Jack?

Udało mu się słabo uśmiechnąć.

– Lipiec w Waszyngtonie zawsze przyprawia mnie o wrzody żołądka. Masz jeszcze ochotę na martini?

Lucy wstała wcześniej i postarała się wyjść z kuchni, zanim Sebastian się obudzi. Jego obecność mocno zakłóciła zwykły bieg rzeczy.

Lucy nie spała dobrze, dręczona nieprzyjemnymi snami, a przez cały dzień była rozdrażniona i napięta. Miała wrażenie, że wszystkie jej zmysły zaczęły pracować ze zdwojoną czujnością.

Tego ranka miała w planach lekcję pływania czółnem po pobliskim stawie z miejscowymi dzieciakami. Nie zamierzała jej odwoływać ani pytać Sebastiana o akceptację tych planów. To była kolejna rzecz, która ją irytowała. Przywykła do tego, że niepodzielnie kieruje domem i nie chciała, by uznał, że skoro prosiła go o pomoc, tym samym oddała mu kontrolę nad własnym życiem. Nie zamierzała przenosić na niego odpowiedzialności za siebie i dzieci.

J.T. pomógł jej pozierać wiosła i kamizelki ratunkowe. W grupie uczniów było kilku jego kolegów, on jednak uważał się bardziej za asystenta instruktorki niż za zwykłego uczestnika.

– Pamiętaj – ostrzegła go Lucy – że nikt nie lubi przemądrzałych.

– Ale jeśli coś wiem, to wiem.

– Nie musisz się z tym obnosić. Każdy ma jakiś dar, a twój polega na tym, że masz matkę, która nauczyła cię wiosłować, zanim jeszcze zacząłeś chodzić.

– Mamo – jęknął chłopak.

– Czyżbym była przemądrzała? – zaśmiała się.

Madison przybiegła do nich przez trawnik.

– Mogę iść z wami? Nie chce mi się tu siedzieć. Sebastian zaraz znajdzie mi coś do roboty.

– Przyda mu się trochę odpoczynku – stwierdziła Lucy.

Siniaki były w pełnym rozkwicie, przez co wyglądał jeszcze gorzej, choć czuł się już znacznie lepiej. Od rana nie wziął jeszcze żadnej tabletki przeciwbólowej. Przyszedł do nich, gdy pakowali rzeczy do samochodu, boso, ubrany w dżinsy i ciemną koszulkę polo. Na jego widok

Lucy zaschło w ustach.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy Madison i J.T. jadą z tobą – powiedział. – Wolałbym, żeby obyło się bez niespodzianek.

– Pomyśleliśmy, że przyda ci się trochę spokoju.

Usta Sebastiana zadrgały z rozbawienia.

– Jedźcie nad rzekę czy nad staw?

– Nad staw.

– Ile dzieci?

– Sześcioro oprócz moich. Tam wszędzie jest mnóstwo ludzi.

Zajrzał do samochodu. Madison i J.T. starannie omijali go wzrokiem. Było w nim dużo więcej energii niż poprzedniego dnia i już nie sprawiał wrażenia, jakby miał lada chwila zemdleć. Wieczorem wcześniej poszedł do łóżka.

Lucy czytała w salonie i zastanawiała się, czy można z nim normalnie porozmawiać. Był bardzo małomówny, ale w jego pracy liczyły się kompetencje, a nie zalety towarzyskie.

– Dobrze – powiedział tonem bossa. – Jedźcie, bo się spóźnicie.

– Odpowiadam za siebie, Redwing – najeżyła się Lucy.

Uśmiechnął się lekko i wrócił do domu.

Po kilku godzinach spędzonych na stawie poczuła się zupełnie zrelaksowana. Dzieci były chętne do nauki, a Madison i J.T. radzili sobie na tyle dobrze, że Lucy nie musiała się o nich martwić. Lubiała wiosłować. Wśród kropel rozpryskującej się wody i śpiewu ptaków wszystkie jej wątpliwości zniknęły, a przewrażliwione zmysły wreszcie się uspokoiły.



Cała jej świeżo odzyskana harmonia umysłu natychmiast jednak rozpadła się na drobne kawałki, gdy, podjeżdżając pod dom, zobaczyła na werandzie Sebastiana w towarzystwie Roba Kileya.

Miała wrażenie, że oto spotkały się tu dwa jej życia: jedno, nad którym miała pełną kontrolę, i drugie, nad którym przestała panować, i że to zetknięcie było wielce kolizyjne. Mężczyźni uśmiechnęli się do niej i pomachali, widziała jednak, że uśmiech Roba był wymuszony.

– Jak było na stawie? – zapytał Sebastian spokojnie.

– Chyba tak samo jak wtedy, gdy byliście dziećmi – odrzekła Lucy, również siłąc się na uśmiech. – Wspominacie stare czasy? Rob podniósł się sztywno.

– Sebastian nigdy nie słyszał o tym, że moja babcia na każde Boże Narodzenie przynosiła Daisy Wheaton ciasto w podzięce za uratowanie mojego ojca. A Daisy dawała je ptakom, by niosły tę podziękę do Boga. Czyli sześćdziesiąt ciast wyrzuconych przez okno. – Uśmiechnął się smutno.

– Miło było cię znów spotkać, Rob – rzekł Sebastian. On również wstał i nie patrząc na Lucy, zniknął we wnętrzu domu.

Rob usiadł.

– Dobrze, Lucy. Mów.

A więc miała rację: to była kolizja.

– O czym mam mówić?

Rob z irytacją potrząsnął głową.

– O Sebastianie Redwingu.

Lucy westchnęła. Wiedziała, że Rob wyjątkowo źle znosi towarzystwo osób, wobec których jest negatywnie nastawiony. Wytrącało go to z równowagi i nie potrafił nad tym zapanować.

– Dobrze, więc to ja powiem ci wszystko, co o nim wiem – przerwał przedłużające się milczenie.

– Jest wnukiem Daisy, jego dziadek zginął, ratując mojego ojca, rodziców przejechał samochód, gdy Sebastian miał czternaście lat. Został jakimś ochroniarzem i fachowcem do spraw bezpieczeństwa. Kilka lat temu uratował życie twojego męża i teścia podczas próby zamachu na prezydenta, a potem sprzedał ci ten dom. – Rob odchylił się do tyłu na krześle. Był tak wysoki, że z trudem się na nim mieścił.

– Mieszka w Wyomingu. A ty niedawno tam pojechałaś. O ile pamiętam, zorganizowałaś ten wyjazd w ostatniej chwili.

Lucy znów westchnęła. O ileż przyjemniej było na wodzie. Może to właśnie powinna zrobić?

Spakować siebie i dzieci, i wyjechać do Kanady? Tam mogłaby do woli wiosłować po jeziorach i strumieniach, i w tak miły sposób spokojnie przeczekać całą awanturę. Kryjówka.

Ucieczka. Bierny stosunek do życia, pomyślała z niechęcią.

– Przepraszam cię, Rob. – Potrząsnęła głową z napięciem. – Powinnam była wcześniej opowiedzieć ci o wszystkim.

– Lucy, jeśli dzieje się coś złego, muszę o tym wiedzieć. Mój syn często tu przebywa.

– Masz rację – przyznała, patrząc mu prosto w oczy. – Rzecz w tym, że sama nie wiem, co się właściwie stało. Na pewno coś, ale może łączyć wydarzenia, które tak naprawdę nie mają ze sobą nic wspólnego...

Rob przerwał jej gestem.

– Zaczynij od samego początku i opowiedz mi wszystko po kolei. Nie jestem dobry w czytaniu między wierszami. Mów jasno.

Nie ukrywała przed nim niczego. Gdy skończyła swą opowieść, Rob był wyraźnie wstrząśnięty.

– Jeśli teraz masz ochotę spakować Georgiego i zniknąć stąd...

– Nie. Wszystko musi wyglądać jak zawsze, zupełnie normalnie. Nie możemy pozwolić, żeby ten chory sukinsyn zwyciężył. Przykro mi tylko, że tak długo sama musiałaś sobie z tym radzić. Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? Chyba nie podejrzewałaś, że to ja?

– Nie! Nie, tylko... Widzisz, przez te lata... wdowieństwa... przywykłam polegać jedynie na sobie – powiedziała Lucy bezradnie.

– Widocznie za bardzo – mruknął Rob, a gdy nie skomentowała tego, zapytał: – Ten Redwing jest dobry?

– Był dobry. Od roku jest na... urlopie, czy jak tam to nazywać.

– Dlaczego?

Zmarszczyła brwi.

– Dobre pytanie. Muszę się tego dowiedzieć.

– Nie znam się za bardzo na takich sprawach. Posłuchaj, nie winię cię, że dotychczas nie zawiadomiłaś policji, ale jeśli będziesz miała jakieś konkretne dowody, to musisz z nimi porozmawiać.

– Obiecuję. – Skinęła głową.

– Dziadek Jack skalkuluje polityczne koszty i zdecyduje, czy ujawnić tę sprawę, czy nie – dodał Rob z lekkim uśmiechem.

– Jakie to cyniczne.

– Nie, rozsądne.

Musiała się rozeźmiać.

– Dzięki, Rob.

– Za co?

– Za to, że nie rzuciłeś mi się do gardła, bo nie powiedziałam ci o niczym wcześniej.

Rob tylko pomachał ręką.

– Wystarczającą karą było to, że musiałaś taszczyć tu Redwinga znad wodospadu. Dobrze ci tak. Gdybyś mi powiedziała, miałabyś doskonałego, mocarnego tragarza.

– Zaraz byś zadzwonił po pogotowie.

– Aż tak z nim było źle?

Skinęła głową.

– Myślisz, że sam spadł?

– Nie wiem. Nie był tam od dawna. Mógł stracić koncentrację.

– Przy wodospadzie ziemia rzadko się osuwa. Może po dużych deszczach, ale nie o tej porze roku, podczas suszy. – Rob podniósł się.

– Chyba sprawdzę, co robią chłopcy.

Sebastian postanowił przygotować kolację.

Kazał Madison i J.T. zerwać w ogrodzie wszystko, co było dojrzałe, a następnie zajął się duszeniem, grillowaniem i przyrządzaniem sałatek.

Wykorzystał także znalezione w lodówce kureczaka.

Grill był opalany węglem i udało mu się go rozpalić dopiero po kilku próbach.

Zapach węgla drzewnego, uczucie gorąca na twarzy, długi, spokojny dzień w miejscu, które kochał, a o którym mimo to próbował zapomnieć – wszystko to sprawiło, że stał się cichszy i bardziej skupiony niż zwykle. Zagłębił się w sobie, odnalazł wewnętrzną harmonię i zaczął rozmyślać. Darren Mowery. Jack Swift. Szantaż.

Lucy i dziwne zdarzenia. Wszystko to musiało się jakoś łączyć w jedną całość, trzeba było tylko odkryć, w jaki sposób.

Należało się skupić na tym, a nie na nostalgicznym powrocie do domu czy na rozmyślaniach o Lucy. Nie wiedział, co w niej takiego było, że od piętnastu lat nie potrafił przestać o niej myśleć. Musiał się z tym po prostu pogodzić, nie było innego wyjścia. Rok temu pozwolił, by zaangażowanie emocjonalne przyćmiło jego osąd. Nie zauważył, że Darren się zmienił, nie dostrzegł w porę narastającego cynizmu i utraty empatii. Może

Darren zresztą zawsze taki był, tylko te cechy pozostawały ukryte pod osłoną profesjonalizmu i dopiero przed rokiem wy dostały się na wierzch.

Przerzucił kawałek kureczaka na drugą stronę i zaczął się zastanawiać, co zrobić z Jackiem Swiftem. Najpierw należało poznać szczegóły sprawy. Z doświadczenia wiedział, że senatorowie Stanów Zjednoczonych nie lubili mówić o tym, co szantażyści wygrzebali w ich życiorysach.

Drzwi zaskrzypiały i Lucy stanęła obok niego, niosąc dwie butelki piwa. Podała mu jedną i usiadła w fotelu obok, krzyżując

nogi w kostkach. Miała bardzo zgrabne nogi: opalone, szczupłe i mocne.

– Ładnie pachnie – uśmiechnęła się.

– Węgiel i sos barbecue. Mógłbym położyć na tym grillu liście łopianu i pachniałyby tak samo ładnie.

– Chyba nie dałabym się skusić na liście łopianu. Nie miałam nawet tyle odwagi, żeby spróbować sałatki z mleczy. Mówiono mi, że twoja babcia bardzo ją lubiła.

Sebastian przypomniał sobie, jak Daisy pokazywała mu delikatne listki i uczyła je zrywać w specjalny sposób, by się nie pogniosły.

– Lubiała – potwierdził.

– Jadłeś to?

– Owszem. Z solą, pieprzem i octem.

– Obrzydliwe.

– Daisy i jedna z jej przyjaciółek robiły jeszcze wino z mleczy. To dopiero było okropieństwo! – zaśmiał się Sebastian.

Lucy uśmiechnęła się i pociągnęła łyk piwa z butelki. Sebastiana uderzył erotyzm tego gestu.

Na tle ciemniejącego nieba jej oczy wydawały się ciemniejsze i bardziej ożywione.

– Czy jako dziecko sądziłeś kiedykolwiek, że zostaniesz tu na zawsze? – zapytała.

– Nigdy nie przypuszczałem, że stąd wyjadę.

– Więc nie czułeś się tu źle?

– Nie, nigdy. – Popatrzył na otaczające ich łąki pełne kwiatów, wzgórza pokryte lasami, jabłonie, klony i dęby. Zdecydo-

wanie potrząsnął głową. – Nie mogłem sobie wyobrazić, że miałbym zamieszkać gdziekolwiek indziej.

– Dlaczego więc sprzedałeś ten dom?

– Wszystko się zmienia.

Pochylił się nad grillem i przerzucając warzywa na drugą stronę, czuł na sobie jej spojrzenie.

Lucy zastanawiała się, jakim dzieckiem był Sebastian. Sierota. Wnuk Daisy. Dziecko naznaczone tragedią i utratą.

– Co się zmieniło? – zapytała cicho Lucy.

– Ja.

Nie zapytała o nic więcej, ale wiedział, że czekała na jego dalsze słowa. Nie poddawała się tak łatwo. O tym również wiedział już od dnia, w którym poślubiła jego przyjaciela.

Zatrzymał na niej wzrok.

– To był dom Daisy. Służył mi tylko za schronienie i pewnego dnia poczułem, że już dłużej nie mogę się ukrywać.

– Musiałeś stąd wyjechać, żeby się nauczyć chronić innych. Nie mogłeś ocalić dziadka, bo zmarł, zanim ty się urodziłeś. I nie mogłeś ocalić

Swoich rodziców, bo nie było cię przy ich śmierci.

– Byłem – powiedział, patrząc na jej twarz.

Lucy pobladła z wrażenia.

– Przepraszam – szepnęła po chwili. – Nie wiedziałam o tym. Nikt mi nie mówił. Czy Colin wiedział?

Sebastian wzruszył ramionami.

– Pewnego wieczoru, po tamtej próbie zamachu, wypiliśmy za dużo i wtedy mu powiedziałem. Byliśmy młodzi. Potem już nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Lucy spróbowała się uśmiechnąć.

– Nic tak nie łączy facetów jak kule i alkohol.

Czy Plato też tam był?

– Pił wino. Merlota. Nasączył się jak gąbka. Nigdy nie pozwoliliśmy mu o tym zapomnieć. Szczególnie twój mąż mu do-  
cinał.

Tym razem uśmiechnęła się wyraźniej.

Przypomniał sobie, jak bardzo Colin ją kochał.

W tej chwili pojął, że ona również darzyła go głębokim uczuciem. To było widać w jej uśmiechu. Lucy zmieniła się w ciągu minionych piętnastu lat, ale mimo to nadal była tą samą dziewczyną, którą Sebastian kiedyś ujrzał jako narzeczoną przyjaciela. Było to dziwne wrażenie, którego nawet nie próbował ująć w słowa.

– A więc widziałeś śmierć swoich rodziców. Potem zamieszkałeś tutaj, u babci, aż wreszcie wyjechałeś. Zostałeś ochroniarzem i detektywem, założyłeś własną firmę, zarobiłeś mnóstwo pieniędzy, a ostatni rok spędziłeś w hamaku, w chacie bez prądu i wody.

– Moje życie w pigułce.

Przypatrywała mu się uważnie spod przymrużonych powiek.

– I wyrzekłeś się przemocy.

– Tak.

– Dlaczego?

– Z powodu Darrena Mowery’ego.

– Znam to nazwisko. Pracowałeś dla niego, gdy poznałeś Colina. DM Consultants. To on ocalił prezydenta.

– Tak. Ale później się zmienił.



– Opowiedz mi o tym – poprosiła cicho.

– Przed rokiem został porwany nasz klient, kolumbijski biznesmen, oraz jego żona i troje dzieci, wszystkie poniżej dziesiątego roku życia.

Wziąłem tę sprawę.

– Co się stało? Te dzieci... czy...?

Sebastian potrząsnął głową.

– Przeżyły. Firma DM Consultants stała wtedy na skraju bankructwa. Wiedziałem, że Darren obwiniał o to mnie. Ogarniała go coraz większa desperacja, a to była wielka pokusa.

– Miał coś wspólnego z tym porwaniem? – odgadywała Lucy.

– Pomógł je zorganizować. Prawie udało mu się wyjść z tego bezkarnie, z trzydziestoma milionami dolarów.

– Boże wielki! – zdumiała się.

– To był bogaty kolumbijski biznesmen – rzekł Sebastian z uśmiechem.

– I co się stało?

– Pokrzyżowałem im plany. Musiałem zastrzelić trzech kolumbijskich współpracowników Mowery’ego na oczach tych dzieci. – Wciąż miał w uszach ich krzyki, widział przerażone dziecięce twarze. – One były tego świadkami.

– Czy zamierzali zabić całą rodzinę?

– Tak. A Darren dostałby pieniądze. Znalazłem go w Bogocie. Sięgnął po pistolet, lecz strzeliłem pierwszy. Przyjechały kolumbijskie władze, a ja wróciłem do Wyomingu.

Lucy znów poblądła i ręce zaczęły jej drżeć.

– Nie wiesz, czy przeżył?

Była już wystarczająco zdenerwowana. Ni należało jej mówić, że Mowery właśnie szantażuje jej teścia.

– Przeżył.

– Ale jest w więzieniu? – zapytała z nadzieją w głosie. – Władze kolumbijskie na pewno...

Sebastian potrząsnął głową.

– Nie było sposobu, by udowodnić mu jego udział w porwaniu. Wiedziałem to, gdy wyjeżdżałem. Lucy, nie skończyłem wtedy roboty.

Tego nie można usprawiedliwić.

– I dlatego znalazłam cię w hamaku.

– Dlatego. Przekazałem wszystkie działania operacyjne Platonowi i ludziom, których razem wyszkoliliśmy i do których mamy zaufanie.

W firmie jest również bardzo dużo pracy, którą należy wykonać, jak mówi Plato, „na poziomie biurka”, lecz również tym nie zajmowałem się przez ostatni rok.

– Nic dziwnego, że Plato ucieszył się, gdy nadarzyła się okazja, by cię wyrwać z Wyomingu – zauważyła Lucy. – Ile masz teraz lat?

Czterdzieści?

– Mniej więcej.

– Bez żony i dzieci... Nigdy nie założyłeś rodziny?

– Do tej pory nie.

– Żadnej bliskiej kobiety?

Przypomniał sobie Lucy w sukni ślubnej, młodą, radosną, promieniającą nadzieją i optymizmem, jakiego on nigdy w swym życiu nie czuł.

– Nie. Lucy, już od dawna nikt nie miał ze mnie wielkiego pożytku. Jeśli wolałabyś, żeby Plato tu przyjechał i zajął się twoją sprawą, to go ściągnę.

– Nie. Wolę ciebie.

Uśmiechnął się i podniósł butelkę z piwem.

– No cóż, wreszcie nadajemy na tej samej fali.

– Chyba w twoich snach – prychnęła, ale zauważył, że jest podminowana. Nagle się poderwała.

– Gdzie są Madison i J.T.?

– W swoich pokojach – powiedział łagodnie, zdejmując z grilla cukinię i kładąc ją na wyszczerbiony porcelanowy półmisek, który pamiętał jeszcze czasy Daisy. – Miałem zamiar zagonić ich do zamiatania werandy, grabienia podwórza, mycia okien i wrywania przekwitłych kwiatków, ale postanowiłem dać im chwilę oddechu.

– Daisy nigdy nie kazała ci pracować tak ciężko.

– Skąd wiesz?

– Bo mieszkam w jej domu. Czasami wieczorem... sama nie wiem... ale mam wrażenie, jakby jej duch nadal tu był. Wyobrażam sobie, że była pracowita i oszczędna, ale również bardzo dobra i umiała się cieszyć życiem.

– Była wiecznie niezadowoloną, zgryźliwą starą Jankeską.

Lucy nie wzięła jego słów poważnie.

– Aha, więc to po niej jesteś taki zgorzkniały.

– Uśmiechnęła się.

Sebastian wycelował w nią łopatkę.

– Mogłem sprzedać ten dom pewnemu prawnikowi z Bostonu.

– To dlaczego tak nie zrobiłeś?

– Bo sprzedałem go tobie.

Opadła na krzesło i wpatrzyła się w ogród.

Sebastian pomyślał, że w Lucy harmonijnie wymieszały się siła i kobiecość. Nie należało jej lekceważyć.

Obróciła się i spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

– Miejscowi już zaczęli nazywać mnie „wdową Swift”. Na twoją babcię mówili „wdowa Daisy”.

– Przeszkadza ci to?

– Sama nie wiem. Dobrze mi tutaj. Lubię myśleć, że jej życie też było dobre.

– Było, bo została tutaj, żeby przetrwać, a nie po to, by się ukrywać. Nigdy po raz drugi nie wyszła za męża, ale jej życie było dobre i spełnione.

– Czy uważasz, że ja się tu ukrywam?

– Nie ma znaczenia, co ja myślę. – Wzruszył ramionami.

– Masz rację, to nie ma znaczenia – zgodziła się Lucy. – W każdym razie nie jest dla mnie ważne, co myślisz o moim życiu. Ale martwe nietoperze w łóżku to już inna historia.

Zsunął kurczaka na talerz z warzywami. Po raz pierwszy od wielu lat przyrządził pełny posiłek i sprawiło mu to dużą przyjemność. Cały czas musiał się czymś zajmować, bo inaczej jego myśli rozbiegały się w zbyt wielu różnych kierunkach.

Przychodziły mu do głowy rzeczy, jakich nie dopuszczał do siebie od piętnastu lat.

Może nie zachował się zbyt szlachetnie, całując Lucy tamtego wieczoru, ale nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia.

Zauważył, że patrzyła na niego ze zmarszczonym czołem.

– O co chodzi? – zapytał.

– Jest coś takiego w twojej twarzy. Mam nadzieję, że nie znalazłeś niczego więcej w łóżku?

Zatrzymał na niej wzrok. Skuliła się nieco w fotelu, nerwowo postukując stopą o podłogę. Atmosfera wokół niebezpiecznie zgęstniała. Zrozumiał, że ona myśli o tym samym co on.

– Lucy, pamiętaj, obiecałem ci, że to się więcej nie powtórzy.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby się powtórzyło.

Wkraczali na niebezpieczny grunt. Lucy poderwała się z miejsca, unikając jego wzroku.

– Trzeba zanieść kolację na stół.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Po kolacji J.T. wymknął się z domu. Madison ćwiczyła jazdę pod nadzorem Lucy, a Sebastian popełnił ten błąd, że nie zamknął chłopca w pokoju.

Podczas kolacji J.T. był niezwykle cichy.

Zjadł trochę kurczaka i sałatki, a pozostałe warzywa tylko przesuwał po talerzu. A potem niespodziewanie znikł.

Sebastian zajął się do garażu. Brakowało wędki. Przeszedł obok stodoły i skręcił na łagodnie wznoszącą się ścieżkę, która prowadziła do strumienia. Po drugiej stronie stodoły była inna, bardziej stroma ścieżka, wiodąca prosto na brzeg. Gdyby nie wczorajszy wypadek, Sebastian wybrałby tę drogę, ale na razie nie miał ochoty na wspinaczkę.

Powietrze było chłodne, wilgotne i nieruchome.

Dotarł nad ocieniony sosnami strumień i poszedł jego brzegiem. Dobrze wiedział, gdzie jest najlepsze miejsce do wędkowania. Nadal był sztywny i obolały, ale ruch zaczynał sprawiać mu przyjemność.

J.T. siedział na przybrzeżnym kamieniu, a wędka leżała na ziemi obok niego. Na widok

Sebastiana podniósł głowę, ale zaraz znowu ją

opuścił i ukrył twarz w dłoniach. Sebastian zaklął pod nosem.  
Jak się pociesza płaczące dziecko?

– Złapałeś coś? – zapytał, podchodząc bliżej.

Chłopiec zaprzeczył ruchem głowy, nie zmieniając pozycji.

– Mogę usiąść obok ciebie? Od spaceru rozboleła mnie głowa.

Ramiona chłopca uniosły się i opadły. Sebastian uznał to za przyzwolenie i ostrożnie usiadł na wielkim kamieniu. Pamiętał go sprzed lat.

Wyglądał tak samo, ale drzewa były teraz wyższe niż kiedyś, a poszycie gęściejsze.

– W dzieciństwie to było moje ulubione miejsce do wędkowania – powiedział. – Ale nigdy nie udało mi się dużo złapać. Przeważnie przychodziłem tutaj, gdy chciałem pobyć sam.

Żadnej reakcji.

– J.T. – westchnął Sebastian. Nie czuł się odpowiednią osobą do prowadzenia takich rozmów. – Chodzi o tę wyprawę kajakami, tak? Tę dla ojców i synów? Rob mówił mi o tym. Chce cię zabrać, ale on nie jest twoim ojcem.

J.T. podniósł głowę. Brudne policzki miał poznaczone śladami łez.

– Chcę... chcę pojechać z Robem.

A więc tu jest pies pogrzebany, pomyślał Sebastian.

– To dlaczego nie pojedziesz? Mama przecież ci pozwoli.

Chłopiec znów zaczął płakać. A niech to, pomyślał Sebastian, po raz pierwszy w życiu zły, że się nie pomylił. Oparł

głowę na ramionach i wpatrzył się w wodę omywającą kamienie.

– J.T., twój ojciec był moim przyjacielem.

W ostatnich latach przed jego śmiercią nie widywaliśmy się tak często, jak byśmy chcieli, ale jedno wiem na pewno. On chciałby, żeby w twoim życiu byli mężczyźni tacy jak Rob i ja.

– Wiem. Nie o to chodzi.

– Nie zapomnisz go, J.T. – powiedział cicho. – Nigdy go nie zapomnisz.

Chłopiec podciągnął wyżej kolana i oparł na nich głowę, szlochając coraz głośniej. Sebastian rozumiał jego rozpacz. On sam też kiedyś przychodził tu, żeby się wypłakać w miejscu, o którym nikt nie wiedział i gdzie nikt by go nie szukał.

– Jeśli przestanę za nim tęsknić...

Nie skończył zdania. Sebastian wyprostował się i strzepnął komara z ramienia. Właśnie dlatego unikał pracy z ofiarami przestępstw. Nie miał pojęcia, co im właściwie powiedzieć. Daisy najczęściej zostawiała go samego z jego problemami.

J.T. Swift był głęboko wrażliwym, zamkniętym w sobie dwunastolatkiem. Sebastian w jego wieku nie miał tak głębokich myśli. Płakał, a potem jak najdalej odpychał od siebie przyczyny swych smutków.

– Rany w końcu się goją – powiedział bezradnie.

– Jeśli są tak głębokie jak po stracie ojca, zabiera to dużo czasu i zostaje blizna. Po jakimś czasie ta blizna już nie boli, ale zawsze przypomina o tym, co się straciło. I o własnej odwadze w obliczu tej straty.

Chłopiec potrząsnął głową.



– Ja nie jestem odważny ani dzielny.

– J.T., robiłem wiele rzeczy. Strzelałem i do mnie strzelano, ścigałem porywaczy, terrorystów, szaleńców i wszelkiego rodzaju bandytów, jakich tylko potrafisz sobie wyobrazić. Mogę o sobie powiedzieć, że poznałem prawie całe zło tego świata. – Dobierał słowa tak, by mówić jak najprościej. – Ale chyba najtrudniejsze w całym moim życiu było to, gdy musiałem patrzeć na płacz babci po śmierci moich rodziców.

J.T. również się wyprostował i głośno pociągnął nosem.

– Jak oni zginęli?

– Uderzył ich samochód. Szli tuż przede mną. To też było bardzo trudne, ale dopiero płacz babci uświadomił mi, co straciłem. Mój dziadek zginął, gdy był jeszcze młody, i zostałem jej tylko ja.

– A co się stało z twoim dziadkiem?

– Miał na imię Joshua.

– Od tego wodospadu?

– Nie, to wodospad nazwano po nim. Utonął, ratując małego chłopca, ojca Roba.

– Naprawdę? Georgie nic mi nie mówił!

– Może o tym nie wie. Ludzie tutaj przyjmują wszystko spokojnie. Nie lubią mówić o takich rzeczach, szczególnie przy dzieciach. To było w marcu, podczas roztopów. Woda była wysoka i zimna. Dziadek wskoczył do wodospadu i uratował tego chłopca.

– Mama nie pozwala nam chodzić nad wodospad w zimie.

– Powinniście jej słuchać – rzekł Sebastian.

– Czy twoja babcia obwiniała tatę Roba o to, że zabił twojego dziadka? – zapytał cicho J.T.

– Tato Roba miał wtedy osiem lat. Joshua miał wybór. Mógł mu pozwolić utonąć albo próbować go ratować.

– Moja mama wie, jak się wyławia ludzi z takich strumieni. Kiedyś mnie tego nauczy. Ale chyba nie powinno się skakać za kimś.

Sebastian skinął głową.

– Czasami życie nie pozwala ci wybierać między dobrem a złem. Przy niektórych wyborach każde wyjście jest złe i wtedy po prostu robisz, co możesz.

Chłopiec przez chwilę siedział zamyślony, a potem zerwał się i pochwycił wędkę.

– Komary mnie gryzą – poskarżył się i to był koniec rozmowy.

J.T. skreślił na stromą ścieżkę. Sebastian czuł się zupełnie wyczerpany, ale myślał o chłopcu z uznaniem. Gdyby z nim kiedyś ktoś próbował rozmawiać w taki sposób, jak on rozmawiał z J.T., dwunastoletni Sebastian w ogóle nie zrozumiałby, o co chodzi.

Gdy Lucy i Madison wróciły, żaden z nich nie wspomniał o tej rozmowie.

– Jeśli będziesz miała wybór: przejechać szopa albo stracić kontrolę nad samochodem – mówiła Lucy, wysiadając z auta – to masz przejechać szopa.

– Nie mogłabym – jęknęła Madison. – Chyba bym umarła.

J.T. nachylił się do Sebastiana i szepnął:

– Wybór między dwiema złymi możliwościami, prawda?

– Nie sądzisz, że przejechanie szopa jest gorsze niż wycieczka czółnem z Robem i Georgiem? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

J.T. uśmiechnął się i Sebastian wrócił do swojego pokoju. To znaczy do pokoju Lucy, poprawił się w myślach. Spojrzał na łóżko, meble, dywanik, na kolanach sprawdził podłogę, ale nic nie znalazł. Żadnych martwych nietoperzy ani dziur po kulach. Zdjął buty i położył się.

Lucy zastukała do drzwi.

– Muszę stąd zabrać kilka rzeczy – powiedziała.

Podeszła do komody, wyjęła z szuflady koszulę nocną i trochę bielizny, a potem, nie odwracając się, powiedziała:

– Mam nadzieję, że dzisiejszy dzień nie był dla ciebie zbyt męczący.

– Bywało gorzej – odrzekł Sebastian, z zadowoleniem wpatrując się w jej biodra, nogi i opadające luźno na ramiona włosy.

– Ale przydałby ci się jakiś koń.

Obejrzała się, zdziwiona.

– Ledwo sobie radzę z dziećmi, domem i firmą. Po co mi jeszcze koń?

– Po to, żebym ja mógł na nim jeździć. To lepsze od zrywania kabaczków.

Prawdę mówiąc, zrywanie kabaczków sprawiło mu nieoczekiwaną przyjemność. Nie potrafił tego zrozumieć i nawet nie próbował.

Nigdy nie był miłośnikiem prac ogrodowych.

W dzieciństwie pielął i sadił tylko wtedy, gdy Daisy prosiła go o pomoc, i nie przychodziło mu do głowy, że te nieskompli-

kowane czynności ktokolwiek mógłby uważać za przyjemne. Może się starzeję, pomyślał. A może chodziło o powrót do dzieciństwa. Znów czuł zapach ziemi, słońce na twarzy, powietrze Vermontu, zupełnie inne niż powietrze w Wyomingu. Przez wiele lat nie zdawał sobie sprawy, jak mocno te wrażenia zapadły w jego pamięć.

– Jesteś jeszcze za słaby na jazdę konną.

– Czuję się świetnie – odrzekł Sebastian leniwie, nie spuszczać z niej wzroku.

Lucy ironicznie pokiwała głową i podeszła do drzwi.

– Dziękuję ci – powiedziała, trzymając rękę na klamce.

– Za co?

– Za rozmowę z J.T. Powiedział, że jednak zdecydował się wziąć udział w wyprawie.

– To jego decyzja, nie moja.

– Ale rozmawiałeś z nim.

Sebastian westchnął.

– Lepiej by było, gdybym po prostu łowił z nim ryby. Dzieci teraz za głęboko wszystko przeżywają. To ta cholerna psychoanalityczna kultura.

– Masz rację. Mimo wszystko dziękuję.

– Lucy – powiedział Sebastian, wyczuwając zmianę jej nastroju. – Nie myśl, że zawsze jestem taki jak dzisiaj. Potrzebowałem trochę czasu, żeby dojść do siebie. Rozmawiałem z J.T., zrywałem kabaczki i rozpałilem grill tylko dla zabicia czasu.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że nie jesteś miły?

Uśmiechnęła się, gdy nie zareagował.

– Wiedziałam o tym – rzuciła i wyszła.

Ale ze mnie idiota, pomyślał Sebastian. Lucy była w jego sypialni, czuła do niego wdzięczność, a on oczywiście musiał jej przypomnieć, jakim jest sukinsynem. To na pewno sprawka ducha Daisy.

Gdyby to było w Wyomingu, miałyby już Lucy Blacker obok siebie w łóżku.

Jakiś dźwięk na zewnątrz domu obudził Sebastiana o świcie. Zerknął na zegarek. Było dwadzieścia po piątej. Ta rodzina wstawała wcześniej, ale nie aż tak wcześnie. Co to mogło być?

Zsunął się z łóżka i nakładając spodnie, wyjrzał przez okno.

Madison przechodziła właśnie przez mur na końcu ogrodu warzywnego. Pochyliła głowę i pobiegła przed siebie przez łąkę.

Sebastian zaklął pod nosem. Po co piętnastolatka mogłaby wstawać o piątej rano?

– Tajemnica – mruknął pod nosem.

Wyszedł na korytarz i bezszelestnie wspiął się po schodach do sypialni Lucy. Drzwi były lekko uchylone. Wszedł i przyklęknął obok jej łóżka.

– Lucy.

Natychmiast poderwała się i usiadła.

– Co się dzieje?

– Madison poszła gdzieś przez łąkę – wyjaśnił. – Wiesz, że nastolatki zawsze mają jakieś swoje sekrety. Pójdę za nią, a ty zostań tutaj z J.T.

– Co? – powtórzyła półprzytomnie. – Madison gdzieś poszła?

Zrzuciła kołdrę i Sebastianowi zaschło w ustach. Jej nocna koszulka nie była co prawda z jedwabiu, ale nie zasłaniała zbyt wiele. Dekolt w szpic przekrzywił się, odkrywając prawie całą pierś. Cienka tkanina opinała się na różowym zwieńczeniu. Lucy zauważyła jego spojrzenie i szybko zmieniła pozycję.

– Dopiero wyszła – wyjaśniał. – Pewnie wrócimy, zanim ty i J.T. wstaniecie. Wołałem cię uprzedzić na wypadek, gdybyś się obudziła i zobaczyła, że nas nie ma.

Tym razem kołdra zsunęła się z nóg Lucy, odsłaniając gładkie, opalone uda. Koszulka ledwie zakrywała biodra. Gdyby nie Madison, nic nie powstrzymałoby Sebastiana. Pożądanie przyćmiewało mu zmysły, prawie w tym się zatracił... ale tylko prawie.

– Wszystko będzie dobrze, Lucy – szepnął i pocałował ją, nie tracąc jednak kontroli nad sobą. Opadła na poduszkę, a koszulka podjechała jej wysoko na biodra. Sebastian odsunął się od niej z wielkim trudem.

– Wrócę niedługo – powiedział.

Szybko przykryła się prześcieradłem.

– Poszukasz jej?

– Tak. Lucy...

– Idź.

Skinął głową i wyszedł bez słowa.

Zimna poranna rosa szybko przemoczyła mu buty i spodnie do kolan. Sebastian czuł się już zupełnie dobrze. Spokojnie przespana noc pomogła mu odzyskać siły. Umysł miał jasny, a stłuczenia bolały znacznie mniej.

Nie musiał się obawiać, że zgubi ślad dziewczyny.

Wiedział, dokąd mogła pójść, i nie zdziwił się, gdy odnalazł odcisk jej buta w błocie pod lasem, obok kolejnego kamiennego murku.

Skręcił na ścieżkę wspinającą się po wzgórzu.

Szedł cicho, ale nie starał się zachowywać zupełnie bezszelstnie. Jeśli Madison usłyszy go i ucieknie do domu, tym lepiej.

Nieco dalej ścieżka dochodziła do polnej drogi. Sebastian dowiedział się już, kto zajmuje domy położone wyżej: okulista z Bostonu i dwóch nowojorskich kwiaciarzy. Trzeci dom był do wynajęcia.

Właśnie przy tym trzecim domu, nowoczesnym budynku ze szkła i drewna, zobaczył Madison.

Rozmawiała z kimś, kto znajdował się na krytej werandzie. Sebastian, ukryty pod rozłożystymi, zwisającymi aż do ziemi gałęziami wielkiego świerku, nie mógł dostrzec tej osoby.

– Madison, nie powinnaś się tu zakradać o tej porze. – To był kobiecy głos, niski i zniecierpliwiony. – Co by sobie pomyślał twój dziadek?

– Wiem, ale przyśnił mi się koszmar i musiałam wyjść z domu, bo nie mogłam oddychać! A moja matka nie jest sobą, odkąd... – Dziewczyna odkaslnęła i nie dokończyła zdania.

– Nie mogę tego wyjaśnić.

– Spróbuj – spokojnie poradziła jej nieznajoma.

– Zna pani Sebastiana Redwinga?

Sebastian nawet nie drgnął. Kim mogła być ta kobieta?

– Nie znam go osobiście. Wiem, że przed laty ocalił twojego ojca i dziadka przed zamachowcem, oraz że prowadzi firmę

ochroniarsko-detektywistyczną. W tym środowisku cieszy się naprawdę wielkim prestiżem.

– Więc on tu jest – rzekła dramatycznie Madison.

Jej rozmówczyni nie straciła zimnej krwi.

– Sebastian Redwing? Naprawdę? Dlaczego?

– Mama zabrała nas do niego, gdy pojechaliśmy do Wyomingu, ale wydawało mi się, że on nas nie lubi. Zachowywał się idiotycznie.

Sebastian zdziwił się odrobinę. Osobiście nie uważał, by było aż tak źle.

– A teraz on jest tutaj – ciągnęła Madison – i sama nie wiem, ale jest po prostu dziwny. Przedwczoraj omal się nie zabił przy wodospadzie. Poślizgnął się i spadł. Mama go znalazła.

– To chyba Sebastian sprzedał twojej mamie ten dom, prawda?

– Tak. To była farma jego babci.

– Może, gdy was zobaczył w Wyomingu, wróciły do niego wspomnienia z Vermontu i zapragnął znów zobaczyć dom swojej babci?

– Ale mama nie chce, żebyśmy ja i J.T. chodzili do lasu sami. Gdyby się dowiedziała, że tu przyszedłam, chybaby mnie zabiła.

– A czy twój dziadek wie, że Sebastian jest tutaj? – zapytała kobieta z ledwo zauważalną dezaprobatą w głosie.

Redwing zmarszczył czoło. Lata praktyki nauczyły go wychwytywać znaczenia ukryte w ludzkiej mowie. Ta osoba była przekonana, że dba o dobro Jacka Swifta, a zarazem oskarżała Lucy o rażące zaniedbania w tym względzie. Jednak Madison oczywiście niczego nie zauważyła.



– Chyba nie – odrzekła beztrósco. – Mama niewiele mówi dziadkowi.

– Na pewno nie – mruknęła kobieta i Sebastian upewnił się w przekonaniu, że pałała dużą niechęcią do Lucy Blacker.

– Mama jest bardzo niezależna – odrzekła dziewczyna obronnym tonem.

– Wiem o tym. No cóż, powinnaś już iść, bo gdy twoja mama obudzi się i zobaczy, że cię nie ma, to zaczniesz się martwić.

Sebastian wsunął się głębiej pod gałęzie.

Deski werandy zaskrzypiały.

– Już nie mogę się doczekać, kiedy dziadek przyjedzie – mówiła Madison. – Będzie świetnie.

Żadna z moich koleżanek nie wierzy, że mój dziadek jest senatorem.

– Twoi przyjaciele w Waszyngtonie chyba w to wierzyli?

– Ale tutejsi nie.

Madison zeszła na drogę po przeciwnej stronie domu od Sebastiana.

– Zajrzyj do mnie jeszcze! – zawołała kobieta z werandy. – Mam nadzieję, że nie zdradzisz nikomu naszej tajemnicy?

– Jasne, że nie! – odrzyknęła dziewczyna.

Sebastian nie lubił tajemnic. Czym innym była własna dyskrecja, a czym innym prośenie kogoś innego o ukrywanie czegoś przed najbliższymi, szczególnie gdy chodziło o piętnastolatkę.

Gdy dorosły prosił dziecko o milczenie i nie chodziło przy tym o prezenty na Boże Narodzenie lub na urodziny, był to nieomylny znak, że coś jest nie w porządku.

Był ciekaw, kim jest kobieta na werandzie, ale w tej chwili przede wszystkim musiał dopilnować, by Madison bezpiecznie wróciła do domu. Wszedł między drzewa, starając się poruszać jak najciszej, i wyszedł znów na ścieżkę dopiero na skraju łąki. Znajdował się o kilka metrów za Madison. Gdy chrząknął, drgnęła i obróciła głowę.

– Szedłeś za mną? – zawołała ze złością.

– Tak. Gdy dzieciak wymyka się z domu o świcie, należy sprawdzić, dokąd się wybiera.

Dziewczyna wyglądała tak, jakby chciała się na niego rzucić z pięściami. Gdyby teraz się rozwrzeszczała, kobieta w wynajętym domu musiałaby ją usłyszeć. Sebastian westchnął.

– Tylko mi tu nie krzycz, bo nic ci z tego nie przyjdzie.

– A co, przywiążesz mnie do drzewa? – warknęła zaczepnie.

– To niezła myśl.

– Moja mama...

– Twoja mama chętnie by cię wrzuciła do mrowiska.

Dziewczyna zamknęła usta.

– Kim jest ta kobieta? – zapytał Sebastian.

Madison nie odpowiedziała.

– Dobrze, w takim razie pójde tam, zapukam do drzwi i sam ją o to zapytam.

– Nie! Miałyby przez to kłopoty!

– Tak ci powiedziała?

Madison najwyraźniej nie podobał się ton jego głosu.

– Sama wiem – mruknęła i ruszyła ścieżką, nie oglądając się na niego.

Sebastian jednak czuł się już dobrze i wiedział, że dziewczyna nie jest w stanie go prześcignąć.

Pomyślał o swoim hamaku w Wyomingu, o psach i koniach. Mógłby zagrać w pokera z robotnikami. Pięć kart, cygaro i parę zgrzewek piwa. Co on tu właściwie robi?

– Ta kobieta pracuje dla twojego dziadka – powiedział do pleców Madison.

W dalszym ciągu milczała. Sebastian zrównał się z nią z ła-twością.

– Mogę do niego zadzwonić i zapytać.

Zatrzymała się w miejscu i pobladła.

– Nie, nie rób tego! Proszę. Obiecałam!

– Co obiecałaś? Pierworodnego syna?

– Nie, ale dałam słowo...

– To teraz je odwołaj i wyjaśnij mi, co się tu dzieje.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, jeśli ty mi nie powiesz, to sam się dowiem, ale wtedy bardziej się na ciebie zdenerwuję. Po drugie, jeśli mi powiesz, to powtórzę to twojej mamie i przy-trzymam ją, żeby ochłonęła, zanim spierze ci tyłek.

– Moja mama nie stosuje kar fizycznych.

Nie był tym zaskoczony.

– To tylko taka metafora – wyjaśnił spokojnie.

Madison przesunęła językiem po ustach.

– Barbara przyjechała tu, żeby wynająć dom dla mojego dziadka. Chce przyjechać do Vermontu w sierpniu i prosił ją, żeby nie mówiła o tym mamie. Chciał wszystko najpierw zorga-nizować, zanim jej o tym powie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. On już taki jest. To chyba miała być niespodzianka.

– Jak ta Barbara ma na nazwisko?

– Barbara Allen. Osobista sekretarka dziadka.

Pracowała u niego od zawsze, jeszcze zanim ty mu ocaliłeś życie.

A więc z punktu widzenia Madison Barbara była ważniejsza od niego. Sebastian poczuł się rozbawiony. Widział jednak, że lęk w jej oczach jest prawdziwy. Nie bała się o siebie, lecz o kobietę, której obiecała dyskrecję. Ta mieszanka dobroci i lojalności bardziej przypominała

Lucy, niż dziewczyna byłaby skłonna przyznać.

– Parę dni temu przypadkiem ją spotkałam – ciągnęła Madison – i prosiła mnie, żebym nikomu o tym nie mówiła.

– Madison, posłuchaj mnie uważnie. Barbara Allen nie straci pracy tylko dlatego, że spotkałaś ją, gdy w pobliżu waszej posiadłości szukała letniego domu dla twojego dziadka. Co więcej, ona dobrze o tym wie. – A w takim razie, pomyślał, świadomie manipuluje piętnastoletnim dzieckiem. Dlaczego?

Dziewczyna skinęła głową, nie spuszczając z niego niebieskich oczu. Wcale się go nie bała, tak samo jak cała jej cholerna rodzinka. Widocznie wyszedł z wprawy. Kiedyś ludzie drżeli na jego widok.

– Coś jeszcze? – zapytała ironicznie.

– To wszystko. Teraz możesz wrócić do domu i opowiedzieć wszystko mamie.

Mruknęła pod nosem coś, co do złudzenia przypominało Sebastianowi przekleństwo, ale przecież miała zaledwie piętnaście lat i nie powinna znać wulgaryzmów, więc puścił to mimo uszu. Potem dodała ze złością, że cieszy się z jego upadku do wodospadu. Powtórzyła to jeszcze raz, głośniej, czekając na jego reakcję, ale nie doczekała się żadnej. Sebastian wiedział, że na jej miejscu też byłby wściekły.

Lucy czekała na córkę w drzwiach. Była blada, przestraszona i tak zła, że nie mogła wykrztusić ani słowa. Wskazała tylko na sufit i wychrypiiała:

– Na górę.

– Mamo, zaraz ci wszystko wyjaśnię. Ja...

Lucy podniosła rękę, ucinając wszelką dyskusję.

Madison pobiegła po schodach, głośno tupiąc. Sebastian usiadł przy stole, ciężko dysząc. Potrzebował kawy i śniadania oraz co najmniej jeszcze jednego dnia odpoczynku.

– Jeśli cię to uspokoi, nie chodziło o chłopaka.

– A o kogo? – zapytała już bardziej spokojnym tonem.

– Odwiedziła kobietę o nazwisku Barbara Allen. Wynajęła na sierpień dom dla twojego teścia. Chce tu przyjechać na urlop. Znasz ją?

Pokiwała głową.

– Cholerny Jack. Zawsze wszystko musi robić w tajemnicy. Mówi, że lubi niespodzianki i chce uniknąć rozgłosu. Chyba mu się wydaje, że jest prezydentem.

– Co wiesz o tej Barbarze Allen?

– O Barbarze? Pracuje jako osobista sekretarka Jacka od ponad dwudziestu lat. Jest mu bardzo oddana. Gdyby kazał jej podskoczyć, zapytałaby tylko, jak wysoko. Zawsze lubiła Madison i J.T. Gdy jesteśmy w Waszyngtonie, zachowuje się bardzo miło. Kupuje nam bilety, rezerwuje miejsca w restauracji i tak dalej.

– Nie powinna prosić Madison o zachowanie tajemnicy.

– Wiem – westchnęła Lucy, wyjmując dwa kubki z szafki.

Ruchy miała ostre, nerwowe.

– Ale Jack już taki jest, a Barbara zrobi wszystko, żeby go zadowolić. Pewnie w ogóle się nad tym nie zastanawiała. I na pewno nie ma nic wspólnego z tymi wypadkami.

Sebastian milczał.

Lucy postawiła kubki na stole i spojrzała mu prosto w twarz.

– Sebastianie, nawet o tym nie myśl. Nie Barbara. – Potrząsnęła głową i dodała: – Nie chciałabym się znaleźć wewnątrz twojego umysłu nawet na dziesięć sekund.

– Lepiej nie. – Uśmiechnął się. – Powiedz mi, co o niej wiesz.

– Przecież właśnie ci powiedziałam.

– Chodzi mi o jej osobowość – wyjaśnił. – Czy jest lojalna, co myśli o tobie, o twoich dzieciach, o przeprowadzce do Vermontu.

– Nie mam pojęcia. Przez te wszystkie lata kontaktowałam się z nią tylko wtedy, gdy chodziło o Jacka. Jest kompetentną profesjonalistką i nigdy nie mówiła mi o swoim życiu osobistym.

Chyba ma mieszkanie nad rzeką.

– Nie jest mężatką?

Lucy potrząsnęła głową.

– Nie. Ma mniej więcej tyle lat co ja, może jest starsza o rok lub dwa. Tylko nie myśl sobie, że to typowa, wścibska, zdziwaczała stara panna. Nie ona.

– Nie myślałem o tym. A dlaczego ty tak pomyślałaś?

– Nie pomyślałam. Przecież...

– A jednak przyszło ci to do głowy, Lucy. Zauważyłaś w tej kobiecie coś, co kazało ci zobaczyć w niej „typową, wścibską i zdziwaczalą starą pannę”. Zastanów się, ile znasz niezamężnych kobiet około czterdziestki. Czy mówiąc o każdej z nich, odruchowo zastrzegalabyś, że nie pasuje do stereotypu?

– Nie wiem, może.

– Wątpię.

Lucy zmarszczyła brwi.

– Może jest w niej jakaś zaborczość. Nie zauważa się tego od razu, ale przecież znam ją od lat. Ale to mogą być tylko moje projekcje.

– W tobie nie ma żadnej zaborczości.

– Sama nie wiem. Gdy wyszedłeś dzisiaj rano z domu...

Sebastian uśmiechnął się szeroko.

– To co innego.

Lucy napełniła kubki kawą i zwrócona do niego plecami, powiedziała:

– To absolutnie niemożliwe, żebyś mnie pociągał. Zresztą i tak nic by z tego nie wyszło. Nie mógłbyś wybrać sobie gorszego momentu.

– Zgadzam się.

Błyskawicznie obróciła się na pięcie.

– Naprawdę się zgadzasz?

– Zły moment. Nic z tego nie będzie. Absolutna niemożność wzajemnego przyciągania. Ja myślałem bardzo podobnie.

– Po tym, jak mnie obudziłeś dzisiaj rano?

– Nie, prawdę mówiąc, wcześniej. Myślałem o tym przez całą noc. Widocznie nie udało mi się przekonać samego siebie.

– Ja jestem przekonana.

– To dobrze. Dzięki temu może uda mi się wyperswadować sobie wszelką ochotę, by znów cię pocałować.

Skinęła głową.

– Tak. Nie powinniśmy... – Z kubkiem w ręku oparła się o szafkę. – Mam córkę, która wykrada się z domu o świcie, i syna, który martwi się, że zaczyna zapominać ojca, a do tego muszę prowadzić firmę i znaleźć tego szaleńca, i jeszcze okazuje się, że Jack Swift przyjeżdża na sierpień. Więc proszę cię, przekonaj siebie, że nie powinieneś mnie znów całować.

– A ty co zrobisz?

– Z czym?

– Z całowaniem. Bo skoro ty wiesz, że ja chcę cię pocałować, to nie masz takiej tarczy obronnej jak ja. Ja wiem, że ty nie chcesz, a ty nie wiesz tego samego o mnie.

Lucy wpatrzyła się w niego.

– To nie ma żadnego sensu.

– Oczywiście, że ma. Ja chcę cię znów pocałować. Bardzo chcę. – Dotknął jej włosów. – Pragnałem tego od bardzo dawna.

– Od kiedy?

Poczuł, że nagle zrozumiała.



– Od lat – rzekł cicho, przesuając kciukiem po jej ustach.  
– Przykro mi – powiedziała, przetykając ślinę.  
– A mnie nie – uśmiechnął się. – A teraz zajrzyjmy do twojej córki.

– Sebastianie, Madison to dobre dziecko.  
– Wiem.

Z kubkiem w ręku Lucy poszła do drzwi.

W progu odwróciła się jeszcze i powiedziała:

– Ale i tak będzie siedziała zamknięta w pokoju przez następne sto lat.

Sebastian zabrał swoją kawę na schodki za domem. J.T. jeszcze spał. Powietrze było ciepłe i nieruchome, przepełnione śpiewem ptaków. Myślał o Barbarze Allen i Jacku Swifcie, o wynajętym domu, o nietoperzu w łóżku Lucy, o swoim wypadku, o Darrenie Mowerym, o sierpniowej przerwie obradach Kongresu i o szantażu.

A także o całowaniu Lucy.

## ***ROZDZIAŁ JEDENASTY***

Zachowanie Madison było agresywno-obronne.

– W przyszłym roku będę już w liceum. Nie muszę ci mówić wszystkiego!

– To prawda – odrzekła Lucy – i ja wcale nie chcę wiedzieć wszystkiego. Ale wykradanie się z domu o piątej rano, i to mimo że prosiłam cię...

– Nie miałaś powodu, żeby się martwić! – wrzasnęła Madison, ciskając poduszkę na podłogę. Była wściekła i czuła się niezrozumiana.

– To, co mówisz, nie ma żadnego sensu! Gdybyś miała jakieś własne życie, to może zostawiłabyś mnie w spokoju! – Natychmiast sobie uświadomiła, jak to zabrzmiało, i z lękiem spojrzała na matkę. – Przepraszam cię, mamo. Naprawdę nie chciałam tego powiedzieć.

Lucy zachowała spokój, choć słowa córki boleśnie ją ubodły.

– Madison, ja mam własne życie. Mam pracę, ciebie, J.T., przyjaciół, zainteresowania. Jest mi tu dobrze. Ale moje życie to nie jest twoje zmartwienie. Sama jestem odpowiedzialna za własne szczęście, nie ty ani J.T.

– Ja tylko... po prostu nie chcę, żebyś wszystko dla nas poświęcała. Nie chcę, żebyśmy ci stali na drodze...

– W żaden sposób nie stoicie mi na drodze.

Madison uniosła głowę wyżej.

– W takim razie dlaczego nie mogę wyjechać na jeden semestr do Waszyngtonu?

Lucy musiała się uśmiechnąć. Jej córka nie przepuszczała żadnej okazji.

– Twój brat by za tobą tęsknił.

– Wcale nie!

Madison rzuciła drugą poduszką w stronę drzwi, gdzie jej brat podsłuchiwał rozmowę. Lucy rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. Zaśmiał się bez poczucia winy i pobiegł na dół.

– Masz jeszcze dużo czasu na Waszyngton – powiedziała do córki. – Na razie chciałabym, żebyś się zastanowiła, co to znaczy być wiarygodną i odpowiedzialną osobą. Skoro nie mogę ci ufać tutaj, w domu, to jak mam ci zaufać, gdy będziesz w Waszyngtonie czy gdziekolwiek indziej?

– Przecież dziadek...

– Dziadek ma wiele obowiązków i nie będzie miał czasu sprawdzać, czy potajemnie nie wymykasz się z domu. Przede wszystkim musisz być pewna, że możesz zaufać własnym decyzjom, a potem porozmawiamy o Waszyngtonie.

– Przepraszam – powiedziała Madison po prostu.

– Znajdź sobie coś do zrobienia w domu.

Jej córka już bez oporu skinęła głową.

I nagle – Lucy podjęła decyzję.

– Madison, do tej pory nie wyjaśniłam wam, ale... – Wzięła głęboki oddech i ciągnęła: – Nie chcę, żebyś ty i J.T. oddalali się od domu na własną rękę, i dzieje się tak nie dlatego, że jestem nadopiekuńczą kwoką bez własnego życia, ale dlatego, że

się o was obawiam. Ktoś mnie ostatnio prześladowuje i boję się, żeby nie wziął na cel również i was.

Madison pobladała.

– Jak to?

– Na razie wygląda na to, że chodzi mu tylko o mnie. A te incydenty... nie wiem, jak to inaczej nazwać, ostatnio się nie powtarzają. Mam nadzieję, że już nic się nie zdarzy i że za bardzo się nimi przejęłam, ale nie jestem tego pewna, więc jeszcze raz bardzo cię proszę, żebyś nie chodziła nigdzie sama.

– Co to były za incydenty?

Lucy opowiedziała jej wszystko, niczego nie ukrywając.

– Nie wiem, czy te zdarzenia mają ze sobą jakiś związek – zakończyła.

– To dlatego Sebastian jest tutaj?

Lucy wyczuwała, że to nie był jedyny powód. Przyjazd Sebastiana miał coś wspólnego z Darrenem Mowerym, ale o tym wolała nie myśleć.

Skinęła głową.

– J.T. nie wie o niczym, prawda?

Lucy uśmiechnęła się lekko.

– Nie. Jest jeszcze na tyle mały, że zrobi wszystko, o co go poproszę, nie zadając pięciu milionów pytań.

– Ta cała historia jest dziwna – powiedziała Madison bez uśmiechu.

Wyczerpana rozmową Lucy zeszła na dół.

Dolała sobie zimnej kawy i usiadła na schodkach obok Sebastiana. Po długiej chwili milczenia powiedziała:

– Nie jestem już żoną Colina. Jedną z najtrudniejszych rzeczy, jaką zrobiłam po jego śmierci, było zdjęcie obrączki.

Zerwała się, zanim Sebastian zdążył odpowiedzieć, i pobiegła do kuchni, gdzie właśnie wszedł J.T. Razem usmażyli placki i kiełbaski, oraz podgrzali syrop klonowy. Kuchnia wypełniła się domowymi zapachami. Madison dostała pozwolenie na zejście na dół, ale odmówiła.

To jest właśnie moje życie, pomyślała Lucy.

To, a nie wypalony mężczyzna, sfrustrowany agent Sebastian Redwing, który wyrzekł się przemocy nie dlatego, by stał się pacyfistą, ale właśnie dlatego, że nim nie był. Zabijał innych i inni próbowali zrobić z nim to samo. Zaledwie przed dwoma dniami ktoś dokonał zamachu na jego życie.

Usiadła i wpatrzyła się we własne ręce. Nie nosiła żadnej biżuterii. Gdy brali ślub, byli dopiero na dorobku i żadne z nich nie miało pieniędzy, nie mogli więc sobie pozwolić na zbyt kosztowne obrączki. Ale nie przeszkadzało im to. Przepelniała ich wielka wiara w przyszłość.

Daisy Wheaton nosiła obrączkę do samej śmierci. Lucy dowiedziała się tego od Roba.

Naraz poczuła ucisk w piersi, a pod jej powiekami wezbrały łzy. Zdjęcie obrączki było gestem symbolicznym. Lucy w ten sposób zaakceptowała śmierć Colina jako nieuchronny wyrok losu, nadal jednak pozostała nieutuloną w żalu wdową. Lecz teraz było inaczej. Colin odchodził z jej realnego życia i nieodwołalnie zastygał na kartach pamięci. Lucy całowała Sebastiana. Pragnęła go. Choć nie był dla niej odpowiednim mężczyzną, pobudzał ją fizycznie. To było szaleństwo, ale być może

tego właśnie potrzebowała. Nie chciała, by nazywano ją wdową Swift.

Życie Daisy, aczkolwiek dobre, nie było jej własnym życiem. Nalała sobie jeszcze jeden kubek kawy i zabrała go ze sobą do stodoły. Sebastiana nie było już na schodkach. Nie wiedziała, dokąd poszedł.

To dobrze, pomyślała. I energicznie zabrała się do pracy.

Barbara poszła pobiegać po głównej drodze prowadzącej obok domu Lucy. Zostawiła samochód na końcu przejazdu, bo nie chciało jej się wspinać na strome wzgórze. W niedzielę droga była pusta, ale podczas biegu Barbara czuła na plecach wzrok Sebastiana. To nie była paranoja.

Wiedziała, że on gdzieś tu się kryje i zapewne zastanawia się, kim ona jest. Może zresztą Madison już mu powiedziała.

Barbara sama nie wiedziała, po co go prowokuje. Mogła przecież zostać na wzgórzu, ale roznosiła ją potrzeba działania. Nie mogła myśleć, z trudem oddychała. Pragnęła ulgi, musiała jakoś rozładować napięcie.

Poczuła ból w łydkach i zwolniła. Była dobrą biegaczką, sprawną i zdyscyplinowaną.

Czy Sebastian podejrzewał, że to ona zepchnęła go do wodospadu? Upozorowanie wypadku przyszło jej łatwiej, niż przypuszczała. Z fascynacją i lękiem patrzyła, jak Sebastian spadał głową w dół nad skalną krawędzią. Och, Boże! A gdyby go zabiła?

To byłaby wina Lucy, pomyślała. To Lucy ściągnęła Sebastiana do Vermontu.

Obiegła dokoła starą, jednoizbową szkołę, której drzwi zabite były deskami, i zawróciła.

Bolał ją żołądek i obawiała się, że za chwilę zwymiotuje. Wiedziała, że to z napięcia i nienawiści.

Po raz pierwszy w życiu czuła tak czystą, niezmaconą nienawiść. Zdumiewało ją to. Przecież Lucy właściwie nic złego jej nie zrobiła.

A jednak wyrządziła jej wiele złego, choć niebezpośrednio.

Gdy Barbara próbowała prześledzić wstecz wypadki i odnaleźć pierwszy moment, gdy wszystko zaczęło iść nie tak jak trzeba, nieodmiennie docierała do Lucy. To Lucy nie zorientowała się, że Colin choruje na serce. To ona ukradła Jackowi wnuki, wywożąc je do Vermontu, i to przez nią odrzucił Barbarę, jedyną kobietę, która naprawdę i bezwarunkowo go kochała. Wszystko przez Lucy.

Zatrzymała się raptownie i zaczęła zrywać kwiaty rosnące przy drodze. Rwała je całymi garściami, wyciągała z ziemi z korzeniami. Stokrotki i margerytki, a także kilka dziwnych czerwonych kłosów, których nazwy nie знаła.

Gdy już miała ich całe naręczce, pobiegła do samochodu. Tam gorączkowo odnalazła papier i długopis.

Nie. Trzeba to było zrobić porządnie. Rzuciła kwiaty na przednie siedzenie, a sama, spocona i zdyszana, usiadła za kierownicą. Powinna uspokoić oddech i wykonać kilka ćwiczeń rozciągających, ale nie miała na to czasu. Zbyt jej było pilno do działania.

W domu nie czekały na nią żadne wiadomości.

Poczta głosowa była pusta. Nic od Darrena.

Nic od Jacka. Nic.

Powstrzymała łzy i starannie przycięła końce łodyg. Niektóre kwiaty były zgniecione, ale nie zważając na to, związała bukiet sznurkiem i wyjęła z szafy starą maszynę do pisania. Wiedziała, że będzie musiała się jej pozbyć, by nie można było zidentyfikować czcionki. Oczywiście nie dotykała papieru gołymi rękami, by nie pozostawić swych linii papilarnych.

– Szkoda, że on nie zginął w tym wodospadzie – powiedziała głośno. – Tak by było lepiej.

Owinęła rękę ścierką do naczyń i wsunęła karteczkę między kwiaty.

– Jakie to romantyczne – uśmiechnęła się.

Gdy już poranny przypływ adrenaliny minął, Lucy zadzwoniła do teścia. W jednej ręce trzymała telefon, a drugą ścinała lilie przed stodołą.

– Jack? Witaj. Tu Lucy. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że przysyłasz tu Barbarę, żeby znalazła ci dom? Mogłam jej w tym pomóc, a przynajmniej zaprosić na kolację! – powiedziała pogodnym tonem. – Po co te tajemnice?

Czyżbyś sądził, że nie chcemy cię tu widzieć? – zakończyła z żartobliwą przyganą.

– Nie, nie, zupełnie nie o to mi chodziło – tłumaczył się Jack, wyraźnie spięty i speszony.



– Nie byłem pewien, czy o tej porze, tak późno, jeszcze cokolwiek znajdzie, a nie chciałem, żeby Madison i J.T. przeżyli rozczarowanie. Poza tym wiesz, jak lubię niespodzianki.

– No cóż, Barbara znalazła wspaniały dom niedaleko od nas.

– Mówiła mi. To świetnie. Nie masz nic przeciwko temu?

Lucy odrzuciła na bok garść suchych liści i otarła czoło, czując, że zbliża się ból głowy.

Poranne przebudzenie, widok Sebastiana przy jej łóżku, jego pocałunki, awantura z córką – to było zbyt wiele naraz. A dzień dopiero się zaczął. Woląла nawet się nie zastanawiać, co jeszcze może jej przynieść. W każdym razie od kilku dni nie miał miejsca żaden dziwny incydent. Może prześladowca wystraszył się obecności Sebastiana? Oby tak było, pomyślała Lucy z nadzieją.

– Wiesz przecież, Jack, że zawsze jesteś tu mile widziany.

Dzieci będą zachwycone twoim przyjazdem.

– Barbara wynajęła dom na miesiąc. Parę razy będę musiał wpaść do domu...

– Mogła go wynająć nawet na rok. Przecież jesteśmy rodziną.

– Lucy... – wykrztusił Jack niepewnie.

– Dziękuję ci. I przepraszam za to, co powiedziałem poprzednim razem.

– Jack, znamy się za długo i zbyt wiele razem przeszliśmy, by przejmować się takimi rzeczami.

Mam wrażenie, że jesteś zmęczony. Czy wszystko u ciebie w porządku?

– Tak, wszystko dobrze, tylko okropnie tu gorąco. Lucy, jest coś jeszcze, o czym chciałbym ci powiedzieć. Sidney Greenburg spędzi ze mną w Vermoncie kilka dni.

Lucy natychmiast zrozumiała, co Jack chciał jej przekazać.

– To świetnie. Bardzo lubię Sidney. Cieszę się ze względu na ciebie.

– A ty? Czy wszystko u ciebie w porządku?

– Potrzebuję tylko kilku spokojnych dni, żeby odpocząć. Czy Barbara wraca już do miasta?

Może zdążyłabym jeszcze ją zaprosić?

– Mówiłem jej, żeby wzięła sobie trochę wolnego, ale znasz ją. Przecież bez niej wszystko się tu zawali.

– Twoje biuro czy cały Waszyngton? – uśmiechnęła się Lucy.

Jack po raz pierwszy roześmiał się głośno.

Gdy wyłączyła telefon, za jej plecami jak duch pojawił się Sebastian.

– Jak się miewa nasz dobry senator?

– Bardzo niegrzecznie jest podsłuchiwać.

Właśnie dziś rano rozmawiałam z J.T. na ten sam temat.

– Nikt nigdy nie uważał mnie za grzecznego człowieka.

Lucy pochyliła się i zerwała jasnożółtą lilię.

Wyczuwała, że Sebastian nie jest w dobrym nastroju. Był poważny. Poranne emocje zostały zastąpione posepnym spokojem.

– Był jakiś spięty – powiedziała. – Ta pora roku w Waszyngtonie zawsze jest trudna. Wszyscy chcą już jechać do domów, jest gorąco i na gwałt załatwia się zaległe sprawy. Jack jest pedantem i lubi wszystko dokładnie przemyśleć, zamiast w pośpiechu zawierać pochopne kompromisy.

– Chciałbym z nim porozmawiać.

– Z Jackiem?

Wzruszył ramionami, ale trudno byłoby nazwać ten gest nonszalanckim.

– Z tych samych powodów, dla których miejscowa policja chciałaby z nim rozmawiać, gdybyś się skontaktowała z nimi zamiast ze mną. Jest senatorem Stanów Zjednoczonych. Ten, kto prześladowuje ciebie, może w ten sposób próbować jemu zażyć za skórę.

Lucy rzuciła na stos następną naręcz przekwitłych roślin.

Klomb domagał się wypielenia i zasilenia nawozem.

– To nie ma żadnego sensu – stwierdziła.

– Może nie.

– Myślisz, że skoro wynajął tutaj dom na cały sierpień, to coś musi się za tym kryć?

– Ja nic nie myślę, tylko po prostu chciałbym z nim porozmawiać.

Wsunęła mu telefon do ręki.

– To dzwoń, a ja posłucham.

– Lucy...

– Ukrywasz coś, Redwing. Nie przyjechałeś tu tylko dlatego, że ktoś przestrzelił mi okno w jadalni czy podrzucił kulę do samochodu. Więc dlaczego? Co wiesz, czego ja nie wiem?

– Nie lubię rozmawiać przez telefon, czując czyjś oddech na szyi.

– Ja też nie.

– Ale ty nie wiedziałaś, że tu jestem.

– Skoro nie chcesz, żebym słuchała, jak rozmawiasz przez mój telefon, to trzeba było przywieźć ze sobą swój! – zawołała ze złością i poszła do stodoły. Sebastian spokojnie odprowadził ją wzrokiem. Kopnęła kosz na papiery i podbiegła do okna, które kazała wstawić podczas remontu. Sebastian stał przy klombie i wystukiwał numer. Co za drań! A więc jednak wbrew jej woli dopiął swego.

Podniosła słuchawkę drugiego aparatu.

– Odlóż tę słuchawkę, Lucy. Jestem w tym lepszy od ciebie.

– Dzieci też mogłyby cię podsłuchiwać – zauważ`yła.

– Nie, a zresztą od razu bym wiedział. Odlóż słuchawkę.

– Biuro senatora Swifta – odezwał się damski głos.

Sebastian bez słowa przerwał połączenie.

Przez okno Lucy widziała, że rzucił słuchawkę na klomb i szedł w jej stronę długimi krokami.

Była sama w stodole. J.T. grał w swoim pokoju w nintendo, Madison miała zakaz opuszczania swej sypialni, a w dodatku była niedziela, więc Rob nie przyszedł do pracy.

Sebastian wszedł do stodoły.

– Chciałam się schować pod czółnem – powiedziała Lucy – ale doszłam do wniosku, że jako ekspert zaraz byś mnie znalazł, co tylko wzmocniłoby twoją prymitywną pewność siebie.

– Lucy, do cholery – powiedział napiętym głosem i pochwycił ją wpół.

Miała sekundę, żeby zaprotestować, ale nie zrobiła tego i już w następnej chwili jego usta znalazły się na jej twarzy. Palce Sebastiana na jej plecach paliły ją jak rozżarzone węgle. Poca-

łunek stawał się coraz głębszy. Nie przerywając go, wsunął rękę pod jej spódnice.

– Nie przestawaj – szepnęła Lucy resztką tchu. – Nie przestawaj.

– Nie mam najmniejszego zamiaru – odrzekł i już po krótkiej chwili ciałem Lucy wstrząsnął dreszcz.

Sebastian puścił ją. Opadła na krzesło, zdumiona i oszołomiona, ale nieskrępowana.

– A ty? – zapytała, przesuwając językiem po wargach.

– Poczekam.

– Ja zwykle nie... jeszcze nie... – Odchrząknęła; w głowie jej wirowało. – Zwykle nie zachowuję się tak lekkomyślnie.

– To nie było lekkomyślne. – Uśmiechnął się i pocałował ją delikatnie. – Jeszcze ci pokażę prawdziwą lekkomyślność.

Choć to wydawało się niemożliwe, znów poczuła silną falę pożądania. Sebastian mrugnął do niej, jakby to wyczuwając, i poszedł do drzwi.

– Dokąd idziesz? – zapytała.

– Zadzwoń – odrzekł z uśmiechem.

Jack Swift nie chciał rozmawiać o szczegółach.

– Powiedziałem Platonowi wszystko, o czym powinieneś wiedzieć. To i tak było wielkie ryzyko. Znasz Darrena Mowery’ego i wiesz, że zrobi wszystko to, czym mi groził w razie, gdybym nie chciał z nim współpracować.

– To znaczy co? – zapytał Sebastian.

– Rozgłosi swoje obrzydliwe kłamstwa.

To już był pewien postęp.

– Senatorze, radzę panu opowiedzieć wszystko, co pan wie, waszyngtońskiej policji. To robota dla nich. Mogą pilnować pana przez całą dobę, a Mowery nie będzie o tym wiedział.

– Będzie – oświadczył Jack.

Sebastian poczuł zmęczenie gromadzące się w oczach i mięśniach karku. Zbyt dużo się wydarzyło tego dnia. Stał teraz w cieniu wielkiego klonu na podwórzu, niemal na granicy zasięgu telefonu. Lucy miała rację. Trzeba było zabrać ze sobą komórkę.

– Wiesz, że mam rację – ciągnął senator.

– Tak – przyznał Sebastian. – Wiem.

– Pamiętaj też, że nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo fizyczne.

– Zapłacił mu pan?

Swift zawahał się. O tym również nie miał ochoty rozmawiać.

– Dwie raty – powiedział w końcu.

– Ile?

– Dziesięć tysięcy każda.

Sebastian mocniej pochwycił słuchawkę.

– Czyli razem dwadzieścia tysięcy? Senatorze, Darren Mowery w zeszłym roku próbował ukraść miliony. Nie zadowolili się dwudziestoma tysiącami.

W słuchawce zapadła cisza.

– Ale przecież pan o tym dobrze wie – westchnął Sebastian.

– Nie wiem, czego on chce. Wiem tylko, co robi, jeśli nie będę współpracował, i uznałem tę możliwość za nie do przyjęcia. A teraz, gdy już dwukrotnie dostał ode mnie pieniądze, to wie, że jestem w jego władzy. Nie mam już odwrotu.

- Więc czego pan chce ode mnie?
- Żebyś go powstrzymał.
- Nie, senatorze – powiedział Sebastian.
- Pan chce, żebym go zabił.

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

Uznał, że senator potrzebuje jeszcze trochę czasu, by dokładniej przemyśleć swoją sytuację.

Przetrzymywanie go w niepewności było okrutne, ale Sebastian wiedział z doświadczenia, że ofiary szantażu nigdy nie chciały ujawnić, czym dysponuje szantażysta, pragnęły tylko, by zniknął z ich życia.

Podeszła do niego Madison z kartonowym pudłem w rękach.

– Znalazłam to na strychu. Zawsze, gdy mam areszt domowy, idę na strych i szperam w pudłach. Spójrz. To kawałki materiału na patchwork. Heksagony. Ktoś musiał się natrudzić, by powycinać te sześciokąty. Czy to należało do twojej babci?

Sebastian wziął do ręki skrawek materiału i rozpoznał wzór starej koszuli dziadka. Pamiętał, jak Daisy po śmierci męża poświęca wszystkie jego koszule, ale nigdy nie zdobyła się na to, by je pozszywać.

- Tak, to robota Daisy – potwierdził.
- Chyba będę musiała poprosić mamę o pomoc.

Jeszcze nigdy nie szyła patchworku. Nie masz nic przeciwko temu?

– A niby dlaczego miałbym mieć? Twoja matka kupiła ten dom ze wszystkim, co znajdowało się w środku.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Ale... Tak sobie myślałam, że gdyby te heksagony należały do mojej babci, to bardzo chciałabym je zatrzymać.

– Możesz się uważać za honorową prawnuczkę Daisy – uśmiechnął się Sebastian, co Madison przyjęła z zachwytem.

– Oczywiście robię to tylko dlatego, że śmiertelnie się nudzę – natychmiast zastrzegła się na wszelki wypadek. – Gdybym spędzała wakacje w Waszyngtonie, nie musiałabym ratować się szyciem patchworków.

– Ludzie w Waszyngtonie też je szyją.

– Ale dlatego że chcą, a nie z musu, bo nie mają nic innego do roboty.

– Madison, jeśli możesz, to powtórz mi wszystko, co mówiła ci Barbara Allen. Udawaj reportera, który nagrał te rozmowy.

– Po co?

– Bo jej nie ufam – wyznał wprost.

– Ty nikomu nie ufasz.

– Ufałem Daisy.

– A mojej mamie?

– Twojej mamie? – powtórzył Sebastian, spoglądając na ocieniony trawnik. – No cóż, Madison, od bardzo dawna kocham twoją mamę, ale nie wiem, czy jej ufam.

Dziewczyna zaniemówiła z wrażenia, ale w twarzy Sebastiana nie drgnął ani jeden mięsień.

Uznał, że skoro dziewczyna zadaje mu impertynenckie pytania, to powinna być przygotowana na równie impertynenckie odpowiedzi, i niech sama osądzi, czy mówił poważnie.

– Barbara Allen – przypomniał jej.



– Ach, tak – ocknęła się i zreferowała mu swoje rozmowy z sekretarką Jacka.

– To już wszystko? – zapytał Sebastian, gdy umilkła  
Skinęła głową.

– Dziękuję. To dobry raport.

– Chyba nie myślisz, że to ona robiła mamie te okropne rzeczy? – zaniepokoiła się Madison.

– Nie wiem, ale zwykle staram się zachować otwarty umysł i tobie radzę robić to samo – stwierdził krótko.

Oburzona Madison poderwała się z miejsca.

– Znam Barbarę od zawsze. Pracowała już dla dziadka, zanim ja się urodziłam. Ona nie mogłaby zrobić czegoś takiego!

– W pewnych okolicznościach ludzie są zdolni niemal do wszystkiego.

Dziewczyna z uporem potrząsnęła głową.

– Ale nie ja.

Sebastian nie miał ochoty na spór z zacierzewioną piętnastoletką.

– Dobrze. W porządku. Ty nie – rzekł pobłaźliwie.

Osiągnął zamierzony skutek, bo Madison zamilkła, urażona. Zastanawiał się, czy powinien ją przeprosić, ale uznał, że nie. Był dla niej miły, dopóki nie zaczęła gadać bzdur. Skąd osoba w jej wieku miałaby wiedzieć, ile to jest „zawsze”?

Ale córka Lucy podobała mu się. Była zirytowana i upokorzona, uziemiona w areszcie domowym i zapewne trochę przestraszona, a mimo wszystko starała się jak najlepiej wybrnąć z sytuacji.

Patchworki. Ten dzieciak miał charakter.

Odziedziczyła to po rodzicach. Pomyślał, że Colin byłby dumny ze swojej rodziny i z tego, jak sobie bez niego radzą.

Lucy znalazła go na schodkach i usiadła obok, składając ręce na kolanach.

– Zdaje się, że obie z Madison będziemy robić ten patchwork z kawałków, które przygotowała Daisy. Moja córka jest w takim wieku, że na przemian odpycha mnie od siebie, a potem znów przyciąga, aż w końcu sama nie mam pojęcia, jak się zachować. Przypuszczam, że trzeba ją po prostu kochać i pozwolić, by wszystko szło swoim trybem. Nastolatki są naprawdę niezwykle – uśmiechnęła się melancholijnie.

– Masz wspaniałe dzieci, Lucy. Zrobiłaś dobrą robotę.

– Jak dotychczas. Wiele jeszcze przede mną. Trzymaj kciuki za ciąg dalszy.

– Muszę porozmawiać z Barbarą Allen – oświadczył Sebastian. – Zajmie mi to jakieś pół godziny.

– Chcesz mnie w ten sposób zapytać, czy dam sobie radę sama? Owszem.

Sebastian wyciągnął nogi przed siebie.

– Sam nie wiem. Gdy Daisy zostawiała mnie samego, bałem się, szczególnie podczas burzy. Grzmoty odbijały się echem od wzgórz. Przykrywałem się poduszką.

– Byłeś wtedy dzieckiem.

– Ale burzy bałem się aż do osiemnastego roku życia.

Lucy roześmiała się, kładąc rękę na jego udzie.

– Sebastian, wracając do tego, co zdarzyło się wcześniej... nie jestem zażenowana i niczego nie żałuję, może tylko tego, że nie mieliśmy więcej czasu. Gdy jechałam do Wyomingu, wiedziałam, że podejmuję ryzyko. Mogę powiedzieć tyle, że nigdy nie byłeś mi obojętny.

Chciała cofnąć rękę, on jednak przykrył ją swoją dłonią i przytrzymał.

– Gdy moja mama umarła, Daisy powiedziała mi, że to okrucieństwo losu stracić zarówno męża, jak i jedyne dziecko. Była rozgniewana i uważała, że w jej przypadku długie życie byłoby tylko kolejnym dopustem bożym. Ale ja miałem tylko ją i wiedziała o tym, więc starała się postępować najlepiej jak mogła w tej sytuacji.

Po jakimś czasie jej gniew minął i znów zaczęła normalnie żyć.

– Ja nigdy nie czułam gniewu – powiedziała Lucy.

– Owszem, czułaś.

Milczała.

– Colin zostawił cię z dwójką dzieci i życiem, które ci się nie podobało. Potem twoi rodzice wyprowadzili się do Kostaryki właśnie wtedy, gdy najbardziej ich potrzebowałeś. A z Jacka Swifta nie miałaś żadnego pożytku.

Zagrzebał się we własnej rozpacz, w swojej pracy, ideach i koncepcjach na to, jak powinnaś wychowywać jego wnuki. –

Sebastian przerwał, ale gdy Lucy nie zaprzeczyła, nie zaczęła prostować jego słów ani nie odesłała go do diabła, mówił dalej:

– Gdybym przyjechał na pogrzeb albo spotkał się z tobą później, to chciałbym przyjąć ten gniew na siebie.

– Szkoda, że nie mogłeś tego zrobić – powiedziała cicho. – Bardzo wtedy potrzebowałam zrzucić go na kogoś. Chyba i tak po części zwałam go na ciebie, mimo że cię tam nie było.

– Przeklinałaś mnie w żywy kamień, tak?

– Owszem. – Uśmiechnęła się. – Masz rację, byłam bardzo zła. Wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Miałam tak wiele do zrobienia, tyle emocji, z którymi musiałam sobie poradzić. Gniew był na samym końcu mojej listy zmartwień. I czułam się winna. Do dziś się tak czuję.

– Wiem.

– Rozumiesz to. – Spojrzała na niego. Podniosła się i wzięła głęboki oddech. – Jaki piękny dzień. No cóż, idź do Barbary. Jeśli znajdziesz u niej jakieś martwe zwierzęta, to możesz ją odprowadzić prosto na posterunek policji. Masz moje błogosławieństwo.

– Chcesz się założyć, że to ona?

– Nie. Zawsze lubiłam Barbarę i zawsze myślałam, że ona mnie też lubi.

– Może tu nie chodzi o ciebie.

– Przecież to ja znalazłam nietoperza w swoim łóżku!

Skinął głową i również wstał.

– Masz rację. To jest bardzo osobista sprawa.

Skrzyżowała ramiona na piersiach. Sebastian widział, jak bardzo Lucy jest poruszona myślą, że wieloletnia sekretarka jej teścia może tak źle życzyć jego synowej.

– Chyba wyciągam zbyt daleko idące wnioski – powiedział. – Barbara Allen na razie nie jest nawet podejrzana. Może mieć

bardzo dobre alibi lub też jakieś informacje, które pchną nas we właściwym kierunku.

– W każdym razie uważaj. Nie mam ochoty znów cię zdrapywać ze skał.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

– Nie chcę już w tym uczestniczyć – powiedziała Barbara. – Daj mi spokój.

– Barbie, Barbie – westchnął z krzywym uśmiechem Darren Mowery, siedząc na krześle przed zimnym, kamiennym kominem. Dziesięć minut temu pojawił się tu bez ostrzeżenia.

– Nie nazywaj mnie tak. Jestem Barbara albo pani Allen, ale nie Barbie.

Przechadzała się po pokoju, usiłując nie okazywać zdenerwowania. Mowery znalazł ją pod prysznicem, ale nie wyraził żadnego fizycznego zainteresowania jej osobą. Skupiony był tylko na szantażu. Wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

– Dobrze, Barbaro – powiedział, ironicznie przeciągając sylaby jej imienia. – Chyba nie zamierzasz zadzwonić na policję.

– Zadzwonię. Jeśli nie zostawisz mnie w spokoju, to zawiadomię policję w Waszyngtonie. W ogóle nie powinnam była z tobą rozmawiać.

Darren poskrobał się po policzku.

– O ile pamiętasz, ostrzegąłem cię. Żadnych niespodzianek i żadnego odwrotu.

– To nie mój problem.

– Owszem, twój. Widzisz, Barbie, jeśli pójdziesz na policję, to ja im wyślę zdjęcia, na których widać, jak się tu zabawiałaś.

W pierwszej chwili nie zrozumiała. Jak się tu zabawiała? Co to miało znaczyć? A potem dotarło do niej, co Mowery chciał jej przez to powiedzieć, i zastygła z przerażenia. Na twarzy Darrena odbiła się satysfakcja.

– Nie rozumiesz – wychrypiała. – Nic nie rozumiesz.

– Owszem, rozumiem. To bardzo proste. Nienawidzisz jej i chciałaś sparaliżować ją strachem. Opowiem policji w Waszyngtonie, że od miesiąca byłem na twoim tropie. Dowiedzą się wszystkiego od początku do końca.

– Jack ujawni, jak było naprawdę. Wie, że jesteś szantażystą.

– Dowie się, że prześladowałaś jego synową, że jesteś wariatką kryjącą się po krzakach i strzelającą do cudzych okien, lecz o mnie nie powie ani słowa, o czym dobrze wiesz. Za bardzo się boi. Nic go nie obchodzi, co robię, dopóki nie ujawniam sprawek Colina. Zostanę bohaterem. – Darren uśmiechnął się cynicznie.

Barbara z trudem utrzymywała się na nogach.

– Śledziłeś mnie? Przez cały czas wiedziałeś?

– Barbie – rzekł Mowery pobłażliwie – nie zapominaj, w jaki sposób od trzydziestu lat zarabiam na życie.

– Boże – wyszeptwała.

Mowery swobodnie założył nogę na nogę.

– Jeśli zacznę mówić, stracisz wszystko. Pracę, opinię, nadzieję na uwiedzenie szefa. W najlepszym wypadku trafisz na kurację do wariatkowa. A jeśli przysięgli okażą się choć trochę

podobni do mnie i nie uwierzą w twój obłąd, to pożegnasz się z wolnością na wiele, wiele lat.

– Z moim umysłem jest wszystko w porządku – oburzyła się Barbara.

– Więc będziesz musiała dobrowolnie do wszystkiego się przyznać, żeby złagodzić wyrok. – Mowery ziewnął. – Kula na siedzeniu samochodu to był moim zdaniem błyskotliwy pomysł. Przypuszczam, że Lucy dostała gęsiej skórki.

Barbara patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby zobaczyła karalucha na dywanie.

– Nie muszę się przed tobą tłumaczyć. Chciałam nią wstrząsnąć, żeby sobie uświadomiła, co robi z wnukami Jacka.

– Mhm.

– Nie jestem jedyną osobą, która nie cierpi tej obłudnicy.

– Nienawidzisz jej, bo ona ma wszystko, co ty byś chciała mieć.

– Nieprawda!

Darren nie zważał na jej protest.

– Wyszła za Swifta, ma dzieci Swifta, ciekawą pracę i dom. Nienawidzisz jej, bo ona ma własne życie, a ty nie.

– To ja naprawdę żyję, a ona nie!

– Gdy nasz przyjaciel Jack zlekceważył twoje uczucia, musiałaś sobie ulżyć i choć trochę rozładować swoje obsesje. To działa, prawda?

Człowiek zaczyna się czuć lepiej, przynajmniej na chwilę.

Barbara uniosła wyżej głowę i powiedziała z dumą:

– Poświęciłam wszystko dla Jacka. Przez dwadzieścia lat pracowałam dla niego dzień i noc. Zawsze przedkładałam jego



sprawy nad własne. Lucy nie jest nawet w połowie taką kobietą jak ja.

– Ale to ona podpisuje czeki jako pani Swift.

– Łajdak!

– Widzisz? Bardzo dobrze cię rozumiem, Barbie. Jestem ekspertem w tych sprawach .

– Chcę się z tego wyplątać – powiedziała cicho, z trudem wydobywając głos z zaciśniętego gardła. To było żałosne i ona dobrze o tym wiedziała.

Darren pochylił się w jej stronę.

– Musisz zrozumieć jedno, Barbie – powiedział dobitnie. – Nic mnie nie obchodzi twoje brudne, małe tajemnice. Jeśli chodzi o mnie, możesz sobie dalej wpędzać Lucy Swift w obłąd. Nic mi do tego. Ale jesteś moją współpracowniczką na dobre i na złe, rozumiesz?

– Mam nadzieję, że Sebastian Redwing znajdzie cię i zabije. Mowery wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To by dopiero było, nie? Już raz próbował. Chciałbym zobaczyć, jak próbuje drugi raz.

– Darren – powiedziała Barbara, siadając przed nim na podłodze. Wiedziała, że wygląda żałosnie, ale już jej to nie obchodziło. Musiała jakoś do niego dotrzeć. – Posłuchaj, nie chcę swojej części pieniędzy. Możesz z nimi zrobić, co zechcesz, nic mnie to nie obchodzi. Nikomu nie powiem ani słowa. Chcę tylko, żebyś dał mi spokój.

– Barbie.

– Proszę, daj mi spokój! Proszę.

– Raczej nie – odrzekł spokojnie.

Co za bezczelny, arogancki typ. Zerwała się na nogi, pełna obaw, że za chwilę zacznie krzyczeć i miotać się, że straci nad sobą kontrolę.

Gwałtownie odepchnęła krzesło i podeszła do okna, które wychodziło na las. Lucy nie powinna była wyprowadzać się z Waszyngtonu.

Gdyby tam została, to wszystko by się nie wydarzyło.

– Ja już wystarczająco dokuczyłam Lucy i miałam swoją satysfakcję – powiedziała cicho. – Nie chcę więcej. A na Jacka mogę poczekać.

– Więc?

– Nikomu nic nie powiem o tobie ani o tym, co robisz. Po prostu idź swoją drogą i zostaw mnie w spokoju.

– Nie mogę tego zrobić.

– To znaczy, że nie chcesz.

– Jak wolisz. – Wzruszył ramionami.

Barbara zaczęła drżeć na całym ciele. Nie było żadnego wyjścia. To wszystko wina Lucy. Wszystko. Poczowała, jak wzbiera w niej kolejna fala wściekłości. To Lucy wpędziła ją w tę pułapkę.

– Dobrze – powiedziała z rezygnacją. – Co mam zrobić?

– Na razie nic. Wystarczy, że tu jesteś – odrzekł Mowery, stając obok niej. – Nie znoszę Vermontu. Nie cierpię lasu. Dobrze się czujesz, Barbie?

– Bardzo dobrze – powiedziała chłodno. Zewnętrzne wzburzenie minęło. To, że wcześniej nie zapanowała nad nim, było błędem. Musiała zachować resztki godności. – Nie zamierzam przepraszać za to, co zrobiłam Lucy. Zasłużyła na to.

– Jasne. – Mowery wzruszył ramionami.

– Wiedziałaś o tym od początku?

– A jak myślisz, dlaczego bierzemy udział w tej zabawie razem?

– Musiałaś mieć na mnie jakiegoś haka, żeby w odpowiednim momencie zacząć mną manipulować – powiedziała bezradnie.

Mowery mrugnął do niej.

– Nieźle, Barbie. Nie zapominaj, że w tych sprawach jestem lepszy od ciebie. – Na tym właśnie polegał mój błąd. – Jest tylko jeden człowiek, który mnie kiedyś przechytrył. Niedługo zastuka do twoich drzwi. – Sebastian Redwing.

Darren poklepał ją po pośladku i wyszedł.

Tak jak przewidział, w piętnaście minut później Redwing wszedł na werandę, gdzie Barbara nadal zastanawiała się nad tym, co powinna zrobić. Miała kilka możliwości.

Darren wiedział o wszystkim i zdecydowany był rozegrać sytuację po swoim. A więc na czym jej najbardziej zależało? Na Jacku.

A przynajmniej na uzyskaniu satysfakcji z cierpienia Lucy.

Sebastian przedstawił się uprzejmie. Barbara uznała, że jest niezwykle atrakcyjny. Ubrany był w dżinsy i wypłowiła koszulkę polo, ale nawet gdyby próbował, nie mógłby się wtopić w tłum.

Na szczęście Barbara w spodniach i bluzce wyglądała odpowiednio, to znaczy schludnie i profesjonalnie.

– Zatrzymałem się w domu Lucy – powiedział.

– Kiedyś to był dom mojej babci. Sprzedałem go pani Swift po śmierci Colina.

– Tak, wiem – odrzekła. Zauważyła, że jego oczy mają niezwykły odcień szarości i wydają się zauważać wszystko. Było to nieco denerwujące.

Ale nawet gdyby Redwing wiedział, że ona ma jakieś tajemnice, nigdy by nie odgadł jakie. W Mowerym najbardziej denerwujące było właśnie to, że choć wiedział wszystko, w żadnym wypadku nie należało mu zaufać.

– Czy mógłbym z panią chwilę porozmawiać? – zapytał Sebastian.

– Oczywiście. – Barbara trochę oprzytomniała i przybrała uprzejmy wyraz twarzy, jakby była w biurze Jacka i witała kolejnego gościa senatora. Nie należała przecież do kobiet, które, korzystając ze swojej urody, próbują manipulować mężczyznami. Była na to zbyt inteligentna i posługiwała się innymi walorami, czyli błyskotliwym umysłem i stalowym charakterem.

– Madison zapewne powiedziała panu, że przyjechałam do Vermontu, by wynająć dom dla jej dziadka?

– Nie miała zamiaru nikomu o tym mówić, tylko dzisiaj rano została przyłapana, gdy wymykała się z domu i musiała się jakoś wytłumaczyć. Barbara skinęła głową.

– Nie zamierzałam namawiać jej do kłamstw. Chyba niepotrzebnie prosiłam ją o dyskrecję. Mam nadzieję, że Lucy nie jest na mnie bardzo rozgniewana.

– Madison ma piętnaście lat i wie, co jej wolno, a czego nie. Inaczej mówiąc, córka Lucy została ukarana.

Barbara znów poczuła smak żółci w ustach. Ta kobieta była odrażająca.

– Jak długo zamierza pan pozostać w Vermoncie? – zapytała uprzejmie.

– Nie mam jeszcze sprecyzowanych planów.

Lucy odwiedziła mnie, gdy była w Wyomingu, i postanowiłem tu przyjechać, by zobaczyć stare kąty.

– Czy Colin kiedykolwiek miał zamiar kupić dom pańskiej babci i przeprowadzić się do Vermontu?

Sebastian potrząsnął głową.

– Absolutnie nie. Colin kochał Waszyngton.

– Madison jest podobna do niego – zauważyła Barbara z uśmiechem.

– Też tak uważam. Rzadko widywałem się z Colinem w ostatnich latach jego życia.

– Czasem zapominamy, że dzieci też mają prawo do własnego zdania – stwierdziła Barbara.

Wiedziała, że w jej głosie zabrzmiała nutka krytycyzmu, jednak Sebastian najpewniej tego nie zauważył. Znów pomyślała o sobie i o Jacku, który przez wiele lat chyba w ogóle nie spostrzegł, że jego sekretarka również ma własne zdanie w wielu sprawach... i własne uczucia.

Zawsze była przy jego boku, opanowana i kompetentna, gorliwie i bez słowa skargi wykonująca wszystko, o co ją prosił. Nigdy też nie musiał się zastanawiać, czy Barbara nie szykuje mu ciosu w plecy, w odróżnieniu od wielu innych długoletnich pracowników jego biura.

Nikt nie dorównywał jej w oddaniu i lojalności.

I do czego ją to doprowadziło? Do niczego. Absolutnie do niczego.

– Kiedy pani wraca do Waszyngtonu?

– Za dzień lub dwa. Dokładnie jeszcze nie wiem. Muszę pomóc Jackowi zakończyć różne sprawy przed urlopem.

– Dziwię się, jak sobie radzi bez pani. Politycy w lecie są chyba bardzo zajęci?

– Zwykle tak.

Sebastian nie skomentował tego więcej. Barbara zastanawiała się, czy ją przejrzał. Czy coś podejrzewał? Lucy, ten śmierdzący tchórz, na pewno już mu opowiedziała o tym, co ją spotkało.

Oczywiście to dlatego Redwing tu przyjechał. Nie po to, by odwiedzić dom babci, lecz by bronić Lucy. To było obrzydliwe. Barbara nie potrzebowała żadnego mężczyzny, by ją chronił.

Była inna. Silna. Może właśnie dlatego Jack ją odrzucił.

Sebastian uśmiechnął się i od tego uśmiechu po plecach Barbary przeszedł dreszcz.

– No cóż, nie będę udawał, że znam życie w Waszyngtonie. Lucy przysłała mnie tu, żebym zaprosił panią dzisiaj na kolację.

– Jak to miło z jej strony. Proszę jej ode mnie podziękować, ale mam już inne plany. I mam nadzieję, że kara dla Madison nie będzie zbyt surowa. Przeze mnie znalazła się w trudnym położeniu.

– Niech się pani o to nie martwi – odrzekł Sebastian i zaczął schodzić z werandy, ale w połowie schodków zatrzymał się i obejrzał.

Twarz miał zupełnie nieprzeniknioną, i chociaż Barbara uważała się za eksperta od ludzkich zachowań, nic z niej nie potrafiła wyczytać.

– Zdaje się, że mój były kolega przebywa w tej okolicy. Darren Mowery. Zna go pani?

A więc po to tu przyszedł. Wcale nie chodziło o Madison.

– Słyszałam o nim – powiedziała bez zainteresowania.

– Rok temu zboczył z właściwej drogi. To długa historia. Mam nadzieję, że się mylę i że nie ma go w pobliżu. Gdyby próbował się z panią skontaktować, proszę zawiadomić mnie albo policję. – Sebastian wpatrywał się w nią nieruchomym, przesywającym na wskroś wzrokiem.

– Jest bardzo niebezpieczny i bezwzględny. Ostrzegam panią przed nim.

– Rozumiem i dziękuję za ostrzeżenie.

Lucy, Madison i J.T. posortowali kawałki tkanin według kolorów i teraz na stole w jadalni piętrzyło się trzysta małych sześciokątów, poskładanych na kupki. Kolory były wyblakłe, a tkaniny przetarte.

– Gdy skończymy, ten patchwork będzie wyglądał jak stary – rzekła Madison z zadowoleniem w głosie.

– Taki wzór nazywa się „ogródek babci”. Będzie bardzo ładny.

– Będzie doskonały! – wykrzyknęła dziewczyna z zachwytem.

Lucy przesunęła między palcami skrawek tkaniny w białoniebieskie paski, wyobrażając sobie, jak Daisy cięła na kawałki

koszule nieżyjącego męża. Czy ta praca pomogła jej pogodzić się z jego śmiercią? A może zwykła oszczędność kazała jej wykorzystać to, co było pod ręką?

– Joshua zmarł sześćdziesiąt lat temu. Materiał jest stary.

J.T., który zrezygnował z pomocy przy sortowaniu po pierwszych stu kawałkach i wyniósł się na werandę z kilkoma pojazdami z „Gwiezdnymi Wojen”, zawołał nagle z podnieceniem:

– Mamo, ktoś zostawił kwiaty!

– Kwiaty? – ożywiła się Madison. – Ciekawe, kto?

Lucy zamarła i szybko chwyciła ją za ramię.

– Zostań tutaj.

– Dlaczego? Och, mamo, gdybyś teraz widziała swoją twarz! Jesteś biała jak papier. Z powodu kwiatów?

– Zostań i nie ruszaj się!

Wybiegła na werandę i przytrzymała również J.T., zanim zdążył wziąć do ręki bukiet. Margerytki i stokrotki. Były wygniecione i przywiedle.

Gdyby Lucy zauważyła je pierwsza, pomyślałaby, że to prezent od J.T. albo Georgiego.

– Wejdz do domu i poczekaj razem z Madison – nakazała chłopcu.

– Mamo, co się stało?

– Nic, J.T., ale idź.

Mały rozplakał się, ale posłusznie zniknął w drzwiach. Lucy poczuła, że kolana się pod nią uginają. Musiała się uspokoić. Wystraszyła dzieci i sama również była przerażona. Może niepotrzebnie? A jeśli te kwiaty naprawdę przyniósł Georgie, choć nie widziała go dzisiaj?



Przecież mógł wpaść, gdy byli zajęci sortowaniem skrawków, i zostawił kwiaty, chcąc im zrobić niespodziankę.

Bukiet był związany sznurkiem. W środku znajdowała się jakaś karteczka. Lucy wyjęła ją ostrożnie i rozprostowała.

*Lucy,  
Kocham cię z całego serca.  
Na zawsze twój,  
Colin*

Miała wrażenie, że jakieś macki ściskają ją za gardło. Nie mogła oddychać i nie widziała nic przed sobą. Potknęła się o własne stopy i zatoczyła się na schodkach.

– Lucy – usłyszała głos Sebastiana. Podtrzymał ją i powtórzył: – Lucy, co ci jest?

Z trudem łapała oddech.

– Ten sukinsyn. Ten sukinsyn! – wydyszała z bezsilną wściekłością. – Powiedz mi, czy to Barbara? Bo jeśli tak, to zaraz do niej pójdę i...

i... – Urwała, z trudem łapiąc oddech otwartymi ustami.

Sebastian prawie wniósł ją na werandę.

– Przestań, bo dostaniesz szoku tlenowego i będę musiał ci włożyć na głowę papierową torbę.

Nadmiar tlenu w płucach. Lucy wiedziała, co w takiej sytuacji należy zrobić. Zamknęła usta, policzyła do trzech, wciągnęła powietrze nosem i powoli wypuściła je ustami.

– Jeszcze dwa razy – powiedział Sebastian.

– Madison i J.T...

– Jeszcze dwa razy, Lucy. W niczym im nie pomożesz, jeśli zemdlejesz.

Wiedziała, że miał rację. Po chwili zaczęła oddychać normalnie. Wyjął jej z ręki karteczkę, przeczytał i mięśnie jego twarzy napięły się odrobinę mocniej.

– Nie spodziewałam się tego – powiedziała Lucy. – Trzeba być chorym, żeby zrobić coś takiego.

Wstała, przytrzymując się jego ramienia.

Mieszkał bez wody i prądu, wyrzekł się przemocy, walczył z własnymi demonami, ale był tu, twardy i mocny jak skała.

– Wyrzucę te kwiaty – powiedział.

Lucy skinęła głową.

– Dziękuję.

– I zadzwonię do Platona.

Opinia Sebastiana o Barbarze Allen była krótka i jednoznaczna.

– Siedzi w czymś po sam czubek głowy.

– Czy to opinia profesjonalisty? – uśmiechnęła się Lucy. – Intuicja.

Siedzieli przy stole w kuchni i pili kawę bez kofeiny. Było już dawno po kolacji. Madison i jej brat spali.

– Czy intuicja nigdy cię nie zawodzi? – spytała Lucy.

– Owszem, gdy chodzi o to, czy mam ochotę na cheeseburgera, czy nie. Natomiast nigdy przy kłamstwach, intrygach, gwałtach. – Wzruszył ramionami. – No, prawie nigdy. Zdarzało mi się pomylić.

– Czasami zapominam, czym się zajmujesz.

Gdy tu jesteś, wydajesz się całkiem zwyczajny.

– Nie jestem zwyczajny – rzekł cicho.

– A jak firma radzi sobie bez ciebie?

– Zatrudniłem dobrych pracowników.

Lucy napiła się zimnej kawy.

– Wracając do Barbary. W czym ona może brać udział? Masz jakieś podejrzenia, prawda?

Odpowiedziało jej milczenie.

– Sebastianie, zasługuję na to, żeby wiedzieć.

– Tu nie chodzi o zasługi, tylko o to, co zrobisz z tą informacją.

– Nie masz do mnie zaufania.

Zmarszczył brwi.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy. Czy to, że będziesz siedzieć spokojnie i robić tylko to, co ci każe? Na pewno nie. Czy też, że zrobisz to, co będziesz uważała za najlepsze dla bezpieczeństwa dzieci? Owszem, tak.

– Chodzi mi o zaufanie w ogóle.

– Nie ma czegoś takiego.

– Jest! To wtedy, gdy wierzysz, że druga osoba ma wewnętrzny kompas, który zawsze wskaże jej właściwy kierunek. Nie chodzi o to, by nie popełniać żadnych błędów, bo każdy je popełnia, ale by przynajmniej próbować podjąć te jedyne, właściwe decyzje.

– Nie jestem pewien, czy „właściwa decyzja” oznacza to samo dla mnie i dla ciebie.

– To też nie jest istotne. Nie chodzi o to, by dwie osoby myślały tak samo, tylko o to, by wierzyć, że ten drugi człowiek zawsze, niezależnie od okoliczności, pozostanie tym, kim jest.

Sebastian pił wystygłą kawę.

– Za dużo czasu spędziłaś w tych górach na rozmowach ze spokojnymi, poczciwymi obywatelami. Mam do ciebie zaufanie, Lucy.

– To dobrze. – Wyprostowała się. – W takim razie wreszcie powiedz mi, w co zaangażowana jest Barbara.

– W szantaż.

Lucy wypuściła kubek z ręki. Kawa rozlała się na stół. Sebastian wstał, przyniósł kilka papierowych ręczników i podał jej.

– Boże drogi! Szantaż? – powtórzyła Lucy z osłupieniem, ale po chwili zrozumiała. – Nie, tylko nie... tylko nie Darren Mowery. Sebastianie, proszę, powiedz mi...

– Bardzo bym chciał móc to zrobić, Lucy. Miałem nadzieję, że uda mi się wykluczyć udział Mowery'ego w tym, co się tutaj działo, ale niestety, nie mogę. To on za tym stoi.

Skinęła głową, oddychając szybko.

– Rozumiem – wykrztusiła.

– Nie, nie rozumiesz. Darren był moim szefem, nauczycielem i przyjacielem. Potem zszedł z właściwej drogi i musiałem go tropić. Wiedziałem, że będę musiał go zabić. – Sebastian mówił to takim tonem, jakby rozmawiali o dojrzewających w ogrodzie pomidorach. – Nie powinienem był wyjeżdżać z Kolumbii, nie upewniwszy się, że jest martwy albo siedzi w więzieniu. Nie zrobiłem tego.

Lucy zmarszczyła czoło, próbując poskładać wszystkie strzępy informacji w jedną całość.

– A teraz... Czy on szantażuje ciebie?

– Niestety nie. Wówczas sprawa byłaby prosta. Nie, on szantażuje twojego teścia.

– Co?!

– Darren skontaktował się z nim, gdy ty byłaś w Wyomingu. Jack mu zapłacił, ale gdy Darren wrócił po więcej, zdecydował się zadzwonić do mojej firmy.

– A oni zawiadomili ciebie – domyśliła się Lucy.

– Tak.

– Kiedy?

– Jeszcze przed wypadkiem przy wodospadzie.

– Widzę, że potrafisz kłamać znacznie lepiej ode mnie. I nawet od Madison. Jezu. Już tak dawno o tym wiesz?

– Potem zadzwoniłem do Jacka, lecz nie chciał podać żadnych szczegółów. Dałem mu kilka dni, żeby dojrzał, ale na razie nie chce się ugiąć.

– Mimo to wiesz, że to był Darren Mowery.

Sebastian skinął głową.

– W takim razie każ go aresztować!

– Na tym polega dowcip z szantażem, Lucy, że ofiara nie życzy sobie upublicznienia sprawy. Nie interesuje jej, czy szantażysta trafi do więzienia, chce tylko, żeby się odczepił.

Lucy nie mogła usiedzieć spokojnie. Zerwała się od stołu i wybiegła na trawnik przed dom.

Wilgotna trawa chłodziła jej stopy, wokół słyszała świerszcze. Walcząc ze łzami, próbowała uspokoić swe myśli. Szantaż! Jack był szantażowany!

Sebastian wyszedł za nią na werandę, ale nie zbliżał się. Zauważyła, że im więcej spraw miał na głowie, tym głębiej chował się w siebie i tym spokojniej wyglądał na zewnątrz. Ona sama przejawiała tę umiejętność tylko na wodzie. Gdy podczas spływu zdarzała się kryzysowa sytuacja, nie panikowała, tylko robiła, co podpowiadał jej instynkt i wyszkolenie. Teraz Sebastian zachowywał się tak samo.

- Ile Jack mu zapłacił?
- Dwadzieścia tysięcy w dwóch ratach .
- I to wszystko?
- Na razie tak.

Lucy wpatrzyła się w usłane gwiazdami niebo.

– Ja tylko chcę szyć narzutę razem z moją córką. Chcę pójść z synem na ryby. Chcę żyć własnym życiem. Cholera.

- Plato będzie tu jutro.

Skinęła głową.

Sebastian jednym palcem dotknął jej policzka.

– Lucy, gdybym mógł sprawić, żeby wszystko potoczyło się inaczej, zrobiłbym tak, nawet gdyby to oznaczało, że nie przyjedziesz do Wyomingu i nigdy więcej już się nie spotkamy.

Zacisnęła powieki, powstrzymując łzy.

- Czy myślisz, że Barbara jest zaangażowana w ten szantaż?
- Tak.
- I czy to ma coś wspólnego ze mną?
- Tak, chociaż nie wiem, co to może być.

Oparła głowę o jego pierś i objęła go ramionami.

Sebastian przytulił ją bez słowa. Po chwili łzy przestały płynąć.

– Nie znoszę płakać – powiedziała. – Nie płakałam już od lat. Tylko raz, w zeszłym roku, gdy zraniłam się w palec u nogi, a i to bardziej ze złości niż z bólu.

– Lucy, jesteś jedną z najsilniejszych kobiet, jakie znam.

– Wcale nie. Po prostu wstaję codziennie rano i robię, co mogę.

– No właśnie. Właśnie o tym mówię.

Otworzyła oczy, zobaczyła jego uśmiech i pocałowała go lekko.

– Gdybym tylko mogła – szepnęła – poprosiłabym cię, żebyś został ze mną dziś na noc.

– Lucy...

– Ale moje dzieci śpią na górze. Boją się i trzeba, żeby wiedziały, gdzie jestem.

– Kocham cię. – Dotknął jej włosów i pocałował ją w sposób, który przekonał Lucy o prawdziwości tych słów. – Zawsze będę cię kochał.

– Dziękuję.

– Dziękuję? – roześmiał się.

– No tak... nie wiem. Tak, dziękuję.

Sebastian klepnął ją w pośladek.

– Idź na górę do dzieci, zanim zapomnę o honorze i zaniosę cię do łóżka.

– To bardzo kuszące.

– Dobrze o tym wiem.

J.T. spał już, gdy Lucy weszła do jego pokoju.

Jakby przyciągana niewidzialną siłą, przystanąła przy fotografii syna i ojca.

– Colin – szepnęła, dotykając zdjęcia. – Dziękuję ci za wszystko. Za Madison, J.T. i za nasze wspólne lata. Dziękuję.

Wyszła na korytarz i przez chwilę nasłuchiwała pod zamkniętymi drzwiami pokoju Madison, a potem z uśmiechem wsunęła się do swojej sypialni i stanęła przy oknie. Niebo szybko ciemniało. Lucy myślała o wszystkim jednocześnie: o szantażu, o Jacku, o swoich dzieciach, o niebezpiecznym człowieku, który nie zginął od kuli Sebastiana, a przede wszystkim o nim samym – o Sebastianie Redwingu. Wdowa Swift znów była zakochana.

Wiadomość trafiła na jego biurko późno, około dziewiątej, a o dziewiątej piętnaście Jack Swift zrezygnował z dalszej pracy i pojechał taksówką do domu. Wiadomość należała do rutynowych. Jego pracownicy wiedzieli, że Sebastian Redwing ocalił mu kiedyś życie i był przyjacielem Colina, toteż regularnie dostarczali mu informacji na temat Redwing Associates. Happy Ford, pracująca w Waszyngtonie dla firmy Redwing Associates, została dziś wieczorem postrzelona w mieście. Jej stan jest krytyczny, ale prognozy są dobre. Nie wiadomo, czy postrzelenie miało związek z jej pracą. Dotychczas nie ma żadnych podejrzanych. Mowery. Jack przez skórę czuł, że to on postrzelił tę kobietę.



W domu wbiegł na górę i gorączkowo zaczął pakować walizkę. Lucy! Dzieci! Musiał do nich dotrzeć.

Przecież zrobiłem wszystko, czego ten drań żądał! – pomyślał z oburzeniem i rozpaczą.

A jednak zawałił sprawę. Coś zrobił nie tak.

Walizka spadła z łóżka i zawartość rozsypała się po podłodze. Jack usiadł na dywanie wśród skarpetek i bokserek, z kolanami podciągniętymi pod brodę, i wybuchnął szlochem jak dwuletnie dziecko. Nie potrafił się powstrzymać. Colin. Eleanor. Wszystko, co stanowiło sens jego życia, rozwiewało się jak dym.

Nic mu nie zostało. Zupełnie nic.

A teraz jeszcze Lucy i dzieci. Nie miał pojęcia, do czego Mowery może być zdolny.

– Jack? To był głos Sidney. Wołała go z parteru. – Jack, jesteś tutaj? Dzwoniłam do biura i powiedzieli mi, że wypadłeś stamtąd jak do pożaru. Co się stało? Po chwili już stała w progu.

– Jack... – szepnęła z osłupieniem.

– Och, Sidney, Sidney, i co ja mam teraz zrobić?

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

Lucy zignorowała protesty J.T. i z samego rana zabrała go ze sobą na jagody.

– Najlepsze racuchy to te z czarnymi jagodami – oświadczyła. – Właśnie o tej porze zaczynają dojrzewać.

– Dlaczego Madison nie może iść?

– Bo jeszcze śpi, a ty już wstałeś.

Chłopiec wykrzywił się i poszedł za nią, zgarbiony i powłóczący nogami. Wiedziała, że natychmiast by się rozpogodził, gdyby pozwoliła mu oglądać telewizję albo grać w nintendo, ale właśnie dlatego musiała zabrać go ze sobą. Podała mu dzbanek do kawy.

– To, czy pójdziesz ponury czy wesoły, zależy tylko od ciebie.

– Szkoda, że Georgie nie może z nami iść – jęknął J.T.

Lucy poprzedniego wieczoru zadzwoniła do Roba i Patti i poprosiła ich, żeby na jeden dzień zatrzymali Georgiego w domu. Teraz objęła syna ramieniem.

– Ależ ty szybko rośniesz. Stopy masz już chyba większe od moich.

Rozpogodził się i poszli razem wzdłuż zachodniej krawędzi muru, za którym zaczynał się las. Wkrótce dotarli do dużej kępy jagód i przykucnęli przy nich. Słońce grzało ich w plecy.

Prognoza pogody zapowiadała deszcz; powietrze było wilgotne i nieruchome.

– One są jeszcze zielone – stwierdził J.T.

– Nie wszystkie. Na racuchy wystarczy nam tylko kubek.

Reszta dojrzeje w przyszłym tygodniu, gdy przyjedzie dziadek. Zrobimy wtedy pączki z jagodami, ciasto jagodowe i lody jagodowe.

– Nie cierpię pączków z jagodami.

– J.T. – upomniała go matka.

Uśmiechnął się do niej znad kępy krzaczków.

Był przekonany, że za pomocą uśmiechu wydobędzie się z wszelkich tarapatów. Zupełnie jak ojciec.

– Mamo, zobacz! Mam jedną, dwie, trzy – pięć jagód! Spójrz na tę, zobacz, jaka wielka!

Chyba trafiłem na najlepsze miejsce!

– Dobrze. J.T. Zrywaj dalej.

W chwilę później chłopiec stracił zainteresowanie jagodami, lecz Lucy uznała, że mają ich już wystarczającą ilość. Przeszli przez mur i wrócili do domu.

Redwing siedział na schodkach. Gdy pomachał jej ręką, serce Lucy na chwilę oszalało jakby miała szesnaście lat. Tylko że nie była już nastolatką. Dobiegała czterdziestki, podobnie jak Sebastian. Colin był odpowiednim mężczyzną dla kobiety, jaką była kiedyś, ale ostatnie trzy lata bardzo ją zmieniły. Straciła męża,

samotnie wychowywała dwójkę dzieci, założyła własną firmę i wyprowadziła się na wieś.

– Hej, Sebastian! – zawołał radośnie J.T., biegnąc przodem.

– Cześć, J.T. Wcześnie wstajesz.

– Byliśmy z mamą na jagodach. Zobacz – opowiadał chłopiec z podnieceniem, podtykając mu dzbanek pod nos.

Lucy szła za nim wolniej. Miała pewien plan.

Była już zmęczona wyczekiwaniem na kolejny cios, wiedziała jednak, że Sebastianowi nie spodoba się to, co wymyśliła.

– Będziemy smażyć racuchy – oznajmił J.T.

Sebastian patrzył na Lucy, jakby wyczuwał, że coś zaprzęta jej myśli.

– Racuchy, tak? – powtórzył.

– Tak – potwierdziła. – Zaniose trochę Barbarze.

Chcę jej zrobić niespodziankę.

Miała rację. Sebastian nie był zadowolony z tego pomysłu.

– J.T., w twoich jagodach są łądźki. Weź je do kuchni i oczyść. Muszę porozmawiać z twoją mamą.

– Tylko się z nią nie kłóć – ostrzegł go chłopiec. – Nie jest w odpowiednim nastroju.

– Naprawdę chcesz zanieść te racuchy Barbarze? – zapytał Sebastian, gdy J.T. wszedł do domu.

– Tak. To właśnie bym zrobiła, gdybym nie podejrzewała, że jest zamieszana w szantaż i prześladowanie mnie.

– Przecież ją podejrzewasz.

– To ty ją podejrzewasz, natomiast ja nie wiem, co o tym myśleć. Nie mam za sobą dwudziestu lat doświadczeń z szaleńcami i terrorystami, tylko zabieram ludzi na ciekawe wycieczki. Jeśli

zdarza się podczas nich coś nieprzewidzianego, zawsze mam przygotowany plan awaryjny.

– Lucy – westchnął Sebastian. – Ten, kto zostawił wczoraj kwiaty, wiedział, że jesteś tu z dziećmi. Jeśli to Barbara, to wiedziała również, że ja tu jestem. Odważyła się na wielkie ryzyko, dużo większe niż w poprzednich przypadkach. Mamy do czynienia z klasyczną w przypadku nękania eskalacją, a to nie wróży dobrze.

– Ale Barbara wie, że ja dowiedziałem się o jej przyjeździe w te strony. Jeśli jej nie odwiedzę, będzie się zastanawiała, dlaczego.

– To niech się zastanawia.

– Jeśli jest niewinna, bez żadnej przyczyny zranie jej uczucia.

– Mniejsza o zranione uczucia. Jeśli jest niewinna, to zrozumie.

– Co zrozumie? Że oskarżyłam ją o podrzucenie kwiatów od mojego nieżyjącego męża?

Nie sądzę, by to zrozumiała.

– J.T. miał rację – stwierdził Sebastian. – W tej chwili nie należy się z tobą kłócić.

Lucy wbiegła po schodkach i otworzyła drzwi do domu.

– I tak jej zaniosę te racuchy – rzuciła przez ramię.

Twarz Sebastiana w pełnym słońcu wydawała się dziwnie wyostrzona. Pomyślała, że może jednak zbyt pochopnie doszła do wniosku, że mogłaby się z nim związać. Co innego zakochać się w kimś, a co innego zbudować trwałą więź.

– Plato będzie tu koło południa – usłyszała.

– To dobrze. Tymczasem możesz poodkurzać.

Sebastian zatrzasnął za nią drzwi. Roześmiała się i zajęła się przygotowywaniem śniadania.

Zawinęła racuchy w folię aluminiową i jeszcze ciepłe zawiozła do domu Barbary. Madison i J.T. zostali w domu pod opieką Roba.

Sebastian zniknął w lesie. Wysiadając z samochodu, czuła jego obecność w pobliżu. Wciąż było parno i powietrze nie poruszał nawet najmniejszy powiew wiatru.

Z wirową ścieżką podeszła do werandy i wspięła się po schodkach. Sebastian sugerował, by nie wchodziła do wnętrza domu, a Lucy uznała tę radę za sensowną.

– Barbara? Hej, to ja, Lucy!

– Tu jestem – odezwała się Barbara z werandy.

– Och, nie zauważyłam cię. Dziś rano wybrałam się z J.T. na jagody i usmażyliśmy racuchy. Przyniosłam ci trochę.

– Jak to miło z twojej strony.

Barbara wyglądała zupełnie normalnie, choć ubrana była zbyt elegancko jak na standardy obowiązujące w Vermoncie. Tak jednak wyglądał codzienny strój sekretarki Jacka Swifta.

Lucy próbowała sobie przypomnieć, kiedy spotkała ją po raz pierwszy. Chyba było to jeszcze przed ślubem z Colinem, niedługo po próbie zamachu. Barbara Allen od zawsze stanowiła część wyposażenia senatorskiego biura Jacka.

Czy fakt, że wszyscy tak się do niej odnosili, mógł ją rozwścieczyć i pobudzić do nieobliczalnych czynów?

Ale gdy Barbara z wyraźnym zachwytem wahała racuchy, Lucy nie mogła sobie wyobrazić, by ta kobieta była w stanie zakradać się do cudzych domów i spychać ludzi do wodospadu.

Byłoby to bezdennie głupie, a Barbara z pewnością do głupich nie należała.

– Ogromnie ci dziękuję – powiedziała z zachwytem.

– Uwielbiam czarne jagody.

– Tu też może rosnąć kilka krzaczków. – Lucy rozejrzała się dokoła i przy okazji zauważyła, że na koszulce ma ki a niebieskich plam. – Na pewno wystarczyłoby na kilka racuchów.

– Niestety, ale nie jestem taką miłośniczką gotowania – roześmiała się Barbara.

– Chyba każdy potrafi zrobić ciasto z pudelka.

W każdym razie mam nadzieję, że będą ci smakowały. Jak długo zamierzasz tu zostać?

– Myślę, że jeszcze dzień lub dwa. Bogu dzięki, że istnieją telefony komórkowe. W innym wypadku nie mogłabym sobie pozwolić na tak długi wyjazd.

– Tak, rozumiem – powiedziała Lucy.

Czuła się zepchnięta do defensywy i irytowało ją to. Lubiała smażyć racuchy, zbierać jagody, grzebać się w ziemi i spędzać czas z dziećmi.

Poza tym miała swoją firmę, swoją pracę, umiała poruszać się po Waszyngtonie i nie musiała niczego udowadniać. Więc dlaczego poczuła się rozdrażniona, gdy sekretarka jej teścia niby mimochodem podkreśliła, jak bardzo jest niezastąpiona?

– Mam nadzieję, że nie wpędziłam Madison w kłopoty – powiedziała Barbara.

– Nie. – Madison sama była sobie winna, pomyślała Lucy. – Nie może się już doczekać jesiennego wyjazdu do Waszyngtonu. Zresztą będzie to wielka przyjemność dla nas wszystkich.

– Jesień to moja ulubiona pora roku w Waszyngtonie. Wszystko wtedy wibruje życiem. Bardzo lubię wieś, ale... – Spojrzała na las i wzruszyła ramionami. – Przypuszczam, że ten spokój bardzo szybko zacząłby mnie denerwować.

– Przez pierwszych kilka miesięcy po przeprowadzce tak mnie nosiło, że nie byłam pewna, czy tu zostanę, ale potem polubiłam to tempo życia. Vermont nie jest takim odludziem, jak mogłoby się wydawać. Można tu robić mnóstwo rzeczy.

– Tak, przypuszczam, że turyści i właściciele letnich domów bardzo ożywiają okolicę. Jak się rozwija twoje biuro podróży?

Lucy przejmie skinęła głową. Ta kobieta zaczynała ją doprowadzać do szału. Może zasugerowała się podejrzeniami Sebastiana, bo w końcu rozmowa sprawiała wrażenie zupełnie normalnej, towarzyskiej konwersacji.

– Bardzo dobrze, dziękuję. Mamy mnóstwo pomysłów i świetny zespół. Czy Madison mówiła ci, że chcemy zorganizować wyjazdy do Kostaryki?

– Nie, prawdę mówiąc, nie rozmawialiśmy o tobie.

Lucy poczuła się tak, jakby ukłuło ją tysiąc szpilek. Ta kobieta jej nie lubiła.

– Moi rodzice przenieśli się tam, gdy przeszli na emeryturę.

– Jack mówił mi o tym. To dość dziwny pomysł, nie sądzisz?



A więc Barbara uważa, że jestem nie tylko egoistką i żyję bez sensu, ale ponadto mam jeszcze dziwną rodzinę, pomyślała Lucy.

Wzruszyła ramionami, zmuszając się do uśmiechu

– To naturalne, gdy się weźmie pod uwagę ich pochodzenie. Chcę namówić Jacka, żeby wybrał się z nami w pierwszą podróż. Może Sidney Greenburg też pojedzie. Przyjaźni się z moimi rodzicami...

– Wiem – przerwała jej Barbara. Odłożyła racuchy na krzesło i wpatrzyła się w las, na chwilę zapominając o obecności Lucy. Zdołała się jednak opanować i szybko dodała: – Muszę sprawdzić w terminarzu Jacka. Nie jestem pewna, czy będzie miał czas na wyjazd do Kostaryki.

Czyli na bzdury, dopowiedziała Lucy w myślach, ale nadal robiła dobrą minę do złej gry.

– Rozumiem, ale mam nadzieję, że jednak uda mu się wyrwać. Życie senatora musi być bardzo wyczerpujące.

– No cóż, trzeba sobie ustalić jakieś priorytety.

Jack spędzałby cały czas z tobą i wnukami, gdyby tylko mógł. Niestety, muszę go trochę powściągać. Mówienie komuś „nie” przez cały czas to bardzo niewdzięczne zajęcie, ale on to rozumie.

– Uważasz, że nie powinien tu przyjeżdżać na sierpień, prawda?

– Szczerze mówiąc, nie, na pewno nie na cały miesiąc. Prywatnie potrafię go zrozumieć, przecież poza wami nie ma innej rodziny. Ale

z profesjonalnego punktu widzenia... reprezentuje stan Rhode Island, a nie Vermont. Gdybyś przeniosła się do Providence albo do Newport, toby było zupełnie co innego – wyjaśniła Barbara ze słodkim uśmiechem.

Inaczej mówiąc, gdyby była dobrą synową.

Lucy roześmiała się swobodnie.

– Niestety, nikt nie proponował mi tak tanio domu w Providence ani w Newport. No cóż, muszę już iść i dopilnować szczegółów przed wyprawą ojców i synów.

– Musi być bardzo miło swobodnie dysponować własnym czasem – zauważyła Barbara. – Ja już przywykłam do pracy od świtu do nocy.

– Miło było się z tobą znów zobaczyć, Barbaro.

– Mnie również – odrzekła i gdy Lucy była już w połowie schodków, dodała: – Och, i uważaj na Sebastiana Redwinga.

– Dlaczego? – zdziwiła się Lucy.

– Bo myślę, że odwiedziny w domu babci nie były jedynym celem jego przyjazdu w rodzinne strony.

– Nie mam się o co martwić – wzruszyła ramionami Lucy. – Znam Sebastiana od prawie dwudziestu lat.

Barbara stanęła na szczycie schodów. Jest atrakcyjna, ale irytująca, pomyślała Lucy.

– Łatwo się domyślić, o co mu chodzi, Lucy. Ty jesteś jego ukrytym celem.

– Ja?

– Od wielu lat był w tobie zakochany. Wiedzą o tym wszyscy oprócz ciebie.

Lucy odpędziła niepokój śmiechem.

– Ach, ten Waszyngton. Prawdę mówiąc, nie tęsknię za plotkami. Do zobaczenia, Barbaro. Mam nadzieję, że racuchy będą ci smakowały.

Wróciła do samochodu i usiadła za kierownicą.

Była wściekła na siebie, na Barbarę i na to, czego ta kobieta dopuściła się wobec niej.

– Gdybym tylko miała jakiś dowód, zaciągnęłabym ją za włosy na posterunek policji!

– powiedziała głośno.

– No, no – uśmiechnął się Sebastian, otwierając drzwi od strony pasażera. – Podoba mi się twoja bojowość, Lucy.

– To nie było do ciebie.

– Podслухиwanie jest bardzo niedocenianą sztuką – stwierdził Sebastian spokojnie, wsuwając się na fotel.

– Słyszałeś moją rozmowę z Barbarą?

– Mhm. Było wesolutko. Damska wersja konkursu plucia na odległość.

– Sama nie wiem, co we mnie wstąpiło – przyznała Lucy, zbyt ostro wycofując samochód.

– Może sobie pracować po dwadzieścia cztery godziny na dobę i uważać mnie za tłumoka, jest mi wszystko jedno. Naprawdę mnie to nie obchodzi.

– Zmusiła cię, żebyś zaczęła oceniać siebie według jej standardów, a nie swoich.

Lucy wrzuciła bieg i wyjechała na drogę. Samochód zakotyłał się w koleinach.

– Kusi mnie, aby powiedzieć, że ona pracuje od rana do nocy, bo nie ma żadnego życia prywatnego. Ale nie chcę się za-

chowywać tak jak ona i oceniać jej wyborów. No cóż, masz rację. To był konkurs plucia na odległość.

– Może trochę zwolnisz? – zaproponował Sebastian. – Jeśli owiniemy się wokół drzewa, to Plato będzie musiał wychowywać twoje dzieci.

Nieco zmniejszyła prędkość i spojrzała na niego.

– Co my zrobimy z tą Barbarą?

– My?

– Ona sama się nie zatrzyma. Nie wiem, czym jej się naraziłam, ale jestem przekonana, że teraz jeszcze pogorszyłam sytuację.

– Cokolwiek zrobisz, zawsze wzbudzi to jej agresję. Barbara wybrała ciebie jako obiekt swej pogardy i nienawiści, i dobrze jej z tym. To podnosi jej samoocenę.

– Naprawdę myślisz, że ona jest w zмовie z Mowerym?

– To bardzo prawdopodobne.

– Czyli że to, czym Mowery szantażuje Jacka, może mieć coś wspólnego ze mną.

Sebastian przyjrzał się jej spokojnie.

– Czy Jack zdecydowałby się narazić swoją reputację i konto w banku, żeby chronić ciebie?

– Tak, myślę, że tak.

– Ze względu na Madison i J.T.?

– Nie tylko, choć oni są dla niego najważniejsi. Oprócz nas nie ma żadnej innej rodziny. Po śmierci Colina... – Urwała i gwałtownie zahamowała. – Och, Boże! Sebastianie, a jeśli ta sprawa ma coś wspólnego z Colinem?

– Jeśli wiesz o czymś – powiedział Sebastian cicho – jeśli choćby podejrzewasz, co to mogłoby być takiego, to powiedz mi teraz.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Colin był taki sam jak Jack, nigdy niczego nie ukrywał. Nie miał przede mną żadnych tajemnic. Zmarł nagle, nikt, nawet on sam, nie wiedział o tej wadzie serca. Nie miał czasu, żeby cokolwiek ukryć.

Przejrzałam wszystkie jego rzeczy.

– Czy prowadził dziennik?

Skinęła głową.

– Przeczytałaś go?

– Nie. Spaliłam bez czytania. A ty byś tak nie postąpił?

– Raczej nie.

Spojrzała na niego i uświadomiła sobie, że wcale nie żartował.

– Przeczytałbyś dziennik zmarłego?!

– Możliwe. W każdym razie na pewno bym go nie spalił. A gdyby tam był zanotowany sposób na przeprowadzenie syntezy jądrowej na zimno?

Lucy z trudem powstrzymała się od śmiechu.

– Jesteś okropny, Redwing.

– Trzeba cię trochę rozweselić. – Wyszczerył zęby. – A co Jack mógłby ukrywać?

– Najwyżej zapomniał uregulować jakiś drobny rachunek.

Nie podejrzewam go o nic gorszego.

– Zdjęła nogę z hamulca i znów nacisnęła na gaz. – Może Mowery i Barbara coś sfingowali.

– To możliwe – mruknął Sebastian.

Lucy westchnęła.

– Jak ty możesz zachowywać taki spokój?

– A kto mówi, że zachowuję spokój?

Dojechali do domu. Lucy natychmiast znalazła dzieciom coś do roboty w stodole. Na twarzy Roba wyczytała, że miałby wielką ochotę ją przepłytać, ale nie chciał tego robić przy Madison i J.T. Dzięki temu udało im się trochę popracować nad trasą wyprawy.

W południe, zgodnie z zapowiedzią, pojawił się Plato Rabe-deneira.

– Rany boskie – westchnął Rob, patrząc przez okno na wielką, lśniąca czarną limuzynę.

– Wiesz, Lucy, zacząłem już wierzyć, że jesteś zwykłą właścicielką biura podróży, wdową z dwojgiem dzieci, a tu raptem nadjeżdża ciężka kawaleria.

– To jeszcze nic. Powinieneś zobaczyć, co by się działo, gdybym zadzwoniła do Waszyngtonu.

– Dziadzio Jack.

Pokiwała głową.

Plato wysiadł z samochodu. Ubrany był w czarny garnitur, a na nosie miał ciemne okulary. Po spędzeniu kilku godzin w samochodzie jego utykanie się nasiliło.

– Myślisz, że jest uzbrojony? – zainteresował się Rob.

– Po zęby – mruknęła Lucy.

Wyszła przed stodołę, żeby się przywitać.

Plato pocałował ją w policzek.

– Cześć, mała – uśmiechnął się.

– Cześć. Dziękuję, że przyjechałeś. Ale zanim wpuszczę cię do domu, muszę cię z czegoś rozliczyć. – Skrzyżowała ramiona na piersiach rzuciła mu spojrzenie, które zwykle było zarezerwowane dla J.T. i Georgiego, gdy bawili się w wojnę i rzucali jej pomidorami.

– Nie mogę uwierzyć, że tak bez pardonu napuściłeś na mnie Sebastiana, wiedząc... Wiedząc to, co wiedziałeś – dokończyła niezręcznie.

Plato uśmiechnął się szeroko.

– Masz na myśli to, że jest zatwardziałym grzesznikiem, czy że jest w tobie zakochany? – Jedno i drugie.

– Szczerze mówiąc, zastanawiałem się, czy go na ciebie napuścić.

– Ha – odrzekła z satysfakcją. Ciemne okulary nie pozwalały jej dostrzec wyrazu jego oczu.

– Wciąż jest najlepszy – stwierdził Plato.

– Mam nadzieję, bo potrzebuję najlepszego.

– Gdzie on jest?

– Tutaj – odezwał się Sebastian, podchodząc do nich od strony werandy. – Po co ci ten samochód i ciemne okulary? Niewiele brakowało, żebym cię zastrzelił.

– Przecież nie masz broni, a nawet gdybyś miał, to i tak byś jej nie użył.

– Może zmieniłem poglądy?

– To dobrze. Koniec urlopu. Możesz wracać do pracy.

– Urlopu? Jezu, Plato!

Ale żarty już się skończyły.

– Mam nowiny – powiedział Rabedeneira i przeniósł wzrok na Lucy, ona jednak potrząsnęła głową.

– Nic z tego. Nigdzie nie idę. Cokolwiek chcesz powiedzieć, musisz to zrobić przy mnie.

– Sebastian? – zapytał Plato.

Lucy zgrzytnęła zębami, ale pohamowała się.

Formalnie rzecz biorąc, Sebastian był zwierzchnikiem Platona, którego wojskowe wykształcenie zmuszało do przestrzegania zasady starszeństwa.

Byli jednak przyjaciółmi, poza tym Redwing na cały rok wycofał się z gry. Mimo to, ku rozczarowaniu Lucy, ostatnie słowo należało do Sebastiana, który udzielił łaskawego przyzwolenia, rzucając Platonowi krótkie słówko:

– Mów.

– To nie są dobre nowiny. Happy Ford została wczoraj postrzelona w Waszyngtonie. Jest w krytycznym stanie, ale powinna się z tego wylizać.

Na nieruchomej twarzy Sebastiana nie odbiła się żadna reakcja.

– Czy ma wszystko, czego potrzebuje?

– Wszystko.

Sebastian zatrzymał wzrok na zielonych wzgórzach na horyzoncie.

– Mowery?

– Jeszcze nie udało nam się z nią porozmawiać.

– W takim razie nie wiemy, gdzie on jest.

– Nie. Happy wczoraj była przekonana, że trafiła na trop. To była ostatnia wiadomość od niej.



– Jeśli umrze, będzie to moja wina – stwierdził Sebastian, ale Plato potrząsnął głową.

– Jeśli umrze, będzie to wina tego, kto pociągnął za spust.

– Powinienem być go zabić rok temu.

– Tylko rok? A dlaczego nie piętnaście? Albo w dniu, kiedy go poznałeś?

Madison i J.T. wybiegli ze stodoły. Sebastian przymrużył oczy.

– Masz się nimi zaopiekować – powiedział do przyjaciela.

Plato smętnie pokiwał głową.

– Tego się właśnie obawiałem.

– Zabierz je stąd w jakieś bezpieczne miejsce – dodał Sebastian i poszedł do domu.

Lucy usłyszała trzaśnięcie drzwi i spróbowała się uśmiechnąć.

– Trochę jestem spięta – wyjaśniła.

– To dobrze – stwierdził Plato. – Będiesz bardziej czujna.

– Co mam teraz zrobić?

– Pomóż dzieciom spakować rzeczy. Dwie zmiany ubrania, dwie pary butów, przybory do mycia, żadnych zwierząt.

– Śpiwory? Mam dużo turystycznej żywności, konserwowej metodą liofilizacji...

Usta Rabeledneiry zadrgały.

– Lucy, ja nie zabieram ich w góry, tylko do jakiegoś motelu.

– Zadzwonisz? – zapytała nieśmiało.

– Nie. Jeśli zadzwonię, będzie to oznaczało, że mamy jakieś kłopoty.

Z wrażenia ugięły się pod nią kolana.

– Plato, nie wiem, czy mogę...  
– Możesz pojechać z nami.  
– Nie. – Potrząsnęła głową. – Nie. Muszę zakończyć tę sprawę tutaj. Ufam ci.

Ujął ją pod brodę i powiedział:

– Zaufaj Sebastianowi.  
– Mamo – zawołała Madison. – Co się właściwie dzieje?  
– Niezła bryka – stwierdził J.T. z niekłamany uznaniem.  
Lucy zupełnie nie wiedziała, jak im to wszystko wyjaśnić.  
– Chcę, żebyście pojechali z Platonem. Nie wiem na jak długo, może na kilka godzin, a może na kilka dni, dopóki nie wyjaśnimy pewnych rzeczy. On się wami zaopiekuje.

Madison pobladła.

– Mamo, a co z tobą?  
– Nie martw się o mnie. Zostanę tutaj z Sebastianem i może uda mi się odwalić trochę roboty.

Uwaga J.T. skupiona była na samochodzie.

– Mogę jechać na przednim siedzeniu?  
– Jasne – uśmiechnął się Plato.

Madison również spróbowała się uśmiechnąć, ale wypadło to błado. Była starsza od brata i więcej rozumiała. Usiłowała jednak być dzielna.

Lucy widziała, jak jej córka walczy z paniką.

– Czy... czy mogę zabrać mój patchwork?

Lucy wiedziała, że chodzi jej o znalezione na strychu skrawki materiału, ale Plato nie miał o tym pojęcia.

– Patchwork? – westchnął. – Tak, oczywiście. Zabierz swój patchwork.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

Plato stanął w drzwiach pokoju J.T.

– Ten dzieciak pakuje się, jakby wyjeżdżał na tysiąc lat z okładem – powiedział do Lucy.

– A twoja córka jest jeszcze gorsza. Lepiej zejdź na dół i napij się lemoniady, a ja ich przypilnuję.

Skinęła głową.

– Są zdenerwowani.

– Zabierają za dużo rzeczy. Nie przyjechałem tu samochodem do przewozu mebli. Idź. Zaraz to skończymy. – Oderwał się od drzwi i podszedł do łóżka chłopca. – Skąd ty bierzesz te wszystkie śmieci?

– To nie śmieci, tylko moje rzeczy!

– Sporo tego masz – mruknął Plato, biorąc do ręki jedną z zabawek. – O, jaki ładny helikopter. Właśnie z takich skakałem.

– Naprawdę? – sapnął zachwycony chłopiec.

Lucy szybko oceniła sytuację i stwierdziła, że przystojny eks ratownik, który skakał ze spadochronem, rewelacyjnie przeklinał i znał się na helikopterach, poradzi sobie z jej synem znacznie lepiej niż ona, a przy tym zredukuje bagaż do jednej pary spodenek na zmianę. Miała nadzieję, że Plato znajdzie również jakiś sposób na Madison.

Zeszła do kuchni. Nie miała pojęcia, gdzie się podział Sebastian. Rob pojechał do Manchesteru po zakupy. Nie było już lemoniady. Wyjęła z lodówki zamrożoną puszkę koncentratu, włożyła ją do zlewu i puściła gorącą wodę.

Podskoczyła nerwowo, gdy zadzwonił telefon.

– Lucy? Bogu dzięki. Mówi Sidney Greenburg. Jack ma kłopoty.

Szantażysta, pomyślała natychmiast. Ciekawe, ile Jack zdecydował się wyznać Sidney?

– Jakie kłopoty?

– Powiedział mi o szantażu. Co o tym wiesz? Bardzo niewiele, prawda? On jest beznadziejny, choć wydaje mi się, że zachowuje się szlachetnie.

Obrzydliwa sytuacja.

– Wiem – powiedziała Lucy, wpatrując się w puszkę stojącą w zlewie. – Powiedz mi wszystko, co wiesz, Sidney. Zniosę to.

– Oczywiście, że zniesiesz. Próbowалам przekonać o tym Jacka. Jakiś bandyta o nazwisku Darren Mowery szantażuje go romanssem, który Colin ponoć miał niedługo przed śmiercią. Jakoby są zdjęcia. Nie wiem, czy Jack zna nazwisko tej kobiety, ale mi nie powiedział. Przypuszczam, że to ktoś, kim mogłyby się zainteresować media, ale diabli wiedzą.

Lucy wsunęła palec pod strumień gorącej wody. Romans? Colin?

– To jakaś bzdura. Colin nie miał żadnego romansu. A gdyby nawet miał, to już nie żyje i była to jego prywatna sprawa.

– Wiem! To samo mówiłam Jackowi. Ale on twierdzi, że tego rodzaju plotka, gdy rozejdzie się po Waszyngtonie, zaczyna

żyć własnym życiem. Próbowалаm go przekonać, że to brednie i że powinien natychmiast zadzwonić do ciebie. Był bardzo przygnębiony. Naprawdę sądził, że płacąc temu draniowi, chroni ciebie i dzieci.

– Nie potrzebuję, by ktokolwiek chronił mnie przed prawdą – powiedziała Lucy i wyczuła smutny uśmiech Sidney po drugiej stronie słuchawki.

– Chciał dobrze. Wasz los bardzo mu leży na sercu. I nigdy nie doszedł do siebie po śmierci Colina. Nie udało mu się uratować jego życia na korbie, więc chce przynajmniej ochronić jego reputację.

– Gdzie on teraz jest? Czy to on kazał ci do mnie zadzwonić? Sidney wzięła głęboki oddech.

– Lucy, to jeszcze nie wszystko. Jack pokazał mi zabezpieczoną stronę internetową. Ten cały Mowery umieścił tam zdjęcia twoje i dzieci. Bardzo niedawne zdjęcia, może nawet z ubiegłego tygodnia.

– Jezu – szepnęła Lucy.

– Jack był przerażony. Zrozumiał to jako zawaalowaną groźbę, że jeśli nie będzie współpracował i wypełniał wszelkich poleceń, ten facet dobierze się do ciebie i wnuków.

Lucy zakręciła kran.

– Sidney, przecież łatwiej mu będzie dotrzeć do mnie właśnie wtedy, gdy Jack będzie z nim współpracował!

– Wiem. Ale muszę ci powiedzieć, że gdy zobaczyłam te zdjęcia, też przestałam myśleć. Ja również w takiej sytuacji wypisałabym Mowery’emu czek na wszystkie swoje pieniądze... co

do centa. Ale... – Urwała i jej głos przeszedł w szloch. – Lucy, Jack zniknął! Nie mam pojęcia, co teraz zrobić.

– Zniknął? Jak to: zniknął?

– Mieliliśmy się spotkać w moim biurze godzinę temu i zadzwonić do ciebie razem. Jack nie przyszedł. Zadzwoniłam do jego biura, ale w ogóle go tam dzisiaj nie było. Poszłam więc do niego do domu... Właśnie stąd dzwonię... I tu też go nie ma.

– Sidney, zadzwoń na policję i powiedz im absolutnie wszystko, dobrze? Zaraz kogoś tam przysła. Cholera jasna. Cholera! – powtórzyła Lucy z napięciem, postukując puszką koncentratu o szafkę. – Obydwoje z Jackiem czekaliśmy za długo, próbując chronić siebie nawzajem. Och, Sidney... Tak mi przykro.

– Lucy?

– Ktoś mnie tu prześladowa – wyrzuciła z siebie.

– Myślałam, że to Barbara, ale teraz... nie wiem. Może ktoś jej tylko używa jako zasłony dymnej. – Potarła czoło z frustracją. Zbyt wiele na nią spadło. – Nic z tego nie rozumiem. Są tu Plato Rabeledeneira i Sebastian Redwing.

– Lucy, posłuchaj mnie, Lucy! – ożywiła się nagle Sidney. – Jakieś dwa tygodnie temu Barbara Allen wyznała Jackowi, że potajemnie podkochuje się w nim od dwudziestu lat.

– Och, nie!

– Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że ten Mowery zrobi z tego użytek. Ona uważa się za najtwardszą osobę na świecie, ale trochę przypomina żółwia: twarda skorupa chroni miękkie wnętrze. Będzie wściekła, gdy się przekona, że Mowery nią manipulował. Mogę się założyć, że prędzej wpadnie w szal,

niż przyzna się do słabości. Gotowa jest zrobić wszystko, żeby tylko nikt nie zauważył tego miękkiego wnętrza.

Lucy zdobyła się na uśmiech.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziała do słuchawki.

– Moja mama jest psychiatrą, a ja antropologiem. Pochodzę z rodziny, w której wszyscy myślą za dużo. Uważaj na siebie, słyszysz? – mówiła Sidney pospiesznie. – Liczę na ten wyjazd do Kostaryki.

Odłożyła słuchawkę. Lucy nadal stała pośrodku kuchni, drżąc na całym ciele. Nieoczekiwanie pojawił się za nią Sebastian. Obróciła się i stanęła twarzą do niego.

– Znów podsłuchiwałeś? Do diabła, Redwing! Jak śmiesz! – Z irytacji kopnęła szafkę. – To była prywatna rozmowa!

Sebastian chwycił jej rękę.

– Możesz krzyczeć, ile tylko chcesz. Nie jestem tu po to, żebyś poczuła się lepiej ani żeby stosować się do twoich zasad, tylko po to, żeby Darren Mowery nie zabił już nikogo więcej!

– Tu nie chodzi o ciebie!

– Owszem, chodzi o mnie. O mnie i o błąd, który popełniłem przed rokiem. Celem Mowery’ego nie jest zaszantażowanie Jacka romansem Colina, który wymyślili razem z Barbarą Allen. Nie chodzi mu o dwadzieścia tysięcy ani o głos twojego teścia w senacie. Jack nie zna tego człowieka. Ty też go nie znasz.

– A ty?

– Ja go znam.

Lucy przeżyła olśnienie.

– Chodzi mu o ciebie. Och, mój Boże. To jest zemsta, tak? Sebastian, zanim puścił jej rękę, z czułością je ucałował.

– Lucy, gdy zechcę popływać kajakiem, skrupulatnie będę się stosował do twoich instrukcji. Obiecuję.

Skinęła głową i spróbowała się uśmiechnąć.

– Trzymam cię za słowo. Potrafisz odgadnąć, gdzie jest teraz Mowery?

– Nie tutaj. Jeszcze nie. Myślę, że kazał Barbarze wracać do Waszyngtonu. Sidney zadzwoni na policję, a oni przystąpią do działania.

– Też powinniśmy zadzwonić na miejscowy posterunek. Poproszę ich, żeby byli dyskretni...

– Lucy, ja ich znam. Z połową z nich chodziłem do szkoły. Niech zawiadomi ich policja waszyngtońska. Na razie, jeśli Mowery porwał

Jacka, to ma nad nami przewagę.

– On go zabije!

– Zabije każdego, kto będzie mu przeszkadzał.

Lucy podeszła do tylnych drzwi.

– Pójdę uświadomić Barbarę, w co się wpakowała. Może to ją otrzeźwi.

– Nie podziękuję ci za to.

– Nic mnie to nie obchodzi.

Wyskoczyła za próg i zbiegła po schodkach, próbując się uspokoić. Sebastian ruszył za nią.

Zdawało się, że szedł wolno, ale bez trudu się z nią zrównał.

– Idę z tobą – powiedział.

Zatrzymała się i stanęła twarzą do niego. Po zachodniej stronie nieba gromadziły się ciemne chmury. W powietrzu zbierała się wilgoć.



– Chcesz ze mną iść tylko dlatego, bo wolisz, żebym nigdzie się nie ruszała bez obstawy. W gruncie rzeczy jesteś samotnikiem. – Przechyliła głowę i obrzuciła go długim, przenikliwym spojrzeniem. – Łatwiej było mnie kochać z daleka.

Bez ostrzeżenia pocałował ją mocno, a potem powiedział z uśmiechem:

- W ogóle nie jest łatwo cię kochać.
- Sebastian...
- Później. Teraz chodźmy. Nie mogę uwierzyć, że Gruby Larry z dziewiątej klasy jest szefem posterunku policji.

Barbara wsunęła się ukradkiem przez tylne drzwi do stodoły Lucy. Minęła czółna, kajaki, kamizelki ratunkowe, sprzęt ratowniczy i zatrzymała się przed częścią biurową. Jakie to żałosne, pomyślała. Lucy zamieniła pracę w prestiżowym waszyngtońskim muzeum na tę rudere.

Biurko zrobione było ze starych stajennych drzwi, położonych na koziołkach domowej produkcji.

Obok piecyka elektrycznego stał drugi, opalany drewnem, a ściany pokryte były plakatami z krajobrazami Nowej Anglii, wybrzeży Kanady i Kostaryki. Gdyby nie waszyngtońskie konksje Lucy, jej firma już dawno by upadła.

Na biurku znajdowało się plastikowe pudełko pełne zdjęć Madison i J.T. Barbara zauważyła, że nie było fotografii Colina ani Jacka, zupełnie jakby Lucy chciała ich całkiem wymazać ze swojego życia. Przyjechała do Vermontu, by zacząć nowe życie, i rzeczywiście to zrobiła.

A teraz zdążyła już owinąć sobie Redwinga dokoła małego palca. Zapewne Rabedeneirę też. Czy żaden z nich nie potrafił jej przejrzeć?

Barbara jednak była mądrzejsza od nich. Ludzie byli głupi, a szczególnie mężczyźni. Przekonała się o tym podczas dwudziestu lat pracy w Waszyngtonie.

Gdyby tylko Jack wyznał jej miłość, gdyby miał odwagę wypowiedzieć słowa, o których marzyła: „Och, Barbaro, przez te wszystkie lata 338czekałem, aż okażesz mi choćby ślad zainteresowania.

Nawet gdy Eleanor jeszcze żyła, marzyłem, że kiedyś będziemy razem”.

Oczywiście były to sentymentalne bzdury.

W prawdziwym życiu Jack poklepał ją po ramieniu i jak najszybciej się jej pozbył. No cóż, okazał się kolejnym głupim mężczyzną. Dwadzieścia zmarnowanych lat.

Pogładziła kolbę rewolweru Smith&Wesson, kaliber 38, który przed laty wykradła ojcu. Było to wtedy, gdy uczył ją i jej siostry strzelać. Do tej pory przeszukiwał dom, zastanawiając się, co mogło się stać z pistoletem.

Jej ojciec był prostym, nieokrzesanym mężczyzną. Rewolwer był staroświecki, wręcz śmieszny w czasach półautomatycznych karabinków, ale Barbara dobrała do niego tłumik i wiedziała, że może na nim polegać.

Madison zadzwoniła do niej wcześniej ze swojego pokoju.

– Pakuję się – powiedziała. – Proszę nikomu nie mówić, że dzwoniłam, dobrze? Nie chciałam,

żeby pani poczuła się zlekceważona. Dzieją się tu jakieś dziwne rzeczy i mama ściągnęła Platona, żeby gdzieś zabrał J.T. i mnie.

– Boisz się?

– Staram się nie bać. Za kilka minut wyjeżdżamy.

Teraz Barbara ostrożnie wyjrzała przez uchylone drzwi na podwórze. Plato stał przy samochodzie.

Był przystojny, ale lekko utykał i wydawał się nie na miejscu wśród wzgórz Vermontu.

Przypomniała sobie, że podczas próby zamachu na prezydenta Rabedeneira został ranny. Upadł wtedy na ziemię, nie wydając głosu.

Wsunęła broń za pasek i przykryła koszulą.

Nie miała żadnego konkretnego planu. Widziała, że Sebastian i Lucy poszli dokądś przez łąkę.

Czyżby ją podejrzewali? Może Lucy zatrula także umysł Redwina?

Wysunęła się ze stodoły i szła przez podwórze w stronę wendy. Mogła powiedzieć, że chce podziękować Lucy za racuchy. Albo zaprosić ich na kolację. Na spaghetti. Wszystkie dzieci uwielbiały spaghetti.

Nie mogła pozwolić im wyjechać.

Na schodkach pojawiła się Madison. Barbara zauważyła, że petunie potrzebują wody.

Lucy zaniedbywała je, tak samo jak swoje dzieci. Dziewczyna sprzeczała się o coś z Platonem.

– Przecież pozwoliłeś, żeby J.T. zabrał ze sobą pojazdy!

Plato zaklął pod nosem.

– Niech już będzie. Tylko się pospiesz.

– Zaraz wrócę! – wykrzyknęła Madison triumfalnie, znikając w głębi domu. – To będzie przepiękny patchwork!

Patchwork? Dobry Boże, zdumiała się Barbara.

Madison nigdy nie przygotowuje się do konfrontacji z prawdziwym światem, jeśli będzie tu dorastać, szyjąc patchworki, zrywając fasolę i chodząc samopas po lesie. Ktoś musi wreszcie nimi wszystkimi potrząsnąć, żeby oprzytomnieli.

Wyciągnęła rewolwer zza paska, nie wiedząc dlaczego. Na wszelki wypadek. Posłuchała głosu instynktu.

W tym momencie Plato ją zauważył.

– Madison, na ziemię! – krzyknął, sięgając po broń. Dziewczyna skoczyła w jego stronę i złapała go za ramię.

– Nie, nie, to Barbara! Nasza przyjaciółka!

Plato brutalnie rzucił ją na ziemię.

– Nie ruszaj się! – zawołał, jednak dziewczyna zerwała się na nogi i rzuciła się na niego jak oszalone zwierzę.

– Jesteś maniakiem! Wszyscy jesteście maniakami!

Barbara strzeliła, zanim Plato wyciągnął broń. Zdażył się jednak uchylić. Jego doskonały refleks w połączeniu z krzykiem Madison sprawiły, że Barbara chybiła i kula trafiła go w prawe ramię. Natomiast druga otarła się o jego skroń.

Na wpół przytomny Plato z twarzą zalaną krwią osunął się na ziemię. Madison krzyczała jak oszalała. Barbara pochwyciła ją za łokieć.

– Wstawaj i przestań wrzeszczeć.

– Zabiłaś Platona! – szlochała dziewczyna z twarzą zalaną łzami.

– Zabiję go, jeśli natychmiast się nie zamkniesz i nie pójdziesz ze mną! – Barbara wzięła głęboki oddech. Głowa ją bolała, ale teraz już jasno widziała swój cel i wiedziała, co musi zrobić. – Gdzie jest twój brat?

– J.T.! Uciekaj! Biegnij po mamę i Sebastiana!

Barbara uderzyła ją w twarz kolbą rewolweru.

Madison stłumiła krzyk. Nad łękiem zaczęła przeważać wściekłość. Była niesłychanie podobna do Colina, ale zepsuta przez matkę.

Plato leżał bez ruchu na podjeździe. Krew spływająca z jego twarzy wsiąkała w ziemię.

Tylko Lucy mogła zostawić swoje dzieci pod opieką obcego człowieka. Barbara uznała, że nie ma sensu go zabijać. Bardziej interesowało ją znalezienie chłopca. Mógł jej przysporzyć problemów.

– Nie zabijaj Platona – prosiła Madison, szcękając zębami. – Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. To moja wina. Zaufałam ci!

Barbara przyłożyła lufę do jej skroni.

– No cóż, lepiej nie dawać mu okazji, by zabił mnie. Twojej matki nie obchodzi, co się z tobą stanie. Mogę ci to udowodnić. Wyratowała Sebastiana Redwinga z Wodospadu Joshui. Czy myślisz, że wyratuje ciebie?

Madison zacisnęła usta.

– Sama się uratuję!

– No widzisz. Masz dopiero piętnaście lat, a możesz liczyć tylko na siebie. Chodź, Madison.

Powoli. Krok po kroku.

Jack trzymał głowę wysoko, usiłując ocalić resztki godności.  
– Porwanie senatora Stanów Zjednoczonych nie ujdzie ci na sucho.

Mowery wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– I co z tego?

Prowadził samochód, uzbrojony w półautomatyczny karabinek. Byli już o kilka minut drogi od domu Lucy. Jack wciąż nie rozumiał, co się właściwie zdarzyło. Przyjaciel, również senator, pożyczył mu prywatny samolot. Jack, doświadczony pilot, zamierzał polecieć do Vermontu, opowiedzieć Lucy o niedawnych zdarzeniach i razem z nią przedyskutować wszystkie możliwości.

Tymczasem na lotnisku czekał na niego Mowery.

Szantażysta zmienił się w porwacza.

Mowery pilotował samolot. W Vermontcie czekał już na niego samochód. Jego sposób na utrzymanie Jacka w posłuszeństwie był prosty. Co kilka minut powtarzał mu te same słowa:

– Jack, ja jestem ekspertem, a ty tylko nadętym senatorem. Jeśli będziesz próbował zrobić jakieś głupstwo albo jeśli mnie po prostu zdenerwujesz, to zabiję cię, a potem Lucy i twoje wnuki.

– Czego chcesz? – wychrypiał wreszcie Jack.

– Jeszcze na to nie wpadłeś?

– Jeśli chodzi o pieniądze...

– Gdyby chodziło o pieniądze, to zająłbym się jakimś senatorem z większym funduszem powierniczym. Chryste, Jack. Jak

na waszyngtońskie standardy, nie jesteś wart zbyt wiele i chyba o tym wiesz?

– Poświęciłem całe życie służbie publicznej.

– Za to marnie płacą.

– Więc o co ci chodzi? O władzę? O mój głos w senacie?

Czy ktoś inny ci płaci? Gdybym wiedział, to może byśmy doszli do jakiegoś sensownego kompromisu.

– Nic z tego. Już kiedyś miałem swoją szansę. Taki interes można zrobić tylko raz w życiu i dobrze o tym wiedziałem. – Prowadził samochód spokojnie i pewnie, nie było po nim widać nawet śladu zdenerwowania. – Ale Redwing Associates zaczęło mi już krzyżować szyki.

Sebastian rozповідаł, że tracę bystrość umysłu.

– Ja słyszałem inną wersję – mruknął Jack.

– A kto mówi prawdę senatorom? Po to są te całe przesłuchania przed komisją senacką. Musicie się przekopywać przez tony bzdur, żeby cokolwiek z kogokolwiek wyciągnąć. – Zerknął na Jacka przez ramię. – Nie działa ci to czasem na nerwy?

– Nie.

– No, ty zawsze jesteś świętszy od papieża. A ja stałem na skraju bankructwa. Wyszkolenie tego sukinsyna kosztowało mnie miliony, dosłownie miliony. Żyje jak pieprzony mnich, ale jest wart... no, w każdym razie on nie potrzebował pożyczać samolotu, żeby tu przylecieć.

Jack sądził, że Mowery przesadza, ale wolał zachować tę myśl dla siebie.

– To bardzo stara historia. Uczeń, który przerasta mistrza.

– Ten dureń niczego nie rozumiał. Dowiedziałem się o planie porwania i sam się w to włączyłem, ale miałem zamiar dopilnować, żeby prawdziwym bandytom nie uszło to na sucho.

– A czy ty sam nie stałeś się wtedy bandytą?

– Nie, ty durniu! Chciałem wypuścić porwanych całych i zdrowych.

– A co z okupem?

– To był mój jedyny grzech, bo forszę miałem zamiar zatrzymać. Uznałem, że należała mi się za ocalenie tych ludzi.

– Ale skoro to ty naraziłeś ich na niebezpieczeństwo...

Skręcili na drogę prowadzącą do domu Lucy.

– Wiesz co, Jack? Mam propozycję. Może byś się wreszcie zamknął?

– Chodzi ci o Sebastiana?

– No, wreszcie na to wpadłeś. Udało ci się. Jeśli kiedyś zamieszkał w Rhode Island, to masz mój głos jak w banku. A teraz zamknij się.



## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

Lucy dotknęła ramienia Sebastiana, ale on już zatrzymał się na stromej ścieżce. O kilka metrów nad nimi znajdowała się droga, osłonięta drzewami.

– Zdawało mi się, że coś słyszałam.

– Mnie też – odrzekł cicho Sebastian.

Drogą nadjeżdżał jakiś samochód. Sebastian wdrapał się po zboczu kilka metrów wyżej i przykucnął za krzakiem. Nie był to samochód

Barbary ani czarna limuzyna Platona.

– Widziałeś, kto to? – zapytała Lucy, która stała niżej.

Sebastian szedł do niej i wsunął jej w dłoń należącą do niej komórkę.

– Mowery. Lucy, on ma Jacka. Zawiadom miejscową policję. Powiedz im, że prawdopodobnie mają do czynienia z porwaniem senatora. Niech się skontaktują z policją na Kapitolu.

– Jack... czy on wyglądał...?

– Siedział na fotelu pasażera. Wyglądało na to, że jest cały i zdrow.

– Czy mam zawiadomić Platona?

– Jeśli jeszcze nie wyjechał. A jeśli już go nie ma, to idź na posterunek albo do przyjaciół i nigdzie się stamtąd nie ruszaj.

To znaczy, absolutnie nie ośmielam się ci rozkazywać, co masz robić – dodał z wisielczym humorem.

– W tych okolicznościach możesz się nie krepować. A ty co chcesz zrobić? Jeśli Mowery’emu chodzi o zemstę, to sam pakujesz mu się w łapy. Nawet nie jesteś uzbrojony.

On jednak już zagłębił się w las. Lucy patrzyła, jak zniknął za wielkim głazem, a potem szybko wróciła na ścieżkę, po drodze nerwowo wystukując numer policji. W końcu udało jej się połączyć z Larrym, szefem posterunku, i pokrótce streściła mu wszystkie fakty.

– Wracam teraz do domu. Czekam na was – powiedziała na koniec.

– Dobrze. Proszę tam zostać.

– Tylko, na litość boską, nie zaczynajcie od razu strzelać z armat, bo ten bandyta zabije mojego teścia.

– Jezu Chryste – jęknął Larry. – Przyjedziemy do pani, ale to zajmie dłuższą chwilę.

Lucy rozłączyła się i przyspieszyła kroku. Po chwili dotarła do murku na skraju łąki. Plato, który wyrósł jak spod ziemi, pochwycił ją wpół.

– Lucy – powiedział. Z jednej strony jego głowy płynęła krew. Był bez marynarki, a koszulę na ramieniu miał poszarpaną i również zakrwawioną. Jego twarz miała popielaty odcień. – Lucy, ona zabrała Madison, a teraz chyba ma już i J.T.

– Och, nie. Och, Boże – wyszeptala Lucy, zdjeta zgrozą. – Mówisz o Barbarze? Gdzie ona jest?

– Wodospad. Strzelała do mnie. Zaraz zemdleję. Dzwon na policję. – Skrzywił się, z trudem chwytając oddech. – Gdzie jest Sebastian?

– Gdzieś poszedł.

– To dobrze.

Lucy potrząsnęła głową.

– Mowery ma mojego teścia.

Plato zaklął, osuwając się w rosnące pod murem paprocie.

– Policja już jedzie. Idź do domu.

– Twoje dzieci...

– W tym stanie i tak im nie pomożesz, a poza tym nie znasz drogi. Ja pójdę. Znam skrót.

– Zawaliłem sprawę – jęknął Plato. – Nie wiedziałem, że Madison zna Barbarę i że ją lubi. Powinienem był to przewidzieć. – Nie przyszło mi do głowy, żeby ci powiedzieć. Przepraszam.

– Na szczęście ta pieprzona suka nie umie za dobrze strzelać.

Lucy szybko sprawdziła jego rany. Były nieprzyjemne, ale nie zagrażały życiu. Podała mu komórkę.

– Przed chwilą dzwoniłam na policję. Zadzwoń jeszcze raz.

Dasz radę dojść do domu?

Plato popchnął ją na ścieżkę.

– Idź. Ta kobieta jest obłąkana. Musisz bardzo uważać. Staraj się zyskać na czasie, dopóki nie przyjedzie policja. – Wyciągnął do niej wielki, czarny pistolet. – Weź to.

– I co mam z tym zrobić?

Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Masz rację. Jeszcze byś sobie odstrzeliła stopy. Idź już.

Barbarę bolały już nogi, ale nadal ze wściekłą determinacją wspiwała się w kierunku wodospadu.

– Teraz się przekonasz, że twoja matka wcale o ciebie nie dba. Sama zobaczysz – powtarzała przez całą drogę.

– Moja matka nigdy nas nie uderzyła ani nie groziła pistoletem!

– Ale zrobiła coś o wiele gorszego. Gdyby nie urządziła wam prania mózgow, to nie musiałabym ci grozić bronią. To jej wina. A ja to robię dla twojego dobra. Sama się przekonasz, co ona z wami zrobiła.

Tym razem Madison nie odpowiedziała. J.T. również szedł z nimi. Barbara znalazła go w stodole, gdzie próbował się ukryć. Musiała wystrzelić w jego stronę, by się jej podporządkował, ale strzał zrobił swoje. Od tamtej chwili J.T. nie odezwał się ani słowem. Był przestraszony.

On też przeszedł pranie mózgu. Barbara zamierzała wysłać tę dwójkę dzieciaków do Waszyngtonu na dobrą terapię. Nie chciała, by wychowawcze metody ich matki pozostawiły trwałe blizny na ich psychice.

Teraz wreszcie miała jasne widoki na przyszłość.

Zajmie się dziećmi Colina, wnukami Jacka, dopilnuje ich wychowania i wykształcenia. Wychowa je tak, jak powinny być wychowywane dzieci o nazwisku Swift. To była wina Lucy, że w tej chwili drżały z lęku. Wyłącznie wina Lucy.

Zza skał słychać już było szum wodospadu.

Zaczął padać deszcz, a raczej chłodna, nieprzyjemna mżawka. Madison i J.T. chyba w ogóle tego nie zauważyli. Wiejskie tłumoki.

J.T. poślizgnął się na mokrym kamieniu i obtarł sobie kolano, ale zaraz się podniósł i nawet nie jęknął. Barbara poczuła zadowolenie. Podobnie jak ojciec i dziadek, zachowywał stoicyzm.

– Nie zatrzymuj się, J.T. – szepnęła do brata Madison. – Wszystko będzie dobrze, obiecuję ci. Nie pozwolę, żeby ona cię skrzywdziła.

Barbara miała ochotę ją uderzyć. Powstrzymała się w ostatniej chwili.

– Gadasz jak twoja matka. Przestań nastawiać go przeciwko mnie.

– Nie muszę tego robić. Sama to zrobiłaś.

Co za tupet! Barbara zgrzytnęła zębami, ale w porę przypomniała sobie, że obdarzona jest żelazną samodyscypliną. Miała przed sobą jasny cel: pokazać tym dzieciakom prawdę. Musiały wreszcie przejrzeć na oczy.

Zatrzymali się na skałach nad wodospadem.

Deszcz był coraz silniejszy i chłodniejszy. Barbara skinęła głową.

– A teraz słuchajcie. Madison, weź linę.

– Rzuciła jej gruby sznur, który zabrała ze stodoły. – Jeśli zrobisz coś głupiego, to zastrzelę cię albo twojego brata, albo was oboje. Rozumiesz?

Dziewczyna skinęła głową. Była blada. Na jej rudych włosach lśniły krople deszczu. Miała piękny kolor włosów. Potrzebowała tylko dobrego fryzjera, by je odpowiednio przyciął.

Barbara wskazała na linę.

– Obwiąż się jednym końcem w pasie. Przypuszczam, że matka nauczyła cię wiązać węzły? Nie radzę ci się pomylić.

– Wypuść J.T. – poprosiła Madison, drżącymi rękami zaciskając linę w talii. – To wszystko moja wina, on nic złego nie zrobił! Plato by cię zastrzelił, gdybym go nie powstrzymała. J.T. o niczym nie wiedział...

Barbara pomachała rewolwerem.

– Zwiąż tę linę.

J.T., stojący na krawędzi skały, rozszlochał się na głos. Popatrz, Lucy, pomyślała Barbara ze złością, popatrz, co zrobiłaś temu chłopcu!

Madison zacisnęła węzeł. Nawet Barbara, która nie miała pojęcia o węzłach, musiała przyznać, że wyglądał solidnie.

– Bardzo dobrze – powiedziała. – Cieszę się, że chętnie ze mną współpracujesz. Jeszcze się przekonasz, że jestem uczciwą i zdyscyplinowaną profesjonalistką. A teraz przywiąż drugi koniec liny do tego drzewa. – Wskazała na gruby, pokrzywiony świerk, zahaczony korzeniami o skałę tuż nad rwącym wodospadem. – Tylko uważaj, żeby się nie ześlizgnąć.

– Po co mam...

– Po prostu zrób to.

Dziewczyna skinęła głową. Całkiem już przemokła i drżała coraz bardziej. Przykucnęła i przywiązała linę do drzewa.

– Najpierw chciałam zabrać linę do wspinaczki, z uprzężą, ale uznałam, że tak będzie bardziej dramatycznie. Sama zobaczysz – stwierdziła Barbara, pochylając się nad ramieniem Madison. – Tylko nie zaczynaj jęczeć.

– Już wszystko rozumiałam – powiedziała dziewczyna, podnosząc na nią wzrok. – Moja matka jest okropna. Nienawidzę jej.

– Wiem, kochanie – uśmiechnęła się Barbara.

– Wiem. A teraz opuść się w dół.

– Najpierw uwolnij J.T.

– Madison, nie ty wydajesz tu rozkazy. Ja wykonywałam polecenia Swiftów od dwudziestu lat. Teraz nadeszła moja kolej. – Opuściła rewolwer i skierowała lufę na dziewczynę.

– Opuść się nad wodospad.

Odsunęła się krok do tyłu i Madison posłusznie stanęła na krawędzi skały. Błada jak ściana, wzięła głęboki oddech i szarpnęła za linę, sprawdzając, czy jest dobrze przywiązana.

– Nie ociągaj się. Jeśli będę musiała cię zepchnąć, to możesz się jeszcze bardziej poranić, bo uderzysz się o skały.

– Wiem. – Madison skinęła głową. – Tylko trochę się boję. Moja głupia matka powinna tu być.

– Tak, tak, masz rację.

Stanęła na krawędzi przepaści. Barbara słyszała dochodzący z dołu szum wody. Nie wiedziała, jak długa jest lina, jednak sądziła, że nie dosięgnie do poziomu niższego zbiornika i Madison zawisnie kilka metrów nad powierzchnią wody.

Co teraz zrobić z J.T.?

– Madison, nie! – wykrzyknął. – Nie rób tego!

Takie wielkie dziecko, pomyślała Barbara.

Trzeba będzie nad nim popracować. To dobrze, że ma okazję zobaczyć, jak jego starsza siostra nie traci serca w obliczu zagrożenia.

– J.T., posłuchaj mnie – powiedziała Madison bardzo dobitnie i w tej samej chwili odepchnęła się od drzewa, rzucając się całym ciałem w stronę Barbary. Uderzyła ją nogami. Barbara upadła na plecy, a rewolwer poleciał w dół.

– Uciekaj, J.T.! Biegnij do mamy!

Barbara zepchnęła ją z siebie.

– Zaufałam ci! – wykrzyknęła, wstrząśnięta i oburzona.

– Mój brat jest szybszy i bystrzejszy od ciebie, ty wściekła suko!

Barbara skrzywiła się boleśnie, dopiero teraz

zdając sobie sprawę, w jakim stopniu umysł tego dziecka został zatruty. Złapała obiema rękami za linę i mocno pociągnęła, zarzucając Madison w kierunku krawędzi skały. Dziewczyna rozpaczliwie machała rękami i nogami, ale wściekłość dodała Barbarze sił i Madison poleciała w dół. Uderzyła prawym barkiem o granitowy występ i krzyknęła z bólu.

– Dobrze ci to robi! – zawołała Barbara i opadła na mokrą ziemię. Ręce miała otarte aż do krwi. Była zupełnie wyczerpana, ale przypomniała sobie o chłopcu. Musiała go dogonić.

Sięgnęła ręką za plecy, na oślep szukając broni. Deszcz zalewał jej oczy. Naraz zobaczyła

Lucy z wymierzonym w siebie rewolwerem.

– Módl się, żeby mojej córce nic się nie stało.

Barbara ujrzała w jej oczach strach. Nie był to lęk o Madison, ale egoistyczny strach o siebie, o to, co Lucy mogła stracić. Ze sposobu, w jaki trzymała rewolwer, wyraźnie było widać, że nie potrafi się z nim obchodzić. Ostrożnie spojrzała w dół przez krawędź skały.



– Mamo – zaszlochala Madison. – Och, mamo, Bogu dzięki, że jesteś!

– Czy coś ci się stało?! – zawołała Lucy. – Możesz się czegoś przytrzymać?

– Chyba mam złamaną rękę!

Lucy przeniosła posępne spojrzenie na Barbarę.

– Co się stało? Co ona ci zrobiła?

– Nie ona, tylko ty! – prychnęła Barbara.

– Jezu! – odezwał się jakiś męski głos. Barbara podniosła głowę. Zakrwawiony i przemoczony Plato opierał się o pień świerka. – Zdajesz sobie sprawę, że jesteś chorą galareta?

Na twarzy Lucy odbiła się wyraźna ulga.

Oczywiście, pomyślała Barbara. Znów mężczyzna przybiegł tej kretynce na ratunek.

Lucy ruchem głowy wskazała linę.

– Madison wisi nad wodospadem. Muszę ją stamtąd wyostać. Widziałeś gdzieś J.T.?

Plato potrząsnął głową.

– Lucy, dookoła domu rozpełtało się piekło.

Wszędzie pełno policji. Możemy tu sprowadzić ekipę ratowniczą, żeby ją wyciągnęli.

– Zawołaj Roba, on jest najlepszy. – Lucy znów pochyliła się nad krawędzią skały. – Madison, jak tam lina? Wytrzyma?

– Mamo, nie dam rady tak wisieć. Ręka mnie boli. Już nie mogę.

Jęki Madison napełniały Barbarę niesmakiem.

– Powinnam była zabić was oboje – powiedziała do Platona.

– Ale nie zrobiłaś tego. Wszystko w porządku, Lucy – powiedział spokojnie. – Trzymam panią Allen na muszce. Nigdzie stąd nie pójdzie.

Lucy odłożyła rewolwer i opadła na kolana.

– Madison – powiedziała powoli i wyraźnie. – Sytuacja wygląda tak: nie mogę zejść do ciebie, bo nie mam sprzętu. Nie byłabym ci w stanie pomóc. I nie mam tyle siły, żeby cię wyciągnąć na górę. Plato też tu przyszedł, ale jest ranny. Możesz poczekać na Roba albo postarać się podejść trochę wyżej. Wtedy chyba mogłabym ci pomóc.

– Nie mogę. Ręka mnie boli.

– Masz jeszcze drugą. Spróbuj podciągnąć się na drugiej ręce. Znajdź jakieś oparcie dla stóp.

– Oczywiście brakuje ci odwagi, żeby zejść tam za nią – prychnęła Barbara.

Plato opadł obok niej na kolana.

– Wie pani co, pani Allen? Radziłbym trochę rozważyć. Postrzeliła mnie pani dzisiaj już dwa razy, więc na pani miejscu starałbym się bardziej mnie nie denerwować. Ma pani szczęście, że dobrze znośzę ból.

– I tak mnie nie postrzelisz. Jesteś profesjonalistą. Jeśli już strzelasz, to po to, żeby zabić.

– Jestem praworęczny i zostałem postrzelony w prawe ramię. Jeśli będę musiał strzelać lewą ręką, to kto wie? Mogę chybić i trafić panią na przykład w nogę.

– Nienawidzę takich drani jak ty! – krzyknęła z furią Barbara.

– I tak trzymać. A co zamierza pani przyjaciel Mowery?

Barbara zacisnęła usta. Było jej zimno od wilgoci i nade wszystko pragnęła, by deszcz wreszcie przestał padać.

– Dobrze – mówiła Lucy, przechylona nad krawędzią skały.  
– Krok po kroku. Ostrożnie.

Boże, oddałabym wszystko, żeby się tam znaleźć zamiast ciebie.

– Powiedz jej, żeby sobie wyobrażała, że ma amputowaną tę rękę – doradził Plato. – Ja tak robiłem, gdy postrzelono mnie w nogę.

Lucy spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Dzięki, Plato, ale Madison radzi sobie całkiem dobrze.

Jeszcze chwila i Lucy ze wszystkich sił zaczęła ciągnąć linę. Plato z ledwie dostrzegalnym grymasem bólu przełożył pistolet do prawej ręki, oparł się o drzewo i lewą pomógł jej wyciągać linę.

Dziewczyna wypełzła na krawędź skały i rzuciła się w ramiona matki.

– J.T. – wyszlochała. – Kazałam mu uciekać!

Czy nic mu się nie stało? Och, Boże, to wszystko przeze mnie!

– To nie twoja wina, Madison. Masz dopiero piętnaście lat.

Plato dotknął ramienia Lucy.

– Policja zaraz tu będzie. Idź poszukać swojego syna.

Barbara westchnęła. Oczywiście, teraz Lucy zostawi tu swoją córkę i pobiegnie za synem. Oczywiście. To było do przewidzenia. Przecież taka kobieta jak ona nie mogła postąpić inaczej.

Sytuacja była pod kontrolą, nawet jeśli nie wszystko przebiegało tak, jak Sebastian mógłby sobie tego życzyć. Siedział skulony za sofą w domu wynajętym przez Barbarę Allen, a Darren Mowery i Jack Swift rozmawiali właśnie o niej na werandzie.

– Barbie wymyśliła sobie romans z Colinem, żeby się na tobie odegrać – mówił Mowery.

– A ty dałeś się nabrać. Głupio ci teraz, co?

– Gdzie ona jest?

– Sądzę, że jest zajęta uprzykrzaniem życia Lucy. Nienawidzi jej jak najgorszej zarazy. To zupełna obsesja. Naprawdę zadziwiająca. Mroczny sekret super profesjonalistki.

– Wykorzystałeś ją. Manipulowałeś nią.

– Nie musisz jej żałować.

– Nie żałuję – odrzekł głucho Jack.

– Zdaje się, że Sebastian Redwing za bardzo ci nie pomógł.

– Gdybym od razu powiedział mu prawdę...

– Ale tego nie zrobiłeś.

Sebastian nie miał zamiaru pozwolić, by Mowery opuścił ten dom. Unieruchomił już jego samochód. Wystarczyła gruda błota w rurze wydechowej. Teraz po prostu czekał. Jak na razie Mowery nie przejawiał żadnej agresji fizycznej.

Gdyby tak się stało, Sebastian natychmiast zacząłby działać. W innym wypadku zamierzał poczekać na Larry'ego i policję waszyngtońską.

Naraz z lasu wypadł J.T., wołając:

– Dziadku! Dziadku! Ona porwała Madison!

Sebastian natychmiast rzucił się na werandę. Musiał dobiec do J.T. wcześniej niż Mowery. Pochwycił oszołomionego chłopca wpół. Mały był w hysterii. Wyrwał się i z trudem chwycił oddech. Po chwili podniósł wzrok i na widok

Sebastiana na jego twarzy odbiła się pewna ulga. Pochwycił go za rękaw tak mocno, jak rozbitek trzymający się koła ratunkowego. Sebastian uspokajająco ścisnął go za ramię.

– J.T., wszystko jest w porządku – powiedział szybko.

– Musisz uratować Madison! Barbara ją zabije! Spuściła ją na linie nad wodospadem. Zaraz przetnie linę!

Sebastian stał pomiędzy chłopcem a werandą, na której Mowery przeprowadzał szybką kalkulację swych możliwości.

– Posłuchaj mnie, J.T. Biegnij z powrotem najszybciej, jak możesz. Mama będzie cię szukać.

– Ale dziadek... – sprzeciwił się nieodrodny syn swojej matki.

– Ja się zajmę twoim dziadkiem. Uciekaj, J.T. Zaufaj mi. Mama cię znajdzie.

– No, no, no – odezwał się Mowery za jego plecami. – Ojczulek Redwing.

Sebastian ujął chłopca pod pachami i spuścił z werandy. J.T. podniósł się z ziemi i wykrzyknął:

– Dziadku, on ma broń!

Jack Swift odepchnął Mowery'ego i przechylił się przez poręcz.

– Uciekaj, J.T. Mnie nic się nie stanie. Uciekaj!

J.T. zawahał się, ale posłusznie zbiegł ze wzgórza i zniknął w lesie.

– Jak to? – zdziwił się Mowery. – Myślicie, że strzelałbym do dziecka?

– Wiem, że byś to zrobił – mruknął Sebastian.

Zdawał sobie sprawę, że Mowery, uzbrojony w potężnego glocka, ma go w ręku. – Kiedyś było inaczej.

– Zawsze tak było, tylko wcześniej tego nie zauważyłeś. Zresztą nie strzelałbym w plecy. Wyłącznie w głowę i to tylko w ramach umowy, w razie konieczności. Nie jestem potworem, ale zawodowcem.

Jack oparł się o balustradę, oddychając ciężko.

– Nie mogę... jeśli coś się stanie Madison albo J.T., to nie wiem, jak będę mógł dalej żyć.

– Dasz sobie radę – prychnął Mowery. Podszedł do senatora i przyłożył lufę do jego skroni.

– Tylko nie jęcz, dobrze? To mi przeszkadza, a ja muszę się zastanowić.

– Darren – odezwał się Sebastian, nie wykonując żadnego ruchu. Był bardzo skupiony.

– Znalazłeś się w ślepym zaułku. Unieruchomiłem twój samochód. Miejscowa policja zaraz tu będzie, a niedługo potem waszyngtońska. Wypuść Jacka i wyłoś się stąd, dopóki możesz.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Bo jak nikt inny potrafisz ulotnić się bez śladu. Wiesz, że moim najważniejszym priorytetem jest ochrona senatora i jego rodziny. Teraz masz jedyną okazję, żeby stąd zniknąć.

– Sebastianie, może nie zauważyłeś, ale tylko ja tutaj mam broń. Mogę najpierw zastrzelić was obu, a potem dopiero zniknąć.

Sebastian usiadł na krześle i leniwie wyciągnął nogi.

– Gdybyś chciał mnie zastrzelić, to przyjechałbyś do Wyomingu i dopadł mnie, jak bym sobie leżał w hamaku. Ty wcale nie chcesz mojej śmierci, Darren. Chcesz zniszczyć moje życie, tak jak ja zniszczyłem twoje. Chcesz, żebym cierpiał, tak jak ty cierpiełeś.

– Chcę widzieć senatora martwego, chcę widzieć martwą Lucy i jej dzieci, i chcę, żebyś ty został o to obwiniony.

– No cóż, nie dopadniesz nas wszystkich, a jeśli zastrzelisz senatora i mnie, to nie będziesz miał już żadnych zakładników. I co wtedy zrobisz?

Bez samochodu nadal będziesz w ślepym zaułku.

– Wstawaj.

Sebastian podniósł się. Zastanawiał się, gdzie jest Lucy i co się stało z Platonem. Bo coś musiało się stać, skoro Madison wisiała na linie nad wodospadem, a J.T. sam biegał po lesie.

Mowery kazał Jackowi stanąć za Sebastianem i sprowadził ich z werandy. Sebastian nie był szczególnie zmartwiony. Oceniał, że ma jakieś dziesięć minut, zanim J.T. znajdzie Lucy i rozpęta się piekło.

Lucy wypadła ze ścieżki od strony wodospadu i poślizgnęła się na mokrym igliwiu.

– Mamo!

Osunęła się na kolana i pochwyciła go w ramiona.

– J.T.! Nic ci się nie stało?

– Sebastian – wydyszał chłopiec. – Dziadek!

Mamo!

Uświadomiła sobie, że mały nie jest w stanie mówić składnie. Był w dużym szoku i nie mógł złapać tchu.

– Wszystko będzie dobrze, J.T. Spróbuj się uspokoić. Policja już tu jedzie.

Pociągnęła go ścieżką do wodospadu. Plato, błady i zakrwawiony, trzymał dwa pistolety wycelowane w Barbarę Allen. Obok niego na ziemi siedziała skulona, drżąca Madison. Lucy wiedziała, że ze względu na dzieci musi przejąć kontrolę nad sytuacją. Lekko popchnęła J.T. w stronę siostry.

– Kochanie, usiądź tutaj. Nie ruszaj się i nie patrz na Barbarę.

– Mamo, ten człowiek celował w dziadka z pistoletu – powiedział J.T. bez tchu. – A Sebastian... On... on tam był.

– Nie myśl o tym. Postaraj się równo oddychać – tłumaczyła Lucy, przykładając rękę do piersi chłopca. Był mokry i przerażony.

– Wdech, wydech! Myśl tylko o tym. Wdech, wydech! Powoli i spokojnie.

On jednak jęczał jak przerażony szczeniak.

Obok niego Madison opadła na pokrytą igliwem ziemię.

Lucy opanowała emocje. Musiała myśleć trzeźwo.

– Plato, daj mi jeden z tych pistoletów.

– Mam lepszy pomysł – odrzekł spokojnie. – Ty tu zostań, a ja pójdę.

Lucy potrząsnęła głową.



– Po trzech krokach upadniesz i stracisz przytomność.  
– Założę się, że dam radę zrobić sześć kroków – odparł i uśmiechnął się blado.  
– Plato...  
– Idź, mała. – Podał jej rewolwer Barbary.  
– Mój jest za bardzo skomplikowany. Umiesz nacisnąć spust?  
– Chyba tak. Widziałam sporo filmów. Jak się go zabezpiecza?

Plato podniósł na nią przekrwione oczy.

– Po prostu naciśnij ten cholerny spust.  
– Jeśli będę musiała. – Skinęła głową.  
– I zaufaj Sebastianowi. On wie, że na wszystko jest odpowiednia chwila, i zawsze działa po swojemu. Zaufaj mu, Lucy.  
– Skoro wyrzekł się przemocy...  
– Wyrzekł się niepotrzebnej przemocy. Ale jeśli Mowery grozi bronią jemu czy senatorowi, to już zupełnie inna sprawa. Lucy, jeśli Sebastian nie będzie mógł przebić muru, to obejdzie go dokoła, ale zawsze znajdzie jakiś sposób.

Zamrugnęła powiekami, odpędzając łzy.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Ciałem J.T. wstrząsnął nagły dreszcz. Usta miał sine, a pod oczami sińce.

– Mamo, nigdzie nie idź. Boję się.

Lucy spojrzała na swoje dzieci. Ich ojciec nie żył, dziadek w tej chwili był na muszce bandyty.

Gdyby jej coś się stało, Madison i J.T. trafiliby pod opiekę jej rodziców w Kostaryce. Nie miała prawa niepotrzebnie ryzyko-

wać. To nie była kwestia odwagi, lecz odpowiedzialności. Musiała zaufać Sebastianowi.

– Wyjdę policji naprzeciw i dopilnuję, żeby przysłali tu ekipę ratowniczą. J.T. może iść ze mną. Dasz radę, mały?

Wsunął rękę w jej dłoń. Lucy czule pocałowała Madison.

Plato słabł z każdą chwilą.

– Powiedz im, żeby się pospieszyli, bo gotów jestem zepchnąć uroczą panią Allen ze skały i wracać do domu.

Pomimo zmęczenia i przerażenia, J.T. dzielnie dotrzymywał kroku Lucy. Podeszli ścieżką do drogi dojazdowej. Gdy stanęli na skraju lasu, J.T. gwałtownie wstrzymał oddech i mocno uściśnął rękę matki. W tej samej chwili również i ona dostrzegła na drodze trzech mężczyzn. To był Jack i Sebastian, a o kilka kroków za nimi ten trzeci. Darren Mowery.

– To on – szepnął J.T.

Lucy pochyliła się do niego.

– Wracaj i powiedz o tym Platonowi.

Wiedziała, że Plato nie jest w stanie w niczym pomóc, ale nie mogła teraz ciągnąć ze sobą syna.

J.T. zawahał się. Lekko go popchnęła i chłopiec pobiegł w stronę, z której przed chwilą przyszli.

Mowery jednak ich usłyszał albo wyczuł czyjaś obecność, bo obrócił się w jej stronę.

– Rzuć broń na ziemię, Lucy, bo zastrzelę Sebastiana.

Dopiero teraz przypomniała sobie, że ma rewolwer. Podniosła go wyżej i wymierzyła w Mowery'ego.

– Jeśli strzelisz do Sebastiana, to ja strzelę do ciebie.

Sebastian obrócił się powoli, bez słowa. Lucy nie wiedziała, co teraz zrobić. Nie umiała strzelać i nie zносиła broni. Wstrzymała oddech i na ułamek sekundy napotkała wzrok Sebastiana.

Nie odezwał się ani nie dał jej żadnego sygnału.

Mowery poruszył się i w tej chwili nacisnęła na spust.

Zaklął głośno, gdy z jego prawego pośladka trysnęła krew. Sebastian rzucił się na niego i wytrącił pistolet z jego ręki, jakby na tę chwilę właśnie czekał. Jack natychmiast pochwycił broń.

Lucy na wszelki wypadek wciąż stała nieruchomo z rewolwerem wymierzonym w Mowery'ego.

Sebastian rzucił go na ziemię, twarzą do dołu, zginając mu ramiona na plecach w profesjonalnym uścisku.

– Trafiłaś go w tyłek? – zapytał, z niedowierzaniem potrząsając głową.

– Chyba tak – powiedziała, zupełnie oszołomiona tym, co się stało.

– Rany boskie, Lucy. Nie mierzy się w tyłek. Jeśli już musisz strzelać, to celuj tak, żeby na pewno zabić.

– Strzelałam po to, żeby strzelić. W ogóle w nic nie mierzyłam!

– Rany boskie – powtórzył Sebastian bezradnie. – To może teraz opuść już tę lufę?

Z ulgą posłuchała go. Wiedziała, że Sebastian żartuje, żeby rozładować napięcie, ale jego oczy pozostawały poważne.

– Czy miałaś kontrolę nad sytuacją? – zapytała go po chwili.

– Nie – uśmiechnął się. – Ale starałem się coś wymyślić.

Jack podał Sebastianowi pistolet Mowery'ego i podszedł do synowej.

– Lucy – wyszlochał. – Boże drogi, Lucy.

Poczuła spływające po twarzy łzy.

– Dzieciom nic się nie stało – zapewniła go.

– Idźcie stąd – powiedział Sebastian, celując w Darrena z jego własnej broni. – Idźcie do dzieci. Przekażę pana Mowery’ego policji. Tym razem niczego nie zaniedbam.

Jack wziął Lucy za rękę i ruszyli w stronę wodospadu. Po drodze opowiedziała teściowi, co zrobiła Barbara.

– Boże drogi, Lucy – wychrypiął Jack i po jego twarzy potoczyły się łzy. – Nie miałem pojęcia. Nie umiałem dodać dwóch do dwóch. Powinienem był opowiedzieć ci wszystko wcześniej.

– Nie czas żałować tego, co się stało, Jack. Oboje popełniliśmy błędy.

– Jestem zdruzgotany i oszołomiony. Nigdy bym się czegoś takiego nie spodziewał. Zrobiłbym wszystko, absolutnie wszystko, żeby wam oszczędzić tych przeżyć.

– Wiem – westchnęła, myśląc o rannej córce i przerażonym synu. – Ale nie można nikogo ochronić przed życiem.

– Boże, Lucy, gdy zobaczyłem J.T. wybiegającego z lasu prosto na Mowery’ego...

Lucy wzdrygnęła się.

– Jack, już po wszystkim. Wszystko dobrze się skończyło.

Na zakręcie ścieżki Lucy obejrzała się i zobaczyła Sebastiana wciąż w tej samej pozycji, z lufą przyłożoną do głowy wroga, który kiedyś był jego przyjacielem.

– Nie zastrzeli go – zapewnił ją Jack.

– Wiem. Ale to jest życie, jakie lubi najbardziej. Sam na sam z pistoletem i bandytą.

– Chyba nie – odrzekł jej teść. – Myślę, że Sebastian najbardziej lubi życie z tobą. Tylko że dopiero teraz stało się to możliwe.

## **ROZDZIAŁ SZESNASTY**

Policjanci, zarówno miejscowi, jak i waszyngtońscy, nie oszczędzali Swiftów.

Najpierw zarządzili dokładną inwentaryzację wszystkiego, co znajdowało się w domu i stodole, twierdząc, że zwykła chciwość znacznie częściej bywa motywem przestępstw niż dziwaczne obsesje i pragnienie zemsty. Dochodzenie wykazało, że Darren Mowery i Barbara Allen nie mieli innych współników.

Sebastian znalazł jeszcze jeden samochód, który Mowery na wszelki wypadek zostawił na polance, na zachód od domu Lucy. Darren zamierzał wykorzystać Jacka jako tarczę ochronną, dopóki było mu to potrzebne, a potem zastrzelić senatora oraz Sebastiana i zniknąć.

– Mnie też dali popalić – westchnął Rob, pomagając Lucy pakować zapasy prowiantu na wyprawę ojców i synów. Od dramatycznych wydarzeń minęły cztery dni. Rob spojrzął na rząd butelek z wodą i dodał: – Szkoda, że J.T. nie może z nami pojechać.

– Może w przyszłym roku – powiedziała Lucy, chociaż nie wybiegała myślami tak daleko w przeszłość.

W tej chwili Madison i J.T. zbierali jagody razem z dziadkiem i Sidney Greenburg, która przyleciała z Waszyngtonu. Madison miała rękę w gipsie, ale z wielkim entuzjazmem dołączyła do wyprawy, bo znudziła jej się rola inwalidki.

– Takie proste, zdrowe zajęcie przyda się nam wszystkim – stwierdziła Sidney.

Pakowanie było prawie skończone i wkrótce Rob poszedł do domu. Lucy przeszła przez podwórze i stanęła na werandzie, gdzie w wiklinowym fotelu siedział Plato Rabedeneira z głową owiniętą bandażem. Wciąż był blady i osłabiony, ale wyglądał znacznie lepiej.

Na jego widok twarz Lucy rozjaśniła się.

– Nie wiedziałam, że już wyszedłeś ze szpitala. Kiedy cię wypuścili?

– Wywalczyłem to sobie dziś po południu. Nie było łatwo, ale nienawidzę szpitali.

– Jak się tu dostałeś?

– Znam pewnego detektywa z FBI.

– To FBI też tu jest? – zdumiała się Lucy.

– Lucy, wszyscy tu są.

– Niech już wracają do domu. Chcę odzyskać moje życie.

Plato zatrzymał na niej spojrzenie swych ciemnych, mądrych oczu.

– Naprawdę tego chcesz?

Wiedziała, że chodzi mu o Sebastiana.

– Nie mogę stąd wyjechać – powiedziała cicho. – Tu jest mój dom. Plato potrząsnął głową.

– Lucy, Lucy. W życiu Sebastiana tylko dwie rzeczy się liczą. Ty i ten dom.

– Jego ranczo...

– Niewiele brakowało, a bez zmrużenia oka przegrałby je w pokera.

– Redwing Associates.

– On już zrobił swoje. Może się zająć czymś innym, na przykład szkoleniem dowódców. Wiele od tego zależy. Dobry dowódca potrafi zapobiec wielu kłopotom. Ale tak już jest, że każdy może napotkać na swojej drodze łajdaka albo szaleńca. Dzięki temu wciąż mamy co robić. – Plato wyciągnął nogi przed siebie. – Lucy, przykro mi, że nie ochroniłem twoich dzieci.

– Przecież świetnie sobie poradziłeś. Madison dostała przystojnych, uzbrojonych ochroniarzy i jest z tego dumna jak paw, a J.T. nazwał jeden ze swoich helikopterów twoim nazwiskiem, które dzięki temu nauczył się wreszcie bezbłędnie wymawiać. Przykro mi, że zostałeś ranny. Możesz u nas zostać, jak długo zechcesz.

On jednak stanowczo potrząsnął głową i podniósł się sztywno.

– Muszę pojechać do Waszyngtonu i zobaczyć się z Happy Ford.

– Jak ona się czuje?

– Czeka ją długa rekonwalescencja, ale jest dzielna i silna.

– A potem wracasz do Wyomingu?

– Robota nie czeka. – Ujął jej ręce. – Nie mów nic Sebastianowi, ale wysłałem buldożer, by zrobił porządek z jego chatą.



Książki i syrop klonowy kazałem spakować i wysłać pocztą pod twoim adresem.

Lucy stłumiła uśmiech. Nigdy nie potrafiła zrozumieć zasad, które rządziły przyjaźnią Colina, Platona i Sebastiana.

– A co zrobiłeś z końmi i psami?

– Przeniosłem je na główne ranczo. Ten żółty labrador poradziłby sobie tutaj, ale dwa pozostałe sprawiałyby wam kłopoty. Sebastian może sobie kupić nowe konie.

– Plato...

– On tu zostanie, Lucy. Możesz mi wierzyć.

– Sama nie wiem. Widzisz... ostatnio zupełnie zamknął się w sobie. Nawet nie wiem, gdzie się teraz podziewa.

– Chyba żartujesz? – Roześmiał się. – Bawi się w detektywa z dużymi chłopcami. Sprawdza, czy w Vermontcie nie ma szans na jakąś robotę. Mówiłem ci, że on tu zostanie, ale nie wspominałem, by miał zamiar porzucić pracę.

– Lucy ma tu dobre życie – powiedziała Sidney. – Bardzo dobre.

Jack skinął głową, trzymając ją za rękę. Siedzieli na schodkach, czekając, aż Lucy i Sebastian z dziećmi wrócą ze spaceru.

– Tak. Bardzo się z tego cieszę.

– To dobrze, bo bardzo długo upierałeś się, że jest akurat odwrotnie.

– Tak – przyznał. – Wydawało mi się, że gdyby Lucy z dziećmi została w Waszyngtonie, to jakoś zachowałyby przy życiu częśćkę Colina.

Brakuje mi go, Sidney. Nawet teraz bardzo trudno mi się z tym uporać. Nie potrafiłem go ochronić. Ani jego, ani Eleanor.

– Nie mogłeś tego zrobić.

Uśmiechnął się i delikatnie przesunął palcami po jej policzku.

– Skąd w tobie tyle mądrości?

Roześmiała się i jej oczy rozbłysły.

– Bo tak naprawdę zakochałam się dopiero po pięćdziesiątce. To znaczy teraz. – Zerwała się na nogi i otrzepała z kurzu. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to wejdę do domu. Nie nadaję się do wiejskich romansów. Za dużo tu komarów.

– Nie chciałybyś przenieść się do Vermontu?

– O, nie! – oburzyła się z uśmiechem. – Nie patrz tak na mnie, senatorze. Nie będę spędzać z tobą nocy na grzędce z kabczkami.

Jack przyciągnął ją do siebie.

– Czy to znaczy, że zdecydowałaś się już powiesić rajstopy w mojej łazience?

– Jack, przecież opisał nas „Newsweek”. Wyszło szydło z worka. Mogę teraz wieszać rajstopy nawet w twoim biurze w Senacie.

– Tego nie byłbym taki pewien.

Roześmiała się i pocałowała go.

– A ja tak.

– Sidney? – zapytał niepewnie.

– Tak, Jack. Wyjdę za ciebie.

– Niech to wszyscy diabli, Plato, wylądujesz za to w piekle!  
– warknął Sebastian dwa dni później, gdy już wrócili do Wyomingu. Stali

w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się jego chata. – Zrównałeś mój dom z ziemią!

– To nie ja. Ja tu jestem szefem. Takie rzeczy zlecam pracownikom.

– Dawaj nazwisko.

– Obiecałem pełną dyskrecję. Inaczej nikt by nie tknął tej twojej psiej budy.

Sebastian spojrzął na niego groźnie. Byli razem w Waszyngtonie, widzieli się z Happy Ford, która w domu dochodziła do zdrowia, ale Plato ani słowem nie wspomniał o zagładzie chaty.

– A moje rzeczy?

– Syrop klonowy i książki wysłane pocztą do Lucy, a reszta spakowana.

– Gdzie?

– Są w twojej ciężarówce. Chyba będziesz musiał pojechać nią do Vermontu. Ten żółty labrador nie lubi latać. Sebastian pokiwał głową.

– Masz rację, przyda mi się tam ciężarówka.

Dwa pozostałe psy tarzały się w kurzu. Nie nadawały się do życia z dziećmi i ludźmi ze wschodu. Zdecydowanie były tutejsze.

– Ponieważ zostałeś postrzelony w tę swoją pustą makówkę, tym razem ci daruję – mruknął Sebastian.

– To się nie liczy, to w ogóle nie jest rana. Ale ramię boli mnie naprawdę. Na szczęście żaden nerw nie został uszkodzony.

Wiesz, że ta wariatka uważała się za znakomitego strzelca?

– Pani Allen miała o sobie bardzo dobre mniemanie.

– Działała zgodnie z własną logiką.

Sebastian przykucnął obok psa i podrapał go po brzuchu, wdychając chłodne, suche powietrze.

Kochał to miejsce, ale duszą był gdzie indziej.

– Gdyby Lucy nie trafiła Mowery’ego w tyłek, to ja bym go zabił.

– Gdybyś nie miał innego wyjścia. Jesteś przecież profesjonalistą. To była osobista sprawa, ale nie straciłeś zimnej krwi. Twój jedyny błąd polegał na tym, że przed laty pozwoliłeś, by Mowery przypisał sobie zasługę za osłabienie tej próby zamachu.

Sebastian przymrużył oczy.

– Osłabienie? Co to za słowo?

– Dobrze wiesz, co mam na myśli. Darren tak naprawdę spieprzył robotę, bo mógł w ogóle nie dopuścić do zamachu. Ale okazał się za mało bystry. Nigdy nie był naprawdę dobry. Uważał się za superspeca, a był cynicznym pyszałkiem, zapatrzonym we własny pepek. Brakowało mu intuicji, wyostrozonej wrażliwości na dobro i zło, umiejętności koncentracji. Po prostu tego nie miał.

– Chciał takim być, w każdym razie na początku.

– W przeciwieństwie do ciebie, bo tobie tak naprawdę nigdy nie zależało na karierze tajnego agenta.

– Nie. Chciałem żyć tak jak Daisy. Mieć ogródek, żyć wśród ptaków i lasów. – Przymrużył oczy i zapatrzył się na niewiarygodnie piękny krajobraz Wyomingu. – Potrzebowałem całych dwudziestu lat, żeby to zrozumieć.

– W każdym razie nie dostajesz młodości na myśl o tym, że przemienisz się w wieśniaka.

– Plato roześmiał się. – Będziesz się dobrze komponował ze stodołą Lucy, no i założysz ośrodek szkoleniowy na wschodzie. Zaprosisz mnie na ślub?

– Będę potrzebował świadka.

Plato zakołysał się na piętach.

– Masz pierścionek? Przecież nie możesz się oświadczyć bez pierścionka. Wiem, że Lucy organizuje wyprawy z przygodami, ale wierz mi, będzie chciała dostać pierścionek.

Sebastian westchnął i wygrzebał z kieszeni dzinsów pierścionek z niewielkim brylantem.

Plato zmarszczył brwi.

– I to wszystko? Stać cię na większy kamień.

– To pierścionek Daisy. Dostała go od dziadka.

Nie byli zbyt bogaci.

– Myślałem, że po śmierci Daisy nie zatrzymałeś niczego, co do niej należało – zdziwił się Plato.

Sebastian wzruszył ramionami.

– Bo nie zatrzymałem. Przed wyjazdem zabrałem go ze strychu.

– To znaczy ukradłeś?

– To wcale nie była kradzież. Daisy chciała, żebym wziął ten pierścionek, tylko kiedyś byłem na to za głupi.

– Nie przypuszczałeś, że Lucy kiedykolwiek się w tobie zakocha – domyślił się Plato i potrząsnął głową. – Rzeczywiście byłeś głupi.

– Tylko tak dalej, Rabedeneira, a naprawdę się doigrasz. I tak już wyznaczyłem cię na niańkę do dzieci na czas naszej podróży poślubnej.

– Ha. Muszę pogadać z kumplem z Pentagonu, może załatwię pluton marines jako wsparcie, bo ze Swiftam nigdy nic nie wiadomo.

– Nie będzie tak źle, bo Darren i Barbara oglądają słońce zza krat. A Madison i J.T. przepadają za tobą.

– To miłe dzieciaki. Mam nadzieję, że nikt nie będzie strzelał do ich niani.

Sebastian przyjechał do Vermontu nieogolony, zmęczony po długiej podróży i doprowadzony do ostateczności przez psa. Pies również miał go dosyć. Gdy tylko drzwi ciężarówki otworzyły się, labrador wyskoczył i natychmiast zaczął rujnować grządki z kwiatami Lucy.

Ona sama zeszła z werandy, ubrana w długą letnią sukienkę i sandały, z włosami opadającymi na ramiona.

– Słyszałam, że wróciłeś.

– Wszędzie pełno szpiegów.

– Zatrzymałeś się przy sklepie. Szpiedzy nie donieśli mi, co kupowałeś, ale rozpoznali tablice rejestracyjne z Wyomingu. Powiedzieli, że wyglądałeś... niegodnie, chyba tak.

– Czy naprawdę tak wyglądam?

– W tych okolicach „niegodnie” znaczy to samo, co „sexy”.

– Ach, rozumiem – mruknął Sebastian.

Lucy popatrzyła na żółtego psa, który przez podwórze gonił szarą wiewiórkę.

– Myślisz, że da się go jeszcze wychować?

– Zero szans.

– Masz tupet, przywożąc go tutaj. Bez komentarza oparł się o ciężarówkę.

– Gdzie są dzieci?

– Rob i Patti zabrali je do siebie na noc.

– To bardzo dobrze.

– Hmm. Policja zostawiła nas wreszcie w spokoju. Media zwinęły żagle. Bandyty siedzą w areszcie. Jestem sama – uśmiechnęła się.

– Nie, już nie.

Pocałował ją lekko i powoli, a potem wyjął z samochodu butelkę szampana. Właśnie po to zatrzymał się przy sklepie. Prosił sprzedawczynię o zachowanie tajemnicy, ale na pewno do tej pory już cała okolica plotkowała o tym, że wnuk Daisy i wdowa Swift piją razem szampana na starej farmie Wheatonów, a Bóg jeden wie, co jeszcze robią...

Weszli do kuchni. Sebastian otworzył butelkę i nalał szampana do dwóch kieliszków.

– Co będziemy świętować? – zapytała Lucy.

– Wszystko, co zechcemy. Na przykład złapanie bandytów. Przeżycie kolejnego dnia. Wschody i zachody słońca. Albo możemy świętować to, że Lucy Blacker znów się zakochała. Zgadzam się na wszystko, co mi zaproponujesz.

– A czy mogę świętować to wszystko naraz? – uśmiechnęła się.

Sebastian nie sądził, że uda mu się unieść naraz dwa kieliszki szampana i swoją wybrankę, ale do sypialni nie było daleko. Na progu Lucy odrzuciła głowę do tyłu i wybuchła śmiechem, bo szampan z obu kieliszków wylał się na nią. Sebastian położył ją na łóżku.

– Narzuta Daisy! – oburzyła się.

Bez słowa odsunął patchwork na bok.

Lucy zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Teraz pachnę szampanem.

– I smakujesz szampanem.

– A ty smakujesz... psią sierścią.

Roześmiał się, całując ją.

– Chcesz, żebym najpierw wziął prysznic?

– Nie, prysznic potem.

– Weźmiemy go razem – zaproponował.

– Tylko żartowałam – uśmiechnęła się, pocierając ręką zarost na jego twarzy. – Smakujesz jak mężczyzna, który długo jechał, żeby... żeby kochać się ze mną.

– Od wielu dni nie myślałem o niczym innym.

– Chyba od wielu lat.

Pod mokrą sukienką rysowały się jej piersi.

– Jak widzę, masz o sobie znakomitą opinię, Lucy Blacker.

– O tobie – poprawiła go. – Kocham cię. Chyba zawsze kochałam cię w jakiś sposób. Ale teraz jest inaczej. Kocham cię jak partnera, nie jak przyjaciela. Jak równego mi, nie jak obroń-



cę. Za oknem słyhać było głosy ptaków i szczekanie psa. Sebastian poczuł, że jest w domu, tu, gdzie jego miejsce.

– Zawsze cię kochałem – powiedział. – I zawsze będę cię kochał.